NAUKA
WIARY I OBYCZAJÓW

W PRZYKŁADACH

zebrana z różnych autorów

przez

X. Kazimierza Riedla T. J.

Wierz, a zrozumiesz (Św. Aug.)

TOM CZWARTY.

W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI A. KOZIAŃSKIEGO.
1892.

4831.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.

† *A. Card. Dunajewski.*

Kraków, dnia 2 Grudnia 1891 r.

Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

DWA PRZYKAZANIA MIŁOŚCI.

Pierwsze przykazanie miłości.

„Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego, ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkich myśli twoich“. (Mat. 22, 37).

Kto miłuje Boga, ten chowa przykazania Jego, chętnie z Bogiem obcuje przez modlitwę; zgadza się z Jego wolą w dobrych i złych razach, cierpi chętnie dla Boga, a nawet życie swe kładzie za Boga, bo większej nad tę miłości niema.

Eucharyst i Marya.

Dwaj pustelnicy prosili Boga, aby im raczył wskazać najdoskonalszy sposób służenia Mu. W czasie modlitwy usłyszeli głos wewnętrzny, aby poszli do Aleksandryi i dopytali się tam o męża imieniem Eucharysta,

który wraz z małżonką swą Maryą żył bardzo świątobliwie.

— Oni, mówił głos Boży, nauczą was prawdziwej doskonałości.

Pustelnicy udali się natychmiast do Aleksandryi, ale pomimo najusilniejszych starań nie znaleźli nikogo w całym mieście, ktoby znał takich małżonków. Już myśleli, że stali się igraszką szatańską i chcieli powrócić na pustynię, gdy wychodząc z miasta, ujrzeli kobietę, która pracowała przed drzwiami skromnej chatki. Zapytali ją, czy nie zna człowieka imieniem Eucharysta?

— To mój mąż, odrzekła kobieta.

— Wy się więc nazywacie Marya, — mówili pustelnicy.

— A któż wam, moi ojcowie, powiedział me imię? — zapytała kobieta.

— Pan Bóg! On nas posłał, byśmy z waszym mężem się rozmówili.

Eucharysta nie było w domu; dopiero pod wieczór powrócił, pędząc przed sobą małe stado owiec. Pustelnicy powitali go uprzejmie i prosili, by im opowiedział, w jaki sposób on wraz z małżonką życie wiodą.

— Moi ojcowie, rzekł Eucharyst, cóż ja wam mogę powiedzieć o mojem życiu? Wszak ja jestem ubogim pasterzem!

— Powiedzcie nam, zapytali pustelnicy, w jaki sposób służycie Bogu?

— Ach, rzekł Eucharyst, upadając im do

nóg — to wy powinniście mnie pouczyć; jam człowiek prosty i nie umiem Pana Boga kochać, ani Mu służyć.

— Nie odmawiajcie naszej prośbie; bo byście opierali się Bogu, który nas tu posłał, abyśmy się was oto spytali.

— Ponieważ mi rozkazujecie, rzekł Eucharyst, — to wam powiem, że mnie matka nauczyła od dziecka wszystko czynić i wszystko znosić *z miłości ku Bogu*. Tej nauki trzymałem się całe życie, starając się wszystko odnosić do Boga i miłować Go w każdem stworzeniu. Wstaję więc z rana z miłości ku Bogu; modlę się i pracuję, odpoczywam i posilam się, czasami też jakiejś użyję rozrywki z miłości ku Bogu, abym Mu lepiej i weselej mógł służyć. Codzienne trudy przyjmuję dla miłości Bożej; znoszę zimno i gorąco, głód i ubóstwo, choroby i nieurodzaj z miłości ku Bogu i wyznaję, że to wszystko jest dobrodziejstwem pochodzącem z rąk Bożych. Oto sposób życia mego. A jak ja żyję, tak żyje i moja żona.

— Czy macie jaki majątek? — zapytali pustelnicy.

— Nie mamy nic prócz tych owiec, odrzekł Eucharyst, — lecz to wystarcza na nasze potrzeby. Dochody moje dzielę na trzy części, jednę daję Kościołowi, drugą ubogim, a my oboje żyjemy z trzeciej. Żywimy się bardzo ubogo, ale nie skarżymy się na to,

przyjmujemy pokarm jaki mamy, z miłości ku Bogu.

— A macie też nieprzyjaciół? — spytali jeszcze.

— A któżby ich nie miał? — rzekł Eucharyst. — Ja się staram nikomu źle nie czynić; nigdy o nikim źle nie mówię, a jednak mam nieprzyjaciół i zazdrośników. Ale ja im źle nie życzę, owszem nawet ich kocham, wyrządzam im przysługi, i odwiedzam ich z miłości ku Bogu. Jeśli kto o mnie albo o mej żonie źle mówi, albo mi jaką krzywdę wyrządzi, ja wszystko znoszę spokojnie dla miłości Bożej.

— Oto ojcowie moi, sposób życia mego i mojej małżonki.

Pustelnicy powrócili pełni podziwu, uszczęśliwieni, że poznali tak łatwy sposób dojścia do doskonałości w cnocie. (Schouppe Tom II str. 297).

Święty Aleksy.

Święty Aleksy urodził się w Rzymie przy końcu czwartego stulecia po narodzeniu Chrystusa. Rodzice jego równie cnotliwi jak bogaci czynili obfite jałmużny. Ojciec jego Eufemian, senator rzymski i matka jego Aglaida tem więcej go kochali, że był jedynakiem i posiadał przymioty rozumu i serca, które go nader miłym czyniły.

Dzięki świętym naukom i przykładom swych zacnych rodziców już za młodu zrozumiał, że nie można lepszego użytku z majątku uczynić, jak dzieląc się nim z ubogimi dla miłości Bożej. Jakoż wszystko, co mu tylko dawano, rozdzielał między ubogich, a ta miłość ku cierpiącym członkom Chrystusa, do tego stopnia spotęgowała miłość jego ku Bogu i do dóbr wiecznych, że postanowił żyć jedynie dla Boga i na wzór Jezusa Chrystusa stać się ubogim i zrzec się wszystkiego, aby wstąpić w Jego ślady.

Posłuszny woli rodziców, wstąpił w stan małżeński; ale w sam dzień ślubu, idąc za natchnieniem Ducha św. który w osobie Aleksego chciał nam zostawić wzór dziwnego zaparcia się, postanowił opuścić na zawsze dom rodzicielski.

Wszedłszy tedy do pokoju swej małżonki dał jej pierścionek i pasek zawinięty w szkarłatną materyę i rzekł:

— Moja droga małżonko, zachowaj ten podarunek jako zadatek naszej wierności i gotowości na wszelką wolę Bożą!

Następnie wyszedł niepostrzeżenie z domu i wsiadł na okręt płynący do Laodycei. Ztąd udał się do Edessy w Mezopotanii, gdzie się znajdował obraz Najśw. Panny będący w wielkiem poszanowaniu; tu osiadł i oddał się zupełnie Bogu i czci N. Panny. Rozdawszy cały majątek ubogim, stał się sam ubo-

gim z miłości ku Chrystusowi ubogiemu, żył z jałmużny i mieszkał w ubogiej chatce bliskiej kościoła N. Panny.

Rodzice Aleksego i jego małżonka, niespokojni, zmartwieni, kazali go szukać wszędzie. Po długich poszukiwaniach słudzy zajechali do Edessy. Aleksy ich poznał, ale oni go nie poznali; posty bowiem jego i łzy oszpeciły mu twarz, a ubogie łachmany, jakiemi był odziany, zmieniły go do niepoznania.

Przeżywszy w ten sposób siedmnaście lat, musiał uchodzić z Edessy, aby uniknąć czci, jakiej począł od mieszkańców tego miasta doznawać. Albowiem pewien pobożny kapłan, modląc się przed obrazem Matki Boskiej, usłyszał głos z obrazu, który rzekł:

— Ten ubogi podróżny, który mieszka koło kościoła w ubogiej chatce, jest bardzo miły Bogu, a Duch św. spoczywa na nim.

To objawienie zwróciło wszystkich oczy na Aleksego; uznano jego pokorę, cierpliwość, gorliwość w modlitwie, miłość ku drugim ubogim, jednem słowem wszystkie cnoty w nim jaśniejące i poczęto go szanować i czcić jako wielkiego sługę Bożego.

To było dostateczną przyczyną dla Aleksego, aby opuścił miasto, w którem nie mógł żyć w ukryciu. Wsiadł zatem na okręt i popłynął napowrót do Laodycei, aby ztamtąd

udać się do Afryki, albo do innego dalekiego kraju; ale Opatrzność Boska dozwoliwszy, żeby burza oddaliła okręt od brzegów Afryki, zaprowadziła go do Włoch i aż do Rzymu, który miał się stać widownią nadzwyczajnego i prawie cudownego zaparcia się Aleksego.

Duch święty podał mu myśl, aby prosił o schronienie w domu rodziców, gdzie niepoznany, lecz jako ubogi traktowany, mógł odnieść chwalebniejsze zwycięztwo nad uczuciami ziemskiej miłości ku rodzicom i swojej małżonce.

Było to nadzwyczajne natchnienie Boże. Zmieniwszy się więc nie do poznania, stanął przed ojcem swym Eufemianem błagając go o przytułek w jakim kąciku domu swego.

— Błagam cię, rzekł, — sługo Boży, okaż miłosierdzie nad biednym podróżnym, który niema znikąd pomocy. Daj mi panie, jaki ukryty kącik w domu swoim i pozwól mi tam żyć z twoimi sługami i karmić się okruchami spadającemi ze stołu twego. Nie będę ci wcale ciężarem, a Bóg ktory nagradza miłosiernych, będzie ci błogosławił; a jeśli kto z twojej rodziny jest nieobecny i w dalekiej podróży, to ci go Bóg powróci żywym i zdrowym.

Na te słowa Eufemian wspomniał sobie na syna swego, o którym sądził, że jest bardzo

daleko i tknięty uczuciem litości, wprowadził syna do swego pałacu i dał mu ubogie schronienie w sieni pod schodami i rozkazał jednemu ze swych niewolników starać się dlań o pożywienie. Ojciec, jako prawy chrześcijanin spełnił tu radę ewangieliczną „Byłem podróżnym, a przyjęliście mnie".

Życie naszego Świętego było w tym zakątku domu ojcowskiego podziwienia godne; nic prawie nie jadł, a dwie uncye (4 łuty) wody stanowiły cały jego dzienny napój; dnie i całe noce prawie spędzał na modlitwie, błagając ze łzami o miłosierdzie Boże; nie wychodził tylko do Kościoła i co tydzień przyjmował Komunię św.

Jednakże, aby cierpliwość sługi Bożego nie pozostawiała nic do życzenia, dopuścił P. Bóg aby doznawał ciągłych zniewag ze strony niewolników, którzy mu nie szczędzili bicia i złorzeczeń. Aleksy znosił to wszystko ze słodyczą niezwyciężoną, mając przed oczyma Jezusa cierpiącego i upokorzonego. Był on męczennikiem ukrytym, a męczennikiem tem zacniejszym, że tylko sam Bóg był świadkiem jego cierpień, a cierpień serca, które ponosił na widok drogiego ojca, ukochanej matki i najmilszej małżonki, których kochał najczulej, a jednak dla miłości tego, który jest pięknością i dobrocią nieskończoną, odmówił sobie najsłodszej serca rozkoszy.

Wreszcie skoro już 17 lat przeżył w tym

stanie ciągłego umartwienia i upokorzenia, Bóg chciał uwielbić sługę swego, dał mu poznać, że godzina jego śmierci się zbliża i rozkazał mu, aby spisał swój żywot od czasu ślubu i oddalenia się z domu rodziców. Aleksy uczynił jak mu P. Bóg rozkazał, i zwinąwszy pergamin, na którym spisał historyę swego życia, oddał ducha Bogu, jeszcze w ręku trzymając dopieroco skończone pismo.

Eufemian dowiedziawszy się, że ów żebrak już umarł, chciał go obaczyć, i w towarzystwie swej żony Aglaidy i synowej udał się do owego zakątka pod schodami. Znalazł go tam leżącego na odrobinie słomy, pełnego niebiańskiej piękności, trzymającego w ręku zwinięty pergamin. Rozwinąwszy pismo, począł czytać i oczom swym nie wierzył, bo oto dowiedział się z tego pisma, że ten ubogi żebrak to jego najmilszy syn Aleksy, który dla miłości Bożej wyrzekł się wszelkiej miłości ziemskiej, znosząc nieustanne katusze serca, na widok najdroższych rodziców i najmilszej małżonki, — dodał nadto, że swej małżonce zostawił pamiątkę pierścień i pasek w szkarłatnem zawiniątku, i że się nazywa Aleksy.

Niepodobna wyrazić łez, łkania i uścisków małżonki i rodziców, którzy dopiero wtenczas poznali rysy tego, którego tak opłakiwali. Znaleźli go wprawdzie, lecz niestety

nie posiadali, tylko śmiertelne zwłoki jego. Pocieszali się jednak tem, że dusza jego była już w niebie!

Takiego to heroizmu zdolna jest miłość Boża, jeźli sercem człowieka zawładnie. (Schoupe t. II. str. 310.).

Uwaga. Poprzestajemy na przytoczeniu tych dwu przykładów miłości Bożej. Pierwszy z nich wskazuje zwyczajną, drugi nadzwyczajną drogę. Pierwszy naśladować, drugi podziwiać możemy. Każdy żywot Świętego lub Świętej, jaki w tem dziełku i w innych znajdziesz, jest najpiękniejszym przykładem miłości Bożej.

Drugie przykazanie miłości.

„Będziesz miłował bliźniego twego jak siebie samego“.

Najpewniejszym dowodem miłości Boga, jest miłość bliźniego, która zależy na tem, że dla Boga *czynimy* dobrze ludziom nietylko nam miłym, ale nawet i nieprzyjaciołom naszym.

Uczciwy człowiek a chrześcijanin.

Dobiegłem już połowy mego życia, — opowiadał w kółku życzliwych przyjaciół Donozo Kortez (Donoso Cortez), były poseł hiszpański w Paryżu: — Czytanie francuskich książek pozbawiło mnie wiary i chrześcijańskich przekonań. A przytem uważałem siebie za tak uczciwego człowieka, jak tylko być może.

Towarzyszyłem królowej Chrystynie do Paryża i tam zaznajomiłem się z innym Hiszpanem Don Manuelem.

Był to uczciwy i prosty człowiek, nie odznaczający się talentem, ale prawy, zacny i bardzo religijny, całkowicie oddany ćwiczeniu się w uczynkach miłości bliźniego.

Dziwna rzecz! Ja także byłem poczciwym, zacnym człowiekiem — ale jego poczciwość była zupełnie czem innem jak moja. W jego uczciwości było coś, czegom ja sobie nie umiał wytłómaczyć; a jednak to sprawiało, że jego uczciwość wydawała mi się daleko wznioślejszą, jak moja. Zkąd to pochodziło? Mówiłem o tem z samym Don Manuelem. On mi zaś poprostu rzekł:

— Ponieważ ja zostałem chrześcijaninem, a pan nim być przestałeś.

— Te słowa silne wrażenie na mnie wywarły; nieraz o tem myślałem, ale zawsze jeszcze nie mogłem tego dobrze pojąć.

Wtem odebrałem wiadomość, że brat mój zachorował w Madrycie. Natychmiast pojechałem do niego i znalazłem go bardzo niebezpiecznie chorym.

Podczas gdym przebywał u niego i pielęgnował go w chorobie, opowiedziałem mu moją rozmowę z Don Manuelem.

— Słusznie, rzekł brat mój, on ci powiedział prawdziwą przyczynę.

Następnie jaśniej mi wytłómaczył owe słowa don Manuela, a to, co mi o tem powiedział, tak mnie wzruszyło, że gdy w kilka dni potem umarł, nic mi z całej spuścizny

jego nie było tak drogiem, jak spowiednik, którego mi zostawił.

Ktoś, co był obecny przy tej rozmowie Donosa Cortes'a, rzekł:

— Panie ambasadorze! Szczególniejszą łaskę udzielił panu Bóg miłosierny, że panu w tak ważnej sprawie dał poznać właściwą przyczynę i tak jasno pana oświecił, chociażeś pan o tem nie myślał, aby Go znaleźć. Musi być przecież w życiu pańskiem coś, co panu niejako tę łaskę zasłużyło.

— Moje całe życie szło bardzo zwyczajnym trybem, odparł Donoso Cortes. Być może, że pewne usposobienie, pewne uczucie mego serca Panu Bogu się podobało: tj. *że nigdy nie spojrzałem na ubogiego, aby nie myśleć, że on jest moim bratem.* (Erb. St. 1885).

Anioł dobroci.

Sławny francuzki pisarz i mężny obrońca Kościoła katolickiego, Ludwik Veuillot opowiada w jednem ze swoich dzieł (Piotr Saintirę) następującą historyę:

Żyje w Paryżu ubogi rzemieślnik Gerhard, który mi przy pożarze wielkie oddał przysługi. Z wdzięczności odwiedziłem tego człowieka. Mówiono mi, że się znajduje w bardzo smutnem położeniu i rzeczywiście mieszkanie jego, jak też i całe otoczenie w jakiem się znajdował, przedstawiało widok najokrop-

niejszej nędzy. Ani sprzętu, ani ognia wśród ostrej zimy, ani kawałka chleba, a bladość głodu na twarzach dzieci.

Dzieci te tuliły się drżąc od zimna, do starca okrytego łachmanami. Znajdowała się tam także kobieta, która straciła odwagę do pracy, a odwagi do żebrania nie nabrała; nadto był tam człowiek ponury i cierpiący, upadły pod ciężarem trudów i niedostatku. Wszyscy ludzie w ponurem milczeniu, między czterema gołemi ścianami, skostniali od zimna. Był to straszny widok; ale najstraszniejszą była czarna rozpacz tych nieszczęśliwych. Już dawno w tej nędzy zostawali; już nie usiłowali wcale wydobyć się z tego rozpaczliwego położenia, już się nie skarżyli. Gdym tam przyszedł, miano ich właśnie wyrzucić z mieszkania; wiedzieli to, ale wcale nie myśleli o tem nowem nieszczęściu.

Podziękowałem Gerhardowi za pomoc udzieloną mi przy pożarze; już nic o tem nie wiedział; potem starałem się dodać mu odwagi. Ale zaledwie kilka słów wymówiłem, uczułem, jak słabe i niedostateczne były moje pociechy. Byłto groch rzucony o ścianę.

Gerhard rzekł tylko:

— Wszystkiegośmy próbowali.

A żona dodała:

— Jużto my na nędzę skazani.

Starzec, leżący na łożu łachmanów rzekł gasnącym i ponurym głosem:

-- Musimy w nędzy zginąć!

Potem umilkli ci opłakani ludzie; a ja mógłem dalej moją piękną mową się popisać, ale dałem pokój i pobiegłem kupić żywności, która im bardziej była potrzebna, jak cała moja wymowa, z której w podobnych wypadkach użytku więcej robić nie będę.

Postanowiłem sobie powtórnie go odwiedzić; ale miałem głowę zawsze tylko pełną szlachetnych zamiarów, podczas gdy bale, różne towarzystwa, samotne przechadzki, bezużyteczne czytania czas mój zapełniały; nie miałem już czasu do dobrego uczynku, który postanowiłem wykonać. Ograniczyłem się na tem, żem Gerhardowi kilka razy nieco pieniędzy posłał przez służącego, a ponieważ tenże dość pomyślne o tej rodzinie przynosił wiadomości, nie troszczyłem się o nią dalej, aż dopiero dziś rano, niewiem za jakiem szczęśliwem natchnieniem, postanowiłem natychmiast ją odwiedzić i nareszcie czynnie jej dopomódz. Tak tedy powoli wstępowałem po schodach, które do ich nędznego mieszkania wiodły.

Jakież było moje zdziwienie, gdym się zbliżał do drzwi i usłyszał czyste, słodkie tony piosnki ludowej, śpiewanej głosem kobiecym i śmiech rozkoszny wesołych dziatek! Jakto? Śpiew i śmiech w mieszkaniu tej dzikiej rozpaczy? Nie pojmowałem tego, sądziłem, żem zabłądził i wszedłem z waha-

niem się. Na pierwszy rzut oka ujrzałem istne cuda i nie mogłem sobie zdać sprawy z tego com widział.

Starzec był jeszcze chory i w łóżku, ale to łoże było teraz czyste i miękkie, a poczciwy starzec okazywał swą miną, jak mu tam było dobrze i wygodnie; mieszkanie było ubogie, ale każdy sprzęt błyszczał schludnością; deszcz już nie wciskał się przez rozbite szyby, a przez okno zdobne firankami, zaglądały pierwsze promyki słońca wiosennego.

Ściany były nagie ale czyste, a na najprzedniejszem miejscu wisiał obraz Zbawiciela i N. Panny Maryi, a pod obrazem w wazonku kwitł cichy posłaniec wiosny: rozeta; dwie makolągwy szczebiotały w starej klatce przy oknie, na małym stoliku leżał piękny chleb a na ognisku gotowała się wonna zupa. Słowem, izba była zamieniona i tak jasna, tak wonna, tak cicha, że mi do dziś dnia stoi przed oczyma obraz szczęścia, jaki pierwszy raz w życiu widziałem.

Tajemnica tej przemiany niedługo mi była ukryta. W środku izby stała młoda osoba, którą często w towarzystwach widywałem, panna Lacroix (Lakroá), bardzo skromna i pobożna dziewica.

Zawsze ją poważałem, teraz muszę ją podziwiać. Położyła kapelusz na stołku, przepasała fartuszek i ubierała najmłodsze dziecko

Gerharda, śpiewając mu przytem wesołą piosnkę.

Malec, którego bladość zdradzała jeszcze chorobę, stał cicho, gdy ona go myła i czesała, a starszy brat i siostra śpiewali za nią piosenkę. Za mojem przybyciem ucichł śpiew, a panna Lacroix zmięszała się bardzo. I ja poczerwieniałem, witając ją, ale jej zakłopotanie nie trwało tak długo, jak moje.

Czyniąc alluzyę do tej nędznej jałmużny, którą dałem Gerhardowi, rzekła:

— Oto widzisz pan skutek swej dobroczynności.

— Ach, odrzekłem, zawstydzony jej pokorą, dobroczynność nie zależy na tych kilku złotówkach, które się ubogim posyła; prawdziwa dobroczynność sama przychodzi do ubogich, a jej szlachetne ręce ich obsługują.

— Tak, uśmiechając się, rzekła panna Lacroix, przychodzi, bierze zapłatę za to, co daje i to nieraz jeszcze naprzód. Ja stałam się bez wiedzy, podskarbim pana i Soursaca, a pan pomogłeś tym biednym ludziom. Za datki pańskie i jego kupiłam to łóżko i te sprzęty, najęłam prócz tego jeszcze izbę dla Gerharda i jego dzieci, składki i dobroczynność księży proboszczów uzupełniły resztę.

Soursac znalazł dla Gerharda robotę; dla jego żony postaraliśmy się o porządne domy, w których jako wyrobnica pracuje; teraz

więc nabrali otuchy; jeśli im jeszcze nieco pomożemy, wyjdą zupełnie z nędzy. Zresztą jesteśmy przy tem wszystkiem tylko sługami wyższego Pana.

Zwracając się do starszego chłopca, rzekła:

— Mama tu zaraz przyjdzie, ja muszę iść. Bądźcie tu grzeczne dzieci i nie naprzykrzajcie się ani dziaduniowi, ani temu panu.

Do mnie zaś rzekła:

— Pan z pewnością zaczeka na żonę Gerharda. Niezmiernie się ucieszy, że będzie mogła panu podziękować. Ja miałam aż do jej powrotu pilnować domu, ale pan tymczasem niech mnie zastąpi: niech żadne z dzieci do ognia się nie przybliża, ptaszków nie straszy, a choremu trzeba od czasu do czasu dać pół szklanki tego napoju, jeśli zażąda.

Mówiąc to wszystko nadzwyczaj uprzejmie, odwiązała fartuszek, włożyła kapelusz, uściskała dzieci i chciała odejść. Gdy się odwróciła, starzec chwycił za koniec jej szala, i całował go z wyrazem takiej czci i miłości, że poznałem, czem był ten Anioł w postaci ludzkiej dla tej biednej rodziny.

— Niech Cię Bóg tysiąckroć błogosławi, szlachetna panienko! rzekł starzec, gdy drzwi za sobą zamknęła.

Mój panie, rzekł, zwracając się ku mnie, już od kilku miesięcy służy nam jak służąca i pielęgnuje nas jak dzieci. Ale ja nie mogę wszystkiego opowiedzieć, co ona dla

nas uczyniła; my sami nie wiemy; tylko Bóg wie. Lecz ona nie chce, aby o tem mówiono — ale doprawdy, ona czyni cuda. Zaledwie się u nas zjawiła — już się wszystko zmieniło. Było to trzy czy cztery dni po pańskich odwiedzinach. Pan wiesz, w jakiem my byli położeniu. Paneś nam dał pieniędzy, ale pieniądze się rozeszły, nie wiemy jak, a my pozostaliśmy w jeszcze większej nędzy. Nigdzie chleba, ani nadziei, a dzieci zawsze głodne; syn mój był jak obłąkany; synowa chciała przynieść węgli, aby nas wszystkich dymem zadusić; ja byłem jak nędzne zwierzę bliskie śmierci, i wszystko było mi obojętne.

Jednego poranka ktoś zapukał. Pewnie jakiś wierzyciel albo gospodarz domu, który nas chce wyrzucić. Wszystko jedno! Ależ oto! zjawisko anioła! Poczciwa panienka staje we drzwiach, ogląda się i zaraz wie, czego nam potrzeba. Pyta się nas, czy wierzymy w Boga, który jest Ojcem nieszczęśliwych.

— Jeśli jest jaki Bóg, odrzekł mój syn, to się o nas nie troszczy.

— A czemuż On mnie do was posyła? zapytała panna Lacroix.

I zaczęła nam mówić o Bogu i do łez nas poruszyła.

Ach, myśmy już dawno o Bogu nie myśleli, i ztąd zapewne pochodziła nasza nę-

dza, bo odkąd o Nim myślimy, wszystko się zmieniło. Przyszła na drugi dzień z pełnemi rękami; kocha dzieci, myje je, czesze, ubiera, najmniejsze bierze ze sobą na świeże powietrze, ale nim odchodzi, klęka i uczy nas modlitwy, której nigdy, jak długo żyć będziemy, nie zapomnimy. Odtąd codzień przychodzi wśród słoty, wiatru i zimna; nic jej nie odstrasza. Codzień coś nowego przynosi, coś zrobi, na nowo wszystko urządza.

Dziś kupi łóżko, jutro bieliznę, którą sama szyje, podczas gdy dzieci uczy; zgoła wszystko, wszystko — i ten obraz, co nam przypomina niebo, ptaszki, pociechę dla dzieci i te kwiaty w wazonku, rozkosz dla moich starych oczu, wszystko jej zawdzięczamy. Tak panie, dla mnie przyniosła ta poczciwa dusza te kwiaty, bo już tak dawno nic zielonego nie widziałem, i nawet panu nie mogę wyrazić, jaką pociechę mi niemi sprawiła.

Po kilku dniach Gerhard jakby się ze snu obudził, synowa nabrała otuchy, ja sam czuję, że mi lepiej.

— Teraz inaczej żyć będę, rzekł dnia jednego Gerhard, bo odkąd mu się źle wieść zaczęło, oddał się pijaństwu, ale napomnienia panny L. go wzruszyły.

— Dobrze, rzekła, żeś pan powziął to postanowienie, teraz mogę panu powiedzieć, żem dla pana znalazła zajęcie.

Rzeczywiście tak było, i odtąd ma pracy dostatkiem. I synowa, mając zdrowe dzieci, i będąc porządnie odziana, ma dosyć pracy, dzięki poleceniom panny Lacroix.

Tak tedy tylko ja sam jeden jestem do niczego, a jednak panna L. mówi: że ponieważem stary, i nic więcej robić nie mogę, powinienem się za wszystkich modlić, to będę miał dosyć roboty.

Musiałem jej tedy wyznać, co mi kamieniem ciężyło na sercu, że będąc źle wychowany, źle żyłem i nic prawie nie wiem o Panu Jezusie Chrystusie, że nawet nigdy jeszcze u Komunii nie byłem.

— Ach, rzekła uprzejmie, jeśli tak, to się będziemy razem uczyli katechizmu, i obiecuję wam, że nie umrzecie, nie poznawszy Pana Boga.

I usiadłszy przy łóżku, uczyła mnie prawd wiary. Z początku nie szło to tak łatwo, ale jej słowa i rozmowy z panem Soursac, jej krewnym, którego przyprowadziła i z ks. proboszczem pouczyły mnie o wszystkiem — a wszystko jest tak proste i dobre!

Raz rzekła do synowej:

— Przystrójcie izbę, jak tylko możecie najpiękniej, a wy staruszku, przygotujcie się, Pan Jezus sam chce przyjść do was.

Ach! ponieważem tej łaski dostąpił i Pana mojego widziałem, mogę z starym Sy-

meonem powtórzyć: „Teraz wypuść Panie sługę swego w pokoju!“

Już się dosyć nażyłem, i niczego już na tem świecie nie pragnę. Niech mnie dobry Bóg powoła do obrachunku.

Muszę się też modlić za tę szlachetną duszę, która się tyle za mnie modliła, i nie tylko te kilka dni, które mam na tym świecie przeżyć, osłodziła, ale i wieczne szczęście mi zapewniła.

Starzec umilkł. Zatopiony w myślach, rozważałem w cichości dziwne drogi Boże.

Takie były uczynki Anioła dobroci i takie ich owoce.

Miłosierne dziecko.

Helena S. była miluchnem dzieckiem dziewięcioletniem.

Rodzice oddali ją na wychowanie do zakładu Sióstr zakonnych, przez co tkliwe serce Helenki stało się przystępnem dla bojaźni Bożej i wszelakiej cnoty.

Codzień z natężoną uwagą słuchała nauki religii, a następujący rys jej dziecięcej pobożności dowodzi, jak bardzo tę naukę brała sobie do serca.

Katecheta mówił o sądzie ostatecznym i wspomniał o słowach Zbawiciela, któremi powita wybranych: *Pójdźcie błogosławieni*

Ojca mego, albowiem byłem głodnym, a nakarmiliście mnie, byłem spragnionym a napoiliście mnie. Helena była bardzo wzruszona.

Wieczorem tego dnia odwiedził ją ojciec, co jej wielką sprawiło radość. Miał zwyczaj przynosić jej zawsze jakich łakoci, ale dziś rzekł:

— Nie miałem dziś czasu, kupić ci ciasteczek Helenko; oto masz: kup sobie za to co ci się podoba.

To mówiąc dał jej dukata.

Helenka serdecznie za to ojcu podziękowała i zapytała, czy może tych pieniędzy użyć wedle upodobania.

Ojciec, który znał swą córeczkę, chętnie zezwolił, aby z temi pieniędzmi zrobiła, co się jej podoba.

Zaledwie ojciec z nią się pożegnał, gdy Helenka rozpromieniona radością pobiegła do matki przełożonej i zawołała:

— Przewielebna matko! tę złotówkę dał mi mój ojciec; mogę sobie za nią kupić ciastek, albo użyć jej na co mi się podoba. Niech mi mateczka więc powie, czego ta biedna kobieta N. najbardziej potrzebuje; bo ona tu często przychodzi i prosi o jałmużnę; ja jej to kupię i zaniosę, bo na ostatecznym sądzie Pan Jezus nie powie do mnie: „Chodź do nieba, Heleno, boś jadła ciasteczka,“ ale z pewnością zaprosi mnie, gdy będzie mógł

do mnie powiedzieć: „Byłem głodny, a tyś mnie nakarmiła.“

Przełożona czyniła jej jeszcze trudności, aby jej stanowczość na próbę wystawić, ale Helena była niewzruszona. Kupiła więc za to prześcieradła a Helena zaniosła je wraz z różnem pożywieniem ubogiej kobiecie. (Erb. str. 1885).

Kardynał Bellarmin.

Wielebny Bellarmin, kapłan Towarzystwa Jezusowego, następnie kardynał i arcybiskup Kapuy, nie tylko był świetnym i głębokim teologiem, ale co więcej, wzorem wszystkich cnót. Powszechnie podziwiano jego nadzwyczajną surowość względem siebie, i dobroć serca względem ubogich Chrystusowych.

Nigdy niczego ani dla siebie, ani dla swej rodziny się nie domagał, chociaż był na takiem stanowisku, że wiele mógł uzyskać.

Razu pewnego rzekł Ojciec św. Paweł V. do niego:

— Jaki z ciebie dziwny człowiek! Inni coraz to nowe życzenia swoje mi przedkładają i rzadko są zadowoleni: Tobie nic nie daję, a Tyś zawsze zadowolony.

— Urodziłem się ubogim szlachcicem, odrzekł Bellarmin, przez długi czas żyłem jako

ubogi zakonnik; pragnę też żyć i umrzeć jako ubogi kardynał.

Jakkolwiek tak ubogo żył jako kardynał, ubogim jednak z niewyczerpaną wspaniałomyślnością dawał jałmużnę. Kiedy nie miał pieniędzy, dawał swe meble.

Raz sprzedał swój powóz, to znowu darował swój materac. Gdy ubogi wychodził z domu kardynała z materacem, ujrzał go służący tegoż i odkupił materac za własne pieniądze.

W pobliżu jego pałacu umarła uboga kobieta.

— Czy wiedziałeś, jak ubogą była ta kobieta? pytał kardynał swego sługę, który mu o tej śmierci doniósł.

— O tak, już dawno, łaskawy panie! była odpowiedź.

— A tyś mi o tem nic nie powiedział? rzekł niczadowolony kardynał.

— Łaskawy panie, ja wiedziałem, że Eminencya nie ma pieniędzy.

— Ależ miałem jeszcze ten pierścień, rzekł Bellarmin ze łzami w oczach.

Gdy zachorował, zarządzili lekarze, aby się udał do Frascati (Fraskati) na świeże, czyste powietrze.

Zawołał tedy swego ochmistrza.

— Mój przyjacielu! zapytał, czy tam drogo będzie we Frascati?

— Prawie dwa razy tak drogo, jak w Rzymie.

— O moi kochani ubodzy! zawołał Bellarmin, musielibyście pościć! Zostaniemy w Rzymie.

Raz wieczór mało konie jego nie spłoszyły się na jednej ulicy w Rzymie w skutek wystrzału, który padł w pobliżu. Krzyk serce rozdzierający dał się słyszeć. Z trudnością tylko spłoszone konie dały się utrzymać.

Kardynał natychmiast wysiadł i obaczył człowieka w krwi się tarzającego głowę mu zaś podtrzymywała młoda dziewczyna, gwałtownie płacząca.

— Łaskawy panie! jęczał zraniony, to jest moja córka, a ten co ją chciał porwać... mnie zastrzelił.

Kardynał kazał konającego zanieść do domu znajomego sobie patrycyusza i rzekł do jego małżonki:

— Łaskawa pani, prowadzę ci tu ubogą dziewczynę, która wkrótce utraci ojca. Chcesz pani być jej matką?

Nie pozwolił, aby kto inny za nią płacił i sam hojnie ją wyposażył. (Erb. St.).

Przemyślna miłość.

Generał francuski Ambert opowiada następujące zdarzenie:

W roku 1836 musiałem z obowiązku służbowego udać się do szpitala. Chciałem odwiedzić jednego biedaka, który mnie obsługiwał. W Konstantynie zachorował ciężko i był bliskim śmierci.

Ponieważ sztuka lekarska okazała się bezsilną, więc lekarze omijali łoże mego kawalerzysty, mając go za straconego. Był on bardzo samotny i zdaje się zupełnie opuszczony na ziemi. Zdało się nawet, że nikt nie zna jego imienia; zaledwie wiedziano, że się tam znajdował. Znano go tylko jako Nr. 23 — bo taki numer wisiał na tabliczce nad jego głową.

Kiedym stanął u nóg jego łóżka, zdawał się mnie nie poznawać. Zawołałem nań głośno, ale on się nie ruszał.

Nagle dał się słyszeć lekki szmer. Ten szmer, który ja ledwie spostrzegłem, wlał życie w chorego. Była to siostra miłosierdzia, która się zbliżała; konający pierwszy ją spostrzegł.

Poczciwa siostra przystąpiła do jego łoża, otarła mu zimny pot z czoła, pochyliła się do jego ucha i rzekła łagodnie i uprzejmie:

— Józefie, jak się macie?

Dla wszystkich był ten żołnierz w tem miejscu tylko Nr. 23; dla mnie był zawsze kawalerzystą M. dla siostry miłosierdzia był Józefem.

Skoro przez kilka chwil postała i macie-

rzyńską miłością mu się przypatrywała, rozwinęła serwetę, wyjęła z niej kwiaty i porozkładała je na łóżku Józefa.

Chory się zerwał, oczy jego zabłysły radością, i rękami chwytał kwiaty i pieścił się niemi. Siostra obróciła się ku mnie i rzekła:

— Józef był ogrodnikiem, nim wstąpił do wojska.

Komużby było wpadło na myśl, aby temu konającemu przynieść kwiaty? Żaden filozof nie byłby odgadł, żaden uczony nie byłby wpadł na podobną myśl — ale siostra miłosierdzia wiedziała o tem dobrze.

Opowiedziałem siostrze, że Józef M. należał dawniej do mej jazdy, i wiedziałem, że siostra ta nazywała się Marta.

Dwanaście lat później t. j. 25 czerwca 1848 roku znajdowałem się wraz z mojemi batalionami w pobliżu ratusza. Dwaj żołnierze nieśli na barkach młodego gwardzistę 16-letniego, któremu kula strzaskała plecy. Siostra miłosierdzia wzięła go pod swą opiekę. W tej samej chwili wyskoczył dowódzca powstańców z sąsiedniego domu, trzymając nóż myśliwski w ręku. Rzucił się na zranionego gwardzistę i zawołał:

— Zdrajco, umieraj!

To mówiąc, chciał go przebić swym nożem. Ale siostra obróciła się, przeżegnała się i stanęła przed dzikim powstańcem, który miasto gwardzisty ją nożem ugodził.

Zachwiała się i upadła na kolana obok zranionego gwardzisty, jakoby go chciała zasłonić.

Lecz nagle wypadł jeden z gwardzistów, którzy pospieszyli z prowincyi, aby walczyć w obronie porządku i rzucił się między siostrę i powstańca i przebił go bagnetem.

Siostrą tą była Marta, a gwardzistą był mój kawalerzysta M. Skoro spokój nastąpił, obaczyłem go znowu, choć myślałem, że on już dawno nie żyje.

Opowiadał mi, że przez troskliwość, nocne czuwania, przez miłość modlitwy, miłość kwiatów, miłość słów uprzejmych, miłość łez i nadziei, siostra Marta życie mu wróciła.

Pomoc sztuki lekarskiej była bezsilną, łzy rodziny były niedostateczne, ale chrześcijańska miłosiernej siostry miłość cudu dokazała.

Nagrodzona jałmużna.

Edward B. miał lat 19 i mieszkał w skromnym pokoiku wraz z matką, która po zbyt ciężkiej i bolesnej chorobie zupełnie bezsilną była. Powoli tylko do sił powracała, bo mała pensyjka zaledwie na najniezbędniejsze potrzeby wystarczała. Syn był wprawdzie subjektem u bogatego kupca, ale i jego pensya nie była zbyt wielką. Codzień wychodząc z domu, żegnał najczulej matkę, której co

miesiąc najsumienniej całą swą pensyę wręczał i spieszył do sklepu mając zaledwie 10 centów w kieszeni, za które miał sobie chleba kupić.

Już w pierwszych dniach, skoro został subjektem, spotykał na drodze starca, który wprawdzie sprzedawał zapałki, ale właściwie prosił o jałmużnę. Oblicze tego starca miało wyraz szlachetny i pański, ale zarazem zdradzało tyle cierpień i niedostatku, że Edward wzruszony litością, chętnie mu 3 centy ofiarował.

Tak było codzień. Między nim a owym starcem zawiązała się poufała zażyłość. Starzec opowiadał mu, że dawniej miał się dobrze, ale że nie miał szczęścia.

— Wstydziłem się, mówił, żebrać, i dlatego wyrobiłem sobie pozwolenie sprzedawania zapałek. Mam wprawdzie nieraz pustki w kieszeni i cierpię nieraz głód, ale przecież jestem wolny i używam świeżego powietrza.

Wskutek tej jałmużny miał Edward tylko 7 centów; trwało to przez niejaki czas, aż razu pewnego rzekł starzec do niego, że nic nie zarobił, i że dlatego nie będzie miał co jeść. Edward dał mu 10 centów, myśląc sobie, że może poczekać, aż wróci do domu.

Zaledwie uszedł kilka kroków, gdy oczom jego przedstawił się jeszcze boleśniejszy widok. Blada i wychudła kobieta wlokła się

powoli niosąc na rękach dziecko wynędzniałe. I ta biedna kobieta sprzedawała zapałki. Spojrzała na Edwarda wzrokiem błagalnym, który bardziej jak słowa o litość żebrał. Mimowolnie sięgnął Edward do kieszeni, ale ta była próżna. Bolesno mu było, że nadzieja biednej kobiety na niczem spełzła — ale wspomniał, że ma w kieszeni kawałek chleba, który brał ze sobą na drugie śniadanie.

Ten wyjął i dał go owej kobiecie, myśląc sobie, że mu za to obiad będzie daleko lepiej smakował.

Przyszedłszy do sklepu, zaczął Edward B. gorliwie pracować. Po kilku minutach zawezwał go pryncypał do siebie. Edward się bardzo zdziwił, bo jego podrzędne stanowisko sprawiało, że prawie nigdy się z pryncypałem nie stykał.

Zdziwienie jego jeszcze więcej się wzmogło, gdy pan F. który był właśnie przy śniadaniu, kazał mu przy sobie usiąść, i najuprzejmiej go zaprosił, aby z nim zechciał zjeść śniadanie. Natychmiast oświadczył mu pryncypał, że go posuwa na wyższe stanowisko, na którym pensya jego przeszło 1000 fl. będzie wynosiła. Dodał nadto, że i na przyszłość będzie na niego pamiętał, i „mam nadzieję, kończył, że pan w moim sklepie jeszcze wyższe zajmiesz stanowisko.“

Lecz cóż było przyczyną takiej odmiany? Oto pryncypał kilka razy przypadkiem

przypatrywał się rozmowie Edwarda z owym starcem, nie będąc spostrzeżonym.

Gdy Edward poszedł do sklepu, przystąpił pryncypał do owego starca i dając mu jałmużnę, zapytał go o treść rozmowy z Edwardem i tak się zbudował i ucieszył tem, co mu o nim starzec opowiadał, że postanowił jego miłość i miłosierdzie nagrodzić. (Erb. St. 1884).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.
L. 4831. *X. Wład. Długołęcki T. J.*

POZWALAMY DRUKOWAĆ.
(L. S.) † *A. Kard. Dunajewski*
Książę-Biskup.
Kraków 2 Grudnia 1891.

W Krakowie, w drukarni „Czasu" pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego, T. J.

Drugie Przykazanie miłości.

(Dokończenie).

Mleczarka i siostra miłosierdzia.

Baron O., był wielkim miłośnikiem ludzi. Nie lubiał takich dzieł miłosierdzia, które najczęściej głoszone po gazetach, obrachowane są na tytuły i ordery, lub na jakąkolwiek pochwałę ludzką.

Żył bardzo skromnie, aby mógł z tego co mu zbywało, jak najwięcej wspierać ubogich, których rzeczywiście bardzo wiele kochał, chętnie odwiedzał i pielęgnował.

Uczył się medycyny, a tytuł doktora nie mniej mu był miły, jak tytuł barona. A jednak mimo tego wszystkiego, wielki miał błąd i nieszczęście, że wcale wiary nie miał.

Baron miał córkę jedynaczkę. Chociaż był wdowcem i córkę bardzo kochał, jednak nie zrobił jej żadnych trudności, gdy w 25-tym roku życia postanowiła zostać siostrą miło-

sierdzia. Uspokoił się tem, że przez kilka miesięcy swoje powołanie wypróbowała, i swego ojca duchownego o zdanie i radę pytała. Tak tedy, jego ukochana córka, została ubogą siostrą Eudoksyą w zgromadzeniu św. Wincentego a Paulo.

Od roku siostra Eudoksya znajdowała się jako przełożona apteczki w szpitalu miejskim w Castres (Kastr).

Niewierzący jej ojciec, w czasie cholery wiele dni i nocy spędził wraz z kapłanami przy łożu chorych. Nigdy kapłanom w spełnianiu ich obowiązków nie stawiał trudności. — Nie trzeba, jak mówił, biednemu ludowi zabierać jego złudzeń, które mu przynoszą pociechę.

Szlachetne poświęcenie się kapłanów, które nie mniejsze było jak jego własne, a nawet nieraz większe, bynajmniej nie zachwiało jego niewiary.

Pewnego styczniowego poranku, powrócił baron od jednego z swoich najuboższych pacyentów, a było wtedy bardzo zimno i ślizko tak, że trzebaby było mieć łyżwy, aby bezpiecznie módz przejść przez ulice miasta. Baron poślizgnął się, i gdy chciał się utrzymać w równowadze, upadł wywichnąwszy nogę. Na nieszczęście jeszcze taka gęsta mgła zaległa ziemię, że nikt go nie dostrzegł, jak leżał na rogu jednej ulicy.

Nagle jednak przystąpiła do niego wysoka, silna i bardzo zacna mleczarka.

— Ach, to pan, panie baronie? przywitała go, co pan tu robi?

— Zkądże mnie pani zna?

— Zkąd pana znam? A któż w całej okolicy nie zna pana barona. O?... Ale co to panu?

Baron opowiedział jej, że zwichnął nogę, i nie może się ruszyć. Poczciwa mleczarka wzięła barona na plecy i niosła go po ślizkich ulicach przez pół godziny, aż do domu barona.

Aby nie zważać na ból, pytał się baron mleczarki:

— Czemże się pani odwdzięczę? Uczynię co pani chce, jeźli to będzie w mej mocy.

— Panie baronie, złapałeś się pan, — rzekła mleczarka śmiejąc się. — Czem się mi pan może odwdzięczyć? Mówiąc otwarcie, nigdy nie myślałam, że mi się tak wyborna sposobność nastręczy powiedzieć to panu. Księdza możesz pan do siebie poprosić, szczerze go usłuchać i dobrym chrześcijaninem zostać. Wierz mi pan, to prawdziwe zgorszenie, takiego człowieka jak pan, w rzeczach religii widzieć po stronie podłych rozpustników.

— Pani jesteś świętym Janem Złotoustym, ale cóż robić? dałem pani słowo i dotrzymam go. Poproszę do siebie kapłana. Jego

rzeczą będzie, przekonać mnie i nawrócić; ale pani naprzód mówię, że się dobrze napoci, niż zemnie zrobi chrześcijanina.

— Ale ja wiem, że ten trud będzie bardzo miły.

Jeźli tak prawy mąż jak baron, okaże gotowość słuchania słowa Bożego, to z pewnością nie będzie się uparcie sprzeciwiał prawdzie; i owszem podda się jej bezwarunkowo, poniesie klęskę błogosławioną, która więcej będzie warta, jak wszystkie dawniejsze zwycięztwa.

— Widzi ksiądz dobrodziej — rzekł baron do ks. Antoin'a przy drugiej rozmowie, to opatrzność Boska, że odemnie wyłudzono tę obietnicę... inaczej byłbym był gotów w mej bezbożności umrzeć. Dlaczego? Sam tego nie wiem, być może tylko dla tego, żem uparty.

Któż opisze radość i wdzięczność siostry Eudoksyi! Inaczej nie mogła się mleczarce odwdzięczyć, jak tylko napisaniem do niej listu, ale list ten tak był piękny, że mleczarka była nim zachwycona.

A baron odżył na nowo. On, co uczynki miłosierdzia tak bardzo miłował, zdawał się, że teraz odkrył ich ducha, ich podstawę, ich niebieskie źródło, i ów balsam, który z czułego chrześcijańskiego serca na rany ciała i duszy spływa, i wracając do swego źródła, napawa serce niebiańską słodyczą.

— Księdzu to zawdzięczam wszystko! rzekł do kapłana, jakże ci się wywdzięczę?

— Ach, panie baronie, czyż pociecha płynąca z przekonania, że się duszę do Boga nawróciło, nie jest nadobfitą nagrodą? odrzekł kapłan, zwłaszcza gdy idzie o tak zacną duszę?

Jednego poranku, przybiegła mleczarka do barona zakłopotana. Trzymała w ręku list.

— Oto tu, panie baronie, masz pan sposobność odwdzięczyć mi się, rzekła poczciwa kobieta płacząc — módl się pan, o módl się pan za mego biednego syna; on jest przy wojsku w Algierze i pisze mi tu takie rzeczy, że mi się aż serce kraje. Boję się bardzo, czy on wiary nie stracił.

Baron obiecał pilnie modlić się za niego. Tymczasem siostrę Eudoksyę przeniesiono z Castres do Tuluzy i to do wojskowego szpitala. Szpital był przepełniony. Ośm dni temu, znaczna liczba chorych żołnierzy z Algieru przybyła.

Siostra Eudoksya, troszczyła się jak mogła, aby im na niczem nie zbywało. Spostrzegła między innymi młodego jeszcze żołnierza, którego febra prawie wyniszczyła, który jednak zawsze miał pochmurne oblicze, a usta szyderczo wykrzywione.

Z taktem, znamionującym siostrę miłosierdzia, która tak często i tak zręcznie matkę zastąpić umie, spostrzegła Eudoksya, że

on musi mieć ranę na duszy, że ta rana starannie ukrywana, staje się coraz niebezpieczniejszą, a zwierzenie się poufne może ją uleczyć.

Podwoiła więc troskliwość swą względem niego, a on ani pytany, otworzył jej pewnego dnia z całą szczerością swe serce. Opowiedział jej, że był bardzo po chrześcijańsku wychowany, że matka jego nietylko jest pobożną, ale świętą osobą.

Gdy się więc Eudoksya dowiedziała, jak się nazywa, i że wiarę utracił, podwoiła jeszcze swe usiłowania, by tę straconą duszę do Boga nawrócić. Miała wspaniałą okazyę, odwdzięczyć się mleczarce za nawrócenie jej ojca, przez nawrócenie jej syna.

Jednego dnia tak mówiła do chorego:

— Ja znam matkę pana, dobrą, gorliwą, pobożną i miłosierną panią M. Ona podwójnie ocaliła mego ojca, bo najprzód na ciele, a następnie na duszy. Chciałabym jej się za to jak najlepiej wywdzięczyć. Pan sam możesz mi w tem dopomódz. Uczyń pan to, co mój ojciec uczynił. Ja nie żądam wcale, byś się pan ślepo poddał, tylko, abyś pan pozwolił, by kapłan do pana przyszedł i z panem się rozmówił o rzeczach wiary.

Jakób, bo tak się zwał ów żołnierz, który dotąd okazał się nieczułym na wszelkie wywody, dał się nakłonić i przyzwolił.

Gdy już kapłan dostał się do jego łoża,

gdy Jakób usłyszał z ust jego naukę, o której szczerości i prawdzie nie mógł wątpić, ustąpiły przed łaską Bożą i chrześcijańską miłością wszelkie zawady.

Jakób był bowiem człowiek prosty, któremu tylko czytanie złych książek w głowie przewróciło.

Teraz po nawróceniu się, spokój duszy błogo podziałał i na jego ciało. Febra ustąpiła i wkrótce dla zupełnego wyzdrowienia, otrzymał na dłuższy czas urlop, który u swej matki przepędził.

— Widzisz pan, rzekł razu pewnego Jakób do barona, kobiety przecież więcej warte jak my. Kto pana nawrócił, pana, coś jest dobroczyńcą całej okolicy? Mleczarka! A któż nawrócił mnie, com nigdy nie drżał przed kulami Aratów, a jednak nie mogłem się zdobyć na odwagę, porzucić takie głupie niewierne myśli? Siostra miłosierdzia!

Oto przykład, jak mamy miłować bliźniego, starając się o dobro jego ciała, ale bardziej o dobro duszy. (Erb. stund. 1885).

Heroiczna miłość bliźniego.

Pewien murzyn, który został dobrym chrześcijaninem, zasłużył sobie u swego pana na wysokie zaufanie. Tenże wziął go razu jednego na miejsce, gdzie sprzedawano niewolników, aby mu pomógł wybierać.

Tomasz, tak się nazywał niewolnik, przedstawił mu między innymi starego, osłabionego murzyna, którego pan, tylko na usilne prośby Tomasza jako przyczynek do innych, kupił.

Skoro powrócili do plantacyi, Tomasz osobliwszą czułość i troskliwość staremu niewolnikowi okazywał. Przyjął go do własnego mieszkania i z nim dzielił się swojemi potrawami. Gdy starcowi było zimno, prowadził go tam, gdzie słońce grzało; gdy się skarżył na upał, prowadził go pod cienie kokosowej palmy.

Pan jego, który to już dawno uważał, bardzo się temu dziwił, i rzekł jednego dnia do Tomasza.

— Ten stary niewolnik, o którego tak gorliwie się starasz, czy nie jest to przypadkiem twój ojciec? A może jaki twój blizki krewny?

— O nie, mój panie, odrzekł poczciwy Tomasz, on nie jest wcale moim krewnym, ani nawet moim przyjacielem!

— Więc powiedz mi przecie, czemu tak dobry jesteś dla człowieka, który cię nic a nic nie obchodzi?

— Bo on jest moim nieprzyjacielem — odrzekł uradowany Tomasz. On mnie sprzedał białym na brzegach Afryki — ale ja nie mogę, nie powinienem go nienawidzić, bo czcigodny ojciec missyonarz rzekł do mnie:

„Jeżli twój nieprzyjaciel jest głodny, to daj mu jeść, a jeżli spragniony, to daj mu pić“.

Ten murzyn niedawno nawrócony, czy nie jest najpiękniejszym wzorem miłości bliźniego dla Boga?

„Miłość cierpliwa jest“.

W pewnem mieście Westfalii, które więcej protestantów jak katolików liczy, odbywała się przed kilku laty missya ludowa.

Jednego wieczora, wzburzony motłoch krzycząc i wrzeszcząc napadł z hałasem na dom, w którym trzej missyonarze mieszkali. Z pomiędzy motłochu wypadł jeden mężczyzna, i gwałtem dobył się do pokoju jednego z missyonarzy. Potężnym głosem i gwałtownie wywijając i machając rękami zaczął mówić:

— Czego wy tu chcecie w naszem mieście? Czy i u nas chcecie wasze piekielne dzieło zacząć, i światło postępu, którem się cieszymy, w ciemną noc zamienić? Czyście przyszli, aby truciznę niezgody w nasze rodziny zapuścić? Precz! Myśmy was nie wołali i nie potrzebujemy was! Jeżli natychmiast nie powrócicie do gniazda piekielnego, z któregoście wyszli, to zobaczycie! To wam zapowiadam w imieniu tysiąca innych, którzy tak samo myślą i tak samo działać będą.

Missyonarz, zrazu stał jak wryty, słysząc

tak miłe przywitanie, ale wkrótce przyszedł do równowagi. Przystąpił do mówiącego, stanął przed nim z założonemi rękami i przysłuchiwał się powodzi słów jego, patrząc mu spokojnym wzrokiem w oczy.

Gdy ten na chwilkę umilkł, kiwnął missyonarz kilka razy głową, jakby potakując i rzekł spokojnie:

— Dalej!

Ta zachęta wprawiła go w szał wściekłości.

— Jakto? zaryczał — mówicie jeszcze: dalej: A więc niech będzie! Ja wam powiem rzeczy, że się wstydem i hańbą pokryjecie!

Wasz zakon jest źródłem grzechów całego świata! Cokolwiek na wschodzie i na zachodzie, na północy i południu, na dworach książąt i w domach obywatelskich, złego i przewrotnego się stało, tego wy Jezuici przez spojrzenie waszego oka bazyliszkowego, przez zatruty wasz oddech, przez dotknięcie się waszą przeklętą ręką, jesteście sprawcami. Wy myślicie tylko o tem, jakby całe kraje i narody w dawne jarzmo antychrysta zaprządz; zadaniem waszego życia, jest kuć kajdany i więzy dla całej ludzkości; ale czekajcie, w przeszłem stuleciu królowie i rządy kark wam skręcili — a teraz my, lud, stawszy się pełnoletnim, wyrok śmierci na was wydamy. Z wami się gruntownie obejdziemy, i nie spoczniemy, aż ostatni wasz

pazur i resztę waszego wężego ogona zupełnie nie zgnieciemy!

Wyrzuciwszy tyle słów i frazesów, jakby jednym tchem — musiał odpocząć, by zaczerpnąć oddechu.

Missyonarz znowu kiwnął głową i powtórzył:

— Dalej! dalej!

Reprezentant pełnoletniego ludu, mało ze skóry nie wyskoczył.

— Jeszcze dalej — zawył — tak jest! właśnie po to przyszedłem i po to mnie posłali moi współobywatele, abym wam całą prawdę powiedział. Niech was stare baby i głupcy słuchają; ja od was nic nie chcę słyszeć i niczego się od was uczyć, ale wy mnie słuchajcie. To, co wy uczycie, to nauka szatańska. Wy przekręcacie wiarę i podkopujecie dobre obyczaje. Wy to co dobre, nazywacie złem, a złe dobrem; Czy wyście nie postawili zasady, że cel uświęca środki, że wolno królów i książąt mordować? Wyście miasta podpalali, wojny wzniecali, studnie zatruwali, wyście zarazę i dżumę na całe kraje sprowadzali; jak długo wasz zakon istnieje, więcej złego narobiliście jak od początku świata się stało. Ale teraz, miara się przebrała, godzina obrachunku wybiła.

Nawet teraz, słysząc tyle kłamstw i oszczerstw pozostał missyonarz spokojny; słyszał bowiem tę samą piosnkę już tysiąc ra-

zy oklepaną i dlatego nie obruszyła go wcale. Lekki uśmiech zaigrał na jego ustach i wezwał mówcę po dawnemu:

— Dalej! dalej!

To słowo w kłopot go wprawiło. On myślał, że tą razą inny obrót weźmie. Nie wątpił, że missyonarz wpadnie w passyę i że go zechce wyrzucić za drzwi. Na ten wypadek zaopatrzył się w porządną trzcinę — potem miał tłum równych jemu przyjaciół wolności, wpaść mu na pomoc, aby wszcząć rewolucyę. A tu jak na złość, ksiądz milczy i wcale się nie gniewa; a to milczenie i ta spokojna wesołość, wymusiła na tym gorliwcu, którego namiętność nieco już ochłódła, pewien rodzaj szacunku. I to ciągle powtarzane: „dalej! dalej!“ i tłum na ulicy wyczekujący, który liczył na nadzwyczajnie pomyślny skutek — to wszystko sprawiło, że deputowany w opłakanem był położeniu.

Nie powinien był milczeć — a jednak już wszystek proch wystrzelił; Zaczął powtarzać to, co już raz był powiedział; wybąkiwał niezrozumiałe słowa o pomroce i nocy, o świetle i ciemności. Ale dalej nie szło — woda w potoku opadła — potok wysechł.

Nielitościwy missyonarz tymczasem nalegał: Dalej! dalej! Wreszcie ulitował się nad zakłopotanym mowcą, chwycił go za oba ramiona i rzekł:

— Twoje serce nie musi być tak złe —

ale nie siedzi na swojem miejscu. Muszę cię potrząść, aby znowu na swe miejsce przyszło. — To rzekłszy, otworzył drzwi i wypuścił go z pokoju.

Missya się skończyła, ojcowie gotowali się do podróży. Wtem do jednego z nich przystępuje człowiek mu znajomy. Missyonarz mówi:

— Doprawdy, z początku płynęła panu wymowa, ale następnie się urwało. Pan zapewne przyszedłeś dopowiedzieć to, coś pan zapomniał. Więc dobrze, mam jeszcze kilka minut czasu. Dalej, dalej!

Gdy missyonarz to mówił, łzy stanęły w oczach przybyłemu.

— Tysiąckroć przepraszam za moją prostacką gburowatość, rzekł ze łzami.

Missyonarz dziwił się nagłej przemianie. On zaś mówił dalej:

— Gdym wyszedł z pokoju księdza dobrodzieja, byłem jakby mnie piorun uderzył; popędziłem do domu, nie zdawszy sprawy z mego poselstwa tłumowi, co stał na ulicy. W domu wciąż mi stały na myśli słowa ojca dobrodzieja: Serce twe nie musi być tak złe, ale nie siedzi na swem miejscu. Muszę cię potrząść, aby na swe miejsce przyszło. Na drugi dzień odważyłem się pójść na kazanie; potem chodziłem na każde; te mnie tak poruszyły i wstrzęsły, że moje ser-

ce za łaską Bożą doprawdy przyszło na swe miejsce. Jużem się zgłosił do księdza proboszcza; ja chcę zostać katolikiem.

Ściskając mu rękę, rzekł missyonarz:

— Tylko dalej, mój przyjacielu! Coś pan zaczął, kończ pan szczęśliwie.

I istotnie dokończył dzieła. Jako syn Kościoła katolickiego stał się zadowolonym i szczęśliwym.

Miłość buduje.

Pewien pleban wracał z sąsiedniej wioski i mówił po drodze brewiarz. Dwaj młodzi oficerowie, którzy w pobliżu mieli kwaterę, szli tą samą drogą. Gdy mijali kapłana, zaczęli się śmiać szyderczo, ale idąc szybko, wkrótce kapłana daleko za sobą zostawili.

To spotkanie z kapłanem, dało im sposobność mówienia o religii, czyli raczej o jej braku, t. j. o niedowiarstwie swojem.

— Ja nie mogę znieść księży! rzekł jeden.

— I ja tak samo, odparł drugi.

— Oni sami nie wierzą w to, czego uczą.

— To tylko interes, jak każdy inny.

— Religia dobra dla starych bab.

— I dla małych dzieci.

— Religijne narody nie lepsze, jak inne.

— W ogólności przynajmniej!

I tak coraz dalej i dalej rozmawiając, spostrzegli nagle żebraka, który siedząc przy

drodze wyciągał rękę, prosząc o jałmużnę. Żebrak ten, łachmanami odziany, blady, wychudły, bolesny przedstawiał widok. Oficerowie dali mu kilka centów i szli sobie dalej.

— Założę się, że mu proboszcz nic nie da, rzekł jeden z nich.

— Zaczekajmy i uważajmy, odparł drugi.

— Wiesz co? rzekł pierwszy, stańmy sobie za płotem, bo gdy nas obaczy, to mu da co, abyśmy widzieli; a jeśli się skryjemy, poznamy prawdziwe jego usposobienie.

Jak rzekli, tak zrobili. Obaj oficerowie skryli się za płot — wkrótce potem przechodził tamtędy proboszcz, w modlitwie zatopiony.

Rozumie się, że żebrak i jego prosił o jałmużnę.

Kapłan spojrzał na niego, zamknął brewiarz i szukał pieniędzy po kieszeniach.

— Mój biedaku, rzekł, jeszcze szukając, rzeczywiście zdaje mi się, że w tej chwili nic niemam przy sobie.

Młodzi oficerkowie, zaczęli się szyderczo śmiać za płotem.

— Nie mówiłem ci? szepnął jeden.

Kapłan szukał jeszcze, aż się przekonał, że w istocie nic przy sobie niema.

— A to prawdziwy kłopot; ani centa nie mam przy sobie, rzekł.

— Słyszysz? mówili do siebie oficerkowie.

Kapłan litośnie spojrzał na żebraka i postrzegł jak licho i nędznie był odziany.

— Pewnie wam bardzo zimno w waszem odzieniu! rzekł.

— Z pewnością proszę Jegomości, zapewniał żebrak.

— No to poczekajcie chwileczkę.

To mówiąc, położył proboszcz brewiarz na murawie, obejrzał się na wszystkie strony zdjął swój paltot, dał go żebrakowi i pomógł mu go wdziać.

— Tak mój przyjacielu, weź ten surdut, przynajmniej nie będzie ci zimno, a ja wkrótce będę w domu. Nie mów nikomu nic o tem, ale módl się za mnie!

Żebrak ze łzami w oczach dziękował. Kapłan zaś szybko teraz szedł w sutannie i dalej mówił brewiarz.

Nazajutrz rano, obaj oficerowie przyszli do kościoła, do spowiedzi.

Wspaniałomyślne miłosierdzie tego kapłana, zawstydziło obu szyderców, wzruszyło, i nawróciło. Prawdziwa miłość kapłana była im powodem, że już dłużej nie opierali się łasce i zmiłowaniu Bożemu. W miejsce obojętności, nastąpiła żywa wiara, a Kościół dwa dzielne i szlachetne serca pozyskał. (Erb. stund. 1886).

PRZYKAZANIA KOŚCIELNE.

Przykazania kościelne mają taką samą powagę i zasługują na takie samo poszanowanie jak przykazania Boskie. Gdyż Bóg je postanowił, choć nie sam przez się, to jednak przez przełożonych Kościoła, którym udzielił władzę prawodawczą, mówiąc: *Cokolwiek zwiążecie na ziemi, będzie związane i w niebie,* (Mat. 18.) i na innem miejscu: *Kto was słucha mnie słucha, a kto wami gardzi, mną gardzi.* (Łuk. 10, 16).

Stanisław Hozyusz, Kardynał i Biskup Warmiński, prócz tego legat papiezki na Sobór trydencki, (1653), zachowywał przykazania kościelne z tą samą sumiennością i dokładnością, co przykazania Boskie. Przyjaciele jego, widząc, z jaką surowością zachowuje przykazania o poście, i obawiając się o jego zdrowie, zalecali mu, aby sobie nieco ulżył w tej mierze, on jednak odpowiedział:

— Właśnie dla tego, abym długo żył, zachowuję przykazania o poście. Czyż Bóg nie powiedział: *Czcij ojca twego i matkę twoją,*

abyś był długowiecznym na ziemi? Otóż mój Ojciec niebieski nakazuje mi pościć, a Matka moja, święty Kościół katolicki wskazuje mi dni, w których mam pościć; powinienem więc słuchać ich z ochotą, abym żył długo na ziemi.

To, co ten świątobliwy i światły mąż mówił o poście, to się da zastósować do wszystkich przykazań kościelnych. I tak: P. Bóg rozkazał dzień święty święcić, a Kościół oznaczył, które są te dni święte. Chrystus Pan kazał pożywać Ciało swoje, spowiadać się, a Kościół oznacza czasy, w których te święte czynności sprawować mamy.

O święceniu dni świętych była mowa przy trzeciem przykazaniu Boskiem, dla tego tylko kilka jeszcze przykładów przytoczymy.

I^sze^ Przykazanie kościelne.

„Postanowione od Kościoła Bożego dni święte święcić".

Nieszczęśliwe polowanie.

Było to w piękny poranek świąteczny, skoro dwaj młodzi przyjaciele zarzucili strzelby na plecy, i usiadłszy w lekką łódkę, popłynęli polować na dzikie kaczki. Już słońce stało wysoko: dzwon parafialnej wieży dał znak na sumę. Młodszy z myśliwych, rzekł:

— Wracajmy! dziś święto; musimy jeszcze Mszy św. wysłuchać!

— To z ciebie dewot, odrzekł starszy szyderczo; Co mi tam święto! Co mi tam Msza! Moją Mszą jest dziś polowanie. A tamtej niech za nas zakrystyan wysłucha.

I niewiele myśląc, porwał za wiosło, pomknął z czółnem na środek jeziora i zaczął strzelać do kaczek, licznie się tam znajdujących. Młodszy chciał mu jeszcze raz odradzić, ale tamten go nie słuchał i powtórzył:

— Moja Msza jest dziś polowanie.

Znużeni i o późnej już godzinie przybili do brzegu. Już z łodzi występowali na brzeg, gdy strzelba wypaliła, a starszy z nich taką otrzymał ranę w nogę, że upadł i ziemię krwią swoją zbroczył. Na krzyk towarzysza, przybiegli sąsiedzi, podnieśli rannego i zanieśli do mieszkania. Został wprawdzie przy życiu, ale je musiał nogą opłacić, bo mu ją odjęto. Teraz sam swem kalectwem upomina wszystkich, którzy nań patrzą, aby godnie czcili dzień Pański i przykazania Kościoła szanowali. (Osservatori Lombardi di Brescia 1863).

Szkoda go nauczyła.

W parafii D. na prawym brzegu Renu, zdarzył się przed kilku laty następujący przypadek:

W święto uroczyste zaprzągł pewien wieśniak swego wołu do wozu i zamiast do kościoła, wczesnym porankiem udał się po wapno. Droga wiodła właśnie po przed kościół, dokąd ludzie licznie spieszyli. On jednak nie zważając na to nieme upomnienie, pojechał dalej — naładował wóz wapnem i powracał najlepszej myśli będąc. Ależ zaledwie zbliżył się do kościoła, gdy nagle wół stanął, kilka razy łbem kiwnął, i upadł przy wozie. O wstaniu nie było mowy, choć chłopisko się natężał aby wołu na nogi postawić, bo wół już nie żył.

Właśnie skończyło się nabożeństwo, i cała parafia wychodziła z kościoła. Wkrótce cała wioska się zbiegła i otoczyła go kołem.

— To kara Boska, mówili głośno, za to, że nie uczcił dnia świętego. (Scherer. Expl. Lex. 1012).

Złamana noga.

Pewien stelmach z N. w Würtenbergii, zrobił wózek ręczny i chciał z nim w uroczystość Trójcy Najśw. udać się do T., aby go tamże sprzedać. Niektórzy sąsiedzi upominali go, aby przecież tego w tak uroczysty dzień nie czynił. Lecz on śmiejąc się z nich, powiadał:

— Cóż z tego, że uroczystość Trójcy św.? Święto mi nic nie zrobi, i P. Bóg także nic.

Bóg mi jeszcze nic złego w święto nie uczynił!

Tymczasem jednak miał doświadczyć karzącą rękę Bożą na sobie. Gdy bowiem z góry miał iść, aby jak najprędzej być na dole, siadł wraz z synem na wózek. Ale wózek tak szybko z góry się toczył, że go w żaden sposób nie mogli zatrzymać. Wyskoczył więc z wózka i złamał nogę ponad kolanem. Nim jeszcze prymarya się zaczęła przyniesiono go do domu, gdzie ciężko chory leży i uznaje karę Bożą za zniewagę dnia świętego. (Frbg. Kirchbl. 1889. 31).

IIgie Przykazanie kościelne.

„Mszy świętej w Niedziele i święta uroczyste z nabożeństwem i uczciwością słuchać".

Pragnienie odprawienia Mszy świętej.

Wielebny Ojciec Gerard, Towarzystwa Jezusowego kapłan, został r. 1590, za czasów Elżbiety królowej Angielskiej schwytany, do więzienia wtrącony, a potem na śmierć skazany. Lecz nim zdołano spełnić wyrok śmierci, Ojciec Gerard umknął z więzienia i rozpoczął na nowo swe apostolstwo. Posiadamy jego własnoręczne pamiętniki, w których między innemi opisuje, w jaki sposób mu się udało w więzieniu Mszę św. odprawić.

Dnia 31 Lipca, w rocznicę śmierci błogosławionego Ojca naszego Ignacego, w czasie modlitwy, uczułem nadzwyczajne pragnienie odprawienia Mszy świętej. Zważywszy wszyst-

kie okoliczności, pomyślałem, że urzeczywistnienie mego pragnienia nie jest niemożliwem.

W sąsiedniej celi więziennej, siedział pewien szlachcic katolik, który mi mógł dopomódz do spełnienia mego zamiaru. Szlachcic ten, nazwiskiem Ardey już od sześciu lat siedział w więzieniu i był już na śmierć skazany, ale dla różnych powodów, zwlekano wykonanie wyroku śmierci. Przechadzał się codzień po ganku swego więzienia, zawsze mi się kłaniał i klękał dla otrzymania błogosławieństwa.

Im więcej myślałem, tem bardziej zamiar mój mnie cieszył i zdawał mi się być łatwiejszym do wykonania, chodziło tylko o zezwolenie dozorcy więzienia. Albowiem do pana Ardey, przychodziła codzień jego żona, i przynosiła mu w koszyku nieco pożywienia. Straż przepuszczała ją bez rewizyi; tym sposobem miałem nadzieję sprowadzić niepostrzeżenie przybory do Mszy św.

Skłoniłem tedy stróża więziennego, za pomocą próśb i pieniędzy, że wręczył panu Ardey pakiecik ze świętościami, owinięty w białawy papier. Ten zaś papier, był to list napisany sokiem z pomarańczy. Trzymając takowy nad płomieniem i rozgrzawszy go, można go dokładnie przeczytać.

Pan Ardey odpisał mi w ten sam sposób, że zamiar mój odprawienia Mszy św., da się uskutecznić, tylko abym znalazł sposób,

w jaki bym mógł u niego przenocować. Żona zaś jego miała przynieść wszystko, co potrzeba. Prosiłem tedy stróża, aby mi pozwolił pójść na ucztę do pana Ardey. Po wielu trudnościach, dał się tenże ubłagać. Stanęło na tem, że 8-go Września, w uroczystość Narodzenia Matki Bożej, pójdę na obiad do pana Ardey. Kazałem tedy przynieść do celi pana Ardey wszystkie przybory potrzebne do Mszy św., a nawet puszkę pełną niepoświęcanych hostyi, abym mógł przechować Najśw. Sakrament. Doszedłem do tego za pomocą listów pisanych sokiem pomarańczowym.

Wszystko o co prosiłem, zostało zrobione. Żona pana Ardey, przyniosła wszystko bez przeszkody. Siódmego Września wieczorem, wziął mię stróż ze sobą i zaprowadził do celi pana Ardey, z którym całą noc i następny dzień 8-go Września spędziłem. W tym właśnie dniu z rana, z wielką pociechą odprawiałem Mszę św., w czasie której komunikował się wyznawca Chrystusa, będąc od sześciu lat pozbawionym tej łaski. Podczas tej Mszy św. zakonsekrowałem 21 hostyj, które złożyłem w cyboryum, a w dni następne z coraz nową radością przystępowałem do Stołu Pańskiego. (Schouppe).

Za późno.

W pewnej wiosce nad Renem, szedł w niedzielę, jesienną porą, młody człowiek do sąsiedniej wsi na nabożeństwo. Ale, że mu się wcale nie spieszyło, szedł bardzo powoli, jak gdyby umyślnie nato, aby się spóźnić. Spotkała go młoda, wesoła dziewczyna i rzekła:

— Prędzej, prędzej Kuba; jeśli tak idziesz, to się z pewnością spóźnisz do kościoła.

Kuba jednak nie uważał na to upomnienie; szedł sobie dalej powoli i odpowiedział: Ostatni krzyżyk (błogosławieństwo) zawsze jeszcze dostanę.

I rzeczywiście przy tej Mszy ostatni krzyżyk dostał. Albowiem popołudniu udał się z końmi na paszę. Po dwu godzinach wróciły same konie bez swego pasterza. Zaczęto szukać i znaleziono Kubę leżącego na łące bez duszy. Lekarskie śledztwo okazało, że ów nieszczęśliwy spadł z konia, który go silnie kopnął i na miejscu zabił. (Eichsfl. Vol. 1882).

Opat Helen.

Nie masz nic tak zgodnego z duchem katolickim, jak gorliwość w słuchaniu Mszy świętej w niedziele i święta. Pan Bóg cudami nieraz potwierdzić raczył, jak miłą Mu jest taka gorliwość. Przykład tego mamy w żywotach pustelników, wydanych przez uczonego Rosweida.

Święty Opat Helen, który żył w czwartem stuleciu, i pustynie Egiptu napełniał wonią swych pięknych cnót, zwiedzał dnia jednego pustelników, którzy te puszcze zaludniali i przybył do klasztoru, znajdującego się niedaleko rzeki Nilu. Było to w niedzielę, a pustelnicy nie byli na Mszy św. Zapytał ich o przyczynę.

— Kapłan, odrzekli, który mieszka na tamtej stronie Nilu, niema odwagi do nas przepłynąć, z powodu ogromnego krokodyla, który leży na brzegu.

Święty Helen, natychmiast udał się na brzeg, i w imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, rozkazał krokodylowi, aby przyszedł do niego i przeniósł go na drugą stronę. Zwierz usłuchał; był to potwór ogromnej wielkości; miał straszliwą paszczę najeżoną ostremi zębami, a ktokolwiek go ujrzał, uciekał przestraszony. Silny ufnością w Boga, święty Helen siada na grzbiet tego potworu, który go przenosi na drugi brzeg Nilu około łódki, której używał kapłan.

Udaje się następnie sam do owego kapłana i prosi go, aby bez bojaźni siadł na łódkę, gdyż krokodyl jest związany ręką Bożą, aby mu nic złego nie uczynił. Kapłan tedy przyszedł aż na brzeg rzeki, ale na widok ogromnego krokodyla, taką zdjęty został trwogą, że się cofnął i nie miał odwagi

wsiąść na łódkę. Widząc to święty Opat, zwrócił się ku krokodylowi i rzekł:

— Zdechnij w imię Pana życia i śmierci!

W tej chwili, jakby piorunem rażony, krokodyl zdechł, przewrócił się i popłynął z wodą.

Wtedy kapłan przeprawił się wraz ze św. Helenem na drugą stronę, i odprawił dla pustelników Mszę świętą. (Schouppe).

Piątek w Tuileryach.

Było to, w pierwszym roku po rewolucyi lipcowej we Francyi, gdy król Ludwik Filip dał wielki obiad w Tuileryach, na który sproszono wszystkie najznakomitsze osobistości tak rządowe jak i wojskowe.

Choć to był piątek, dawano tylko mięsne potrawy, bo w owym czasie uważano to za coś bardzo heroicznego, pomiatać przepisami Kościoła.

Po prawej stronie królowej, siedział jenerał Brun de Villeret, który do tej godności doszedł, dla szerokiej sławy waleczności i wierności, których nikt nie mógł zaprzeczyć. Jako stary żołnierz, niejedną przedsięwziął wyprawę i przez swe waleczne czyny nawet u wrogów był w wielkiej czci i poszanowaniu.

Między innemi, wyszczególnił się obroną wyspy Łobawy (Lobau), gdzie przez trzy dni bez wszelkich prowiantów, z małą garst-

ką wojska głodem osłabionego, wszelkim napadom nieprzyjacielskim się oparł, aż wojsko przyszło mu na odsiecz.

Ale na szczególną cześć sobie zasłużył, że jako żołnierz, na polu bitwy swą wiarę i swe ćwiczenia pobożne wiernie zachowywał, które to cnoty żołnierza i wodza nietylko zdobią i czcigodnym czynią, ale także jego męztwo i odwagę potęgują i wzmacniają.

Po prawej ręce króla, siedział marszałek Soult, który jako towarzysz broni z jenerałem Brun de Villeret na poufałej był stopie.

Ponieważ tedy obiad składał się z samych potraw mięsnych, sumienny jenerał żadnej ani się dotknął, aby zaś nie zwracać na siebie uwagi, starał się, aby królowej na niczem nie zbywało i aby jej królewska Mość godnie była uczczona. Ale królowa spostrzegła, że jenerał dotąd ani jednej potrawy nie tknął, tylko wszystkie dalej podawał.

— Ależ jenerale, rzekła, cóż to jest? pan nic nie jesz?!

— Wasza królewska Mości, rzekł szczerze i wesoło dzielny żołnierz; dziś piątek, czekam na półmisek z postnemi potrawami i mam nadzieję, że mi się coś dostanie.

Na te niespodziane słowa, które tak świetny dały dowód jego wiary, królowa mocno się zakłopotała.

Marszałek Soult, który słyszał tę rozmowę i wcale tak delikatnego sumienia nie

miał, chciał przyjść królowej w pomoc, i zaczął szydzić z jenerała, za jego wierność w wykonaniu praw Kościoła, dodając, że to jest tem dziwniejsze u starego żołnierza.

— Co?... to ci się dziwnem zdaje? rzekł teraz wyzwany jenerał głośno i surowo; a przecież ty mnie znasz i wiesz także, żem nigdy w piątek mięsa nie jadł, chyba na wyspie Łobawie, gdziem, aby nie umrzeć z głodu, jadł to, com jeszcze miał: kawałek głowy mego konia!

Milczenie pełne uszanowania nastąpiło po tych słowach starego rycerza, a półmiski z postnemi potrawami ukazały się zaraz na stole.

Nieraz młody starszych nauczy.

Józef, czternastoletni studencik, wybrał się podczas wakacyj z matką swą na małą podróż. Wypadło im w dzień postny obiadować na dworcu kolei żelaznej w Ch...

Już wiele stołów zajęli liczni podróżni, którzy smacznie mięso zajadali. Józef siadł sobie wraz z matką przy próżnym stoliku w środku sali.

Natychmiast zbliżył się kelner i zaczął w głos recytować: bifsztyk, filety, kotlety, wołowa pieczeń, wieprzowina, cielęcina.

— Co pan mówisz, panie kelner? zawołał Józef głośno; przecież dziś piątek?

— Tak jest, my dziś z postem, dodała matka.

— Cóż to osobliwszego, piątek? pytał swego sąsiada otyły kupiec, który już dawno zapomniał, czem jest piątek dla wyznawcy Ukrzyżowanego.

— Zdaje się, odrzekł jego sąsiad, że pieczeń w piątek nie każdemu smakuje. I uśmiechał się szyderczo.

— Czyż nie wszystkie dni sobie równe? Czyż piątek nie tak dobry dzień jak inne? Zapytał jakiś turysta.

— Kto ma rozum i nieda się księżom ogłupiać, ten je, co mu smakuje — rzekła z powagą opasła, postępowa dama.

Wszyscy zaś swe uwagi tak głośno robili, że każdy je mógł słyszeć i cieszyli się, gdy im drudzy przyklaskiwali.

Józef zaraz spostrzegł, że te wszystkie uwagi do niego są skierowane; rzucił na szyderców wzrokiem litości, co ich bardzo rozgniewało i sprawiło, że jeszcze więcej z przykazania o poście szydzili. Wreszcie sprzykrzywszy sobie Józef te wszystkie szyderstwa, szepnął coś matce do ucha. Matka kiwnęła głową z uśmiechem, a Józef zawołał głośno:

— Kelner! dwie porcye bifsztyku!

Grobowe milczenie w całej jadalni. Wszystkich oczy zwróciły się na ucznia kolegium, ogólna ciekawość ich ogarnęła.

Kelner myślał, że źle zrozumiał, i stał jeszcze czekając; Józef więc głośno zawołał:

— No, proszę o dwie porcye bifsztyku!

— Czy ten dzieciuch na seryo myśli.. mruczano półgłosem.

— Zdaje się, że ze swoją matusią nawrócił się do naszego systemu, i przykazanie o poście w trąbę puścił, zauważył turysta.

Zamówione porcye bifsztyku nadeszły. Józef rozkroił je na tyle kawałków, ile szyderczych uwag słyszał, a potem zawołał na psa leżącego pod stołem i rzekł:

— Karo, pif! rzucając mu jeden kawał mięsa; żrej, żrej, wszak piątek jest dla ciebie jak każdy inny dzień.

Niektórym z gości już się twarz przeciągła.

Józef dał psu drugi kawał mięsa mówiąc:

— Żrej, żrej, mięso tak dobre w piątek jak w niedzielę.

Ogólne niezadowolenie.

— Ten młokos szydzi z nas; zapewniała otyła dama.

Ale Józef nie miał ochoty stanąć w połowie drogi.

Wziął na widelec trzeci kawał mięsa i pokazywał psu. Pies uszy postawił, machał ogonem i łakomie patrzył na Józefa, czyli raczej na mięso.

— Jakiś ty mądry, mówił do psa Józef rzucając mu trzeci kawał, ja widzę, że się

ty księżom nie dałeś ogłupić i żresz co ci smakuje.

Teraz właściciel odwołał psa i kazał mu leżeć pod stołem, ale oko jego żarłoczne utkwione było w Józefa.

Ten wziął resztę bifsztyku, pokazał go psu tak komicznie, że goście mimowoli śmiać się musieli.

— No karo, jeszcze raz, bo już koniec! a jeśli mięso koniecznie mieć trzeba w piątek, aby być wykształconym, to ty, karo, możesz być dumny z tego, że należysz do liczby wykształconych.

Ten pomysł młodziutkiego studenta miał ogromny skutek. Przyklasnęli wszyscy odważnemu chłopcu, że szyderstwa obrócił na tych, którzy pierwej szydzili. Wielu z nich dość głośno szeptali:

— Ten nas nauczył rozumu! (Erb. st. 1886).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.
L. 5222. *X. Wład. Długołęcki T. J.*

POZWALAMY DRUKOWAĆ.
(L. S.) † *A. Kard. Dunajewski*
Książę-Biskup.
Kraków 30 Grudnia 1891.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

III^cie Przykazanie kościelne [1]).

„Postanowione od Kościoła Bożego posty zachowywać, także w piątek i w sobotę mięsa nie jeść“.

Różnica między postem ścisłym a zwyczajnym.

Nigdy nie pójdą w niepamięć piękne słowa, wyrzeczone przez Ludwika XVI króla francuzkiego, który był jednym z najwierniejszych synów Kościoła zasiadających na tronie królewskim.

Ten monarcha, mając lat 20, rzekł na końcu pierwszego postu przepędzonego na tronie:

— Ten post zachowałem bez trudności, ale w przyszłym poście będę miał więcej zasługi.

— W czemże panie? — zapytał jeden z jego dworzan.

[1]) Przez pomyłkę umieszczono w zeszycie 38 dwa przykłady (na str. 59 i 61), które tu do III-go przykazania należą.

— Bo w tym roku, odpowiedział król — miałem tylko zasługę za wstrzymanie się od jedzenia mięsa, a na przyszły rok będę miał więcej zasługi, bo skończę 21 lat i tylko raz na dzień jeść będę do syta.

— Post, panie, nie zgadza się z twojem zajęciem i z twemi pracami. Po pracy idziesz na polowanie, a jakże mógłbyś pościć bez uszkodzenia zdrowia?

— Polowanie — odrzekł pobożny monarcha, jest dla mnie rozrywką; ale jeżeli będzie potrzeba, to sobie inną rozrywkę znajdę, bo obowiązek ma pierwszeństwo przed rozrywką.

W następnym poście, król polował, ale zarazem pościł. (Anecdotes chrét.).

Ludwik XVI i oficer.

Pod koniec panowania Ludwika XV króla francuzkiego, nie dbano wiele o przykazania kościelne. Podawano potrawy mięsne i postne we wszystkie dnie postu, kiedy odbywało się polowanie. Ludwik XVI zniósł to nadużycie; okazując tem samem, że jego poddanie się prawom Kościoła było doskonałe i jawne. Stary wiarus pozwolił sobie uczynić uwagę królowi, że nie powinien sobie robić skrupułu jedząc mięso, a dla udowodnienia swego twierdzenia z miną tryumfu-

jącą użył słów Pisma św., że co wchodzi do ust nie kala człowieka.

— Nie panie, rzekł Ludwik stanowczo, właściwie nie jedzenie mięsa w dzień postu kala duszę, ale bunt przeciw władzy prawowitej i złamanie jej wyraźnego przykazania. Wszystko sprowadzić można tutaj do tego pytania, czy Jezus Chrystus dał Kościołowi władzę rozkazywania swoim dzieciom, a przez to samo, czy na dzieci włożył obowiązek posłuszeństwa czy nie? Katechizm o tem zapewnia, ale ponieważeś pan przytoczył słowa Ewangelii, musisz zapewne wiedzieć, co Jezus Chrystus gdzie indziej mówi, że *ten, który nie słucha Kościoła, powinien być uważany jako poganin,* i ja się tego trzymam. (Cnoty Ludwika XVI).

Ludwik XVI w więzieniu.

Ludwik XVI, stawszy się igraszką swoich prześladowców, był wystawiony na wszelkie rodzaje przykrości, ze strony swoich gnębicieli, którzy chełpiąc się świętokradzko z buntu przeciwko Kościołowi jak i przeciw swemu prawemu władcy, podali mu obiad mięsny w piątek, nie zadawalniając się pozbawieniem go wolności, lecz chcąc jeszcze dręczyć jego sumienie. Król, widząc taki sposób postępowania ze sobą, wziął szklankę wody a zma-

czawszy kawałek chleba rzekł z uśmiechem:

— Oto mój obiad! (Marguet).

August Ferron de la Sigonnière.

August Ferron de la Sigonnière, uczeń małego seminaryum św. Anny d'Auray, okazywał w różnych okolicznościach wielki wstręt do najmniejszych błędów. W wielką sobotę 1828 r. na krótki czas przed śmiercią, idąc pomimo nadzwyczajnej słabości odwiedzać ubogich ze swym nauczycielem i kilku współuczniami, znalazł po drodze ptasie gniazdo. Koledzy wybrali jaja i podzielili się niemi. Jeden z uczniów radził, żeby je zjeść. Na to nauczyciel zrobił uwagę, że jajka są zakazane w wielkim tygodniu. Dawniej bowiem nietylko mięsa, ale ani mleka ani jaj nie wolno było jeść w czasie postu. August rzucił natychmiast jajo, mówiąc, że nie chciałby za żadne skarby świata, przestąpić w czemkolwiek przykazań Kościoła. Jeden z uczniów zapytał, czyby to było grzechem śmiertelnym zjeść jajo w wielki tydzień?

— Gdyby nawet był tylko grzech powszedni, odpowiedział z zapałem August, wolałbym umrzeć, niżeli go popełnić.

(Anecd. chrét.).

Rodzice nawróceni.

Ksiądz Marguet opowiada następujące zdarzenie:

W jednem z wielkich miast Francyi krótko po rewolucyi przysposabiał się pewien chłopczyk do pierwszej Komunii. Rodzice jego, zobojętnieli na wszystkie przepisy Kościoła, nie zachowywali sami postów, ani domowników do ich zachowania nie nakłaniali.

Chłopiec przystępując do spowiedzi, skarżył się w trybunale pokuty z uchybienia przeciw przepisowi postu; kapłan dał mu stosowne przestrogi i nauki, jak się ma w przyszłości zachowywać, a on przyrzekł wiernie się do nich zastosować.

W następny piątek, znowu w domu jego rodziców podano na stół mięsne potrawy. Syn przeprosił, że jeść mięsa nie będzie, a na zapytanie ojca czemu nie je? odpowiedział skromnie, że pragnąc zastosować się do przepisów Kościoła, który zakazuje w piątek jeść mięso, zadowolni się kawałkiem chleba. Wtedy rozgniewany ojciec rozkazał dziecku odejść precz od stołu, odebrał mu chleb i zamknął go w odosobnionym pokoju. Chłopczyk przyjął bez szemrania surowy wyrok ojcowski.

W kilka godzin później przyszła doń

matka, a wzruszona litością przyniosła mu postne potrawy, przyczem zwróciła mu uwagę na nieposłuszeństwo jego przeciw woli rodziców.

— Matko — odpowiedział syn z pokorą i uszanowaniem — nie przez upór wystąpiłem przeciw woli ojca; gdyby mi był rozkazał rzecz godziwą, bez wahania byłbym go usłuchał. Rozkazał mi pozostać tutaj do jutra, zakazał mi jeść, usłucham go więc, bo tak mi sumienie nakazuje.

Widząc matka te piękne i wzniosłe uczucia syna, oniemiała, wzruszona do głębi duszy wyszła, by dowolnie się wypłakać; udała się potem do męża i powtórzyła mu odpowiedź odebraną. Ojciec uczuł się także wzruszonym i musiał przyznać, że syn więcej wart od niego. Pobiegł doń czemprędzej, uściskał serdecznie i przeprosił go za surowe i niesprawiedliwe z nim obejście. Dowiedziawszy się o nazwisku kapłana, który swemi radami tak zbawiennie na dziecko jego wpłynął, poszedł doń z podziękowaniem, a poprosiwszy go o Spowiedź, nawrócił się do Boga; żona poszła za jego przykładem.

Szczęśliwe dziecko! posłuszeństwo jego dla przepisów Kościoła, zaprowadziło rodziców na drogę zbawienia! (Anecdotes chrét).

Także filozof.

Dziennik Luksemburski opowiada następujące zdarzenie o wieśniaku, który pewnego piątku przybył do Brukseli. Poczciwy ten prosty człowiek, dobry przytem katolik, miał przy sobie psa, wiernego toma. W godzinie obiadowej wstąpił do pierwszej restauracyi jaką napotkał, usiadł przy wspólnym stole, a pies jego położył się pod krzesłem.

Podano pieczeń, jeden z panów siedzących przy stole, rozkroił ją i chciał położyć kawałek na talerzu Luksemburczyka.

— Dziękuję, zawołał tenże, czy nie wiesz pan że dzisiaj piątek? za żadne w świecie pieniądze nie będę jadł mięsa!

— Jakto? — brzmiała odpowiedź otyłego jegomości — toś pan zacofaniec? Czy sądzisz pan, że Pan Bóg uważa na to czy jesz mięso, czy rybę? Wierzycie ślepo w brednie, jakie wam księża prawią. My filozofowie mamy o Bóstwie wznioślejsze i szersze pojęcia. No, mój panie, zjedz pan ten wyśmienity kąsek.

Poczciwy wieśniak, położył kawałek mięsa na swym talerzu.

— Brawo! — zawołał filozof — widać żeś pan człowiekiem rozumnym i umiesz otrząsnąć się z przesądów!

Nie zważając na te pochwały, dowcipny

Luksemburczyk odwrócił się i zawołał: „tom“! Pies naturalnie przybiegł i wyskoczył mu na kolana. — Na masz, rzekł — a pies w oka mgnieniu połknął mięso.

— Co pan robisz? — zawołał oburzony filozof.

— Nie unoś się pan, odrzekł spokojnie wieśniak, chciałem się tylko przekonać, czy mój tom jest filozofem; ot, widzisz pan, że jest nim w istocie, bo nie troszczy się ani o piątek, ani o przepisy Kościoła.

Ogólny śmiech powstał przy stole, tylko zawstydzony filozof milczał i wyniósł się cichaczem z restauracyi. (Erbaungst.).

Jak P. Bóg szydercę nawraca.

U nas na wsi, chwała Bogu, post jest dobrze zachowany, rzadko kto go przestąpi, chyba jaki obieży-świat, i o takiem to zdarzeniu chcę wam opowiedzieć.

We wsi W. żył zamożny gospodarz, na imię było mu M... Dobrą miał chatę, chudoby parę sztuk i krów kilka, kilka też morgów gruntu, a do tego doszedł zapobiegliwością. Nie było na wsi roboty, wybierał się z wioski do miasta, czasem nawet za granicę i powracał często ze stówką, a nawet więcej. Dobrze to było, że był pracowity i oszczędny, ale cóż, kiedy tam pomię-

dzy cudzymi nie było czasem kościoła, a choć był, to dawał się uwieźć ludziom innej wiary i zamiast do kościoła, to w szynku na pogadance schodziła niedziela. A o poście co mówić? Z początku jakoś się miarkował, w piątek i sobotę nie chciał za nic tknąć się mięsa, ale przykład źle działa. Towarzysze jego racząc się kiełbasą, dowodzili mu, że to nie grzech, wyśmiewali go, że wierzy w jakieś zabobony, że co do ust wchodzi nie maże człowieka; a trwało to tak długo, aż wreszcie i nasz M... odważył się w piątek na mięso. Najtrudniej zacząć mówi przysłowie. M... wnet przeszedł innych, nietylko już za granicą nic sobie z postu nie robił, ale nawet wróciwszy do domu, do swoich, kazał żonie świątek czy piątek, warzyć z mięsem. A lubiał się nawet z tem przechwalać przed innymi, wyśmiewać się z tych, którzy mu mówili, że to grzech, doszło raz nawet do tego, że wobec kilku gospodarzy powiedział był wprost księdzu proboszczowi, że on tego nie ma za grzech.

Ksiądz proboszcz zauważył już był dawno, że jakoś M... kościół omija; wziął wprawdzie kartkę na spowiedź wielkanocną, ale dojść nie można było czy się spowiadał. Zresztą po całej wsi ludzie gadali, to „farmason, niedowiarek“. Dlatego ksiądz proboszcz nie mógł takiego zuchwałego odezwa-

nia się Wojciecha płazem puścić. Łagodnie ale z całą stanowczością skarcił jego mowę, wykazał obrazę P. Boga, przypomniał kary P. Boga a wreszcie dodał: „Nie zawsze P. Bóg karze na tej ziemi, ale i to się zdarza; ja już jestem w latach i w ciągu mego życia widziałem takich co to w piątek bez mięsa obejść się nie chcieli, a na starość zabrakło im łyżki strawy postnej i w niedzielę“.

Od tego czasu upłynął rok jeden i drugi, M... zawsze po dawnemu sobie postępował, ale jakoś zaczęło mu się niepowodzić. Wybuchła choroba w domu i zabrała mu dwoje dzieci, żona zapadła ciężko na zdrowiu, nie wstawała z łóżka, a ztąd nieporządek w gospodarstwie, kilka bydląt nawet padło z braku dozoru, na domiar złego z powodu bijatyki na jarmarku (bo już był bardzo zuchwały) dostał się do aresztu gdzie przesiedział kilka tygodni. No, ale jeszcze miał nieco pieniędzy, to choć i na robotę nie chodził światami i choć wiosenna posucha wypaliła zasiew, znalazło się jeszcze i na zapłacenie podatku i na kupno zboża. Te niepowodzenia ukróciły nieco zuchwałość M..., przynajmniej wobec innych nie naigrawał się z tego lub owego przykazania Bożego, co niedziela bywał w kościele i stał się potulniejszym.

Jednego lata nawiedził P. Bóg całą wieś gradobiciem. Wszystkie zasiewy do szczętu zostały zniszczone, nędza i głód zawitały do wsi.

Zacny proboszcz okazał się teraz prawdziwym ojcem swoich parafian.

Niejeden późnym jeszcze wieczorem szedł na plebanię, i skarżył się pasterzowi swemu na nędzę, a ten pocieszał go i pomagał jak mógł. Że i owemu szydercy M... źle się powodzi, wiedział proboszcz dobrze, bo od owego czasu, kiedy się tak wobec proboszcza wyraził, zwrócił tenże nań baczniejszą uwagę i z trwogą widział, jak jego przepowiednia coraz bardziej się sprawdza.

* * *

U proboszcza, jeszcze późno w nocy lampa się paliła. Właśnie odmawiał pacierze kapłańskie i chciał pomodliwszy się, udać się na spoczynek, gdy drzwi się otworzyły i nieśmiało wszedł do pokoju M...

Zuchwała duma znikła zupełnie, rysy twarzy jego zdradzały niedostatek i przygnębienie.

Zdumiały kapłan przerwał modlitwę i poszedł do niego kilka kroków. M... przepraszał bardzo, że tak późno przychodzi i zaczął mówić to o tem, to o owem — bo mu trudno było właściwą przyczynę przybycia swego śmiało wyjawić.

Proboszcz pozwolił mu się wygadać i czekał cierpliwie. Wreszcie odważył się M... wynurzyć swą prośbę.

— Czyby też ks. proboszcz nie był łaskaw pożyczyć mi pół miarki żyta?

— Jakto? Pół miarki żyta pożyczyć? Zapytał proboszcz zdziwiony.

Kiedy M... już prośbę swą przedłożył, spadł mu jakby kamień z serca i już śmielej zaczął o swej nędzy i niedostatku opowiadać. Proboszcz się nie domyślał, że już nędza do tego stopnia doszła.

— Widzi ksiądz proboszcz, zaczął nieszczęśliwy M..., Teraz niemam ani kawałka chleba w domu, ani pieniędzy na kupno. Bóg mię ciężko nawiedził. — Sto, i tysiąc razy przypominałem sobie słowa księdza proboszcza, które do mnie wyrzekł; oto teraz spełniły się co do joty. Wtenczas myślałem, że mi wolno bezkarnie gwałcić Boskie przykazania; alem doświadczył, że być przemądrym jest bardzo źle, bo człowieka tylko do większego nieszczęścia wtrąca.

Gdy to mówił, łzy obfite lały mu się z oczu.

— Kiedyście uznali swój błąd, kochany M.., odrzekł proboszcz, powiem wam tylko, abyście do pokornej wiary powrócili i w niej aż do końca życia waszego wytrwali. — Co się tyczy żyta, to wam pół miarki nie pożyczam, ale daruję.

Tak Bóg ukarał złamanie postu.

„Jestto nie małym grzechem, pisze św. Ambroży, jeźli 40-dniowego postu od Pana przez Apostołów nakazanego nie zachowujemy. Kto nie pości, ten kary na sobie daświadczy.

(Keller z Eichs. Volksb. Nr. 5. 1883).

Popielec.

Gdy się popielec zbliża, ze smutkiem i wstrętem myślę o wypadku, który się przed wielu laty w H. obok G. wydarzył. Mieszkał tam zamożny obywatel, który się do „inteligencyi“ liczył, gdyż wiarę objawioną uważał za rzecz przestarzałą, a który pomimo to, od naszych postępowców za „dobrego“ katolika byłby uważany.

Ten, poszedł w popielec do gospody i tam używał, jedząc mięso, podczas gdy „prostota“ spieszyła do kościoła, aby sobie przez posypanie popiołem przypomnieć, iż człowiek prochem jest i w proch się obróci.

Gdy wierni wracali z popielca, nasz pan N. szydził sobie z nich, nazywając ich „znaczonemi popiołem owcami“.

Wieczór tego samego dnia, kazał sobie przyprawić zająca, jadł z najlepszym apetytem, położył się do łóżka — i więcej się nie obudził.

(Keller z Eichsf. Volks. N. 6. 1883).

IV^te Przykazanie kościelne.

„Przynajmniej raz w rok się spowiadać i około czasu wielkanocnego N. Sakrament Ołtarza przyjmować".

Porównanie.

Coroczna Spowiedź nakazaną jest od Kościoła, a przykazanie to uważać można jako granicę, którą przestępując, zbacza się z drogi zbawienia.

Kaznodzieja pewien, chcąc dać lepiej poznać słuchaczom konieczność i ważność spowiedzi corocznej i pożytek ze spowiedzi częstych, użył następnego porównania:

Zwyczaj spowiadania się jest w życiu chrześcijanina tem, czem jest skazówka w zegarze, objawia bowiem na zewnątrz wewnętrzne usposobienie człowieka. Regularny obrót skazówek jest dowodem dobrego mechanizmu, ukrytego wewnątrz zegara; przy-

stępowanie do Sakramentu pokuty jest również skazówką, dającą poznać stan duszy, którego okiem cielesnem dojrzeć nie podobna. To też śmiało można powiedzieć: jaka gorliwość w przystępowaniu do Spowiedzi, taki chrześcijanin. Jeżli mnie spytacie, co wart człowiek pod względem moralnym, to miasto odpowiedzi, zapytam was: czy i jak często chodzi do Spowiedzi? Jeżli mi powiecie, że nie przystępuje wcale do Sakramentu pokuty, to macie dowód, że złym jest chrześcijaninem. Jeżli się spowiada raz na rok, to spełnia li tylko swój obowiązek i nie da się o nim powiedzieć by był gorliwym katolikiem. Jeśli się spowiada trzy lub cztery razy do roku, to go można zaliczyć do liczby dobrych chrześcijan. Lecz jeżli go widzicie przystępującego do Spowiedzi co miesiąc albo i częściej jeszcze, powiedzcie śmiało bez obawy pomyłki, to jest gorliwy katolik, dbający szczerze o swe zbawienie. (Schouppe T. III.).

„Nie potrzebuję Spowiedzi".

Człowiek zaniedbujący Spowiedź coroczną, nietylko popełnia grzech nie dopełniając przepisu Kościoła, ale nadto naraża się na to, że śmierć go zaskoczy zanim się nawróci do Boga.

Na wyspie Sardynii żył młody człowiek, który oddany złym swym skłonnościom, za-

niedbywał zupełnie obowiązki chrześcijanina i nie przystępował do Sakramentu pokuty, ani nawet raz na rok. Przyjaciele jego często go zachęcali aby opuścił drogę zepsucia i poszedł do Spowiedzi, ale odpowiedź młodzieńca brzmiała niezmiennie:

— „Nie potrzebuję Spowiedzi, mam zresztą jeszcze czas na nią!“

Serce jego ulegało coraz więcej zepsuciu, brnął coraz głębiej w przepaść złego, stracił z czasem cześć, majątek, zdrowie, a w końcu znalazł się pewnego dnia w szpitalu, w Cagliari. Działo się to roku 1848. Pewnego dnia wezwany został do owego szpitala pewien zakonnik; zaprowadzono go do łoża młodzieńca, który uporczywie odmawiał przyjęcia ostatnich Sakramentów świętych. Zakonnik znalazł chorego w bardzo złym stanie, poznał odrazu, że żyć nie będzie.

— Bracie, rzekł więc do niego, spowiadaj się, ja ci dopomogę, zobaczysz, że ci to trudności nie sprawi. Bóg będzie miał miłosierdzie nad tobą i szczęśliwym się uczujesz.

— Nie potrzebuję Spowiedzi, brzmiała zimna odpowiedź chorego.

— Przyjacielu, rzekł znowu niezrażony duchowny, każdy człowiek jej potrzebuje, tem więcej jednak chory, który niezadługo może stanie przed tronem Boga!

— Nie potrzebuję, odparł znów młodzieniec.

— Miej litość nad samym sobą, błagał kapłan, twój koniec się zbliża, chwile twe są policzone, nie zwlekaj dłużej.

Wszystkie jednak nalegania były próżne; posłannik Boży jedną i niezmienną zawsze odbierał odpowiedź: „Nie potrzebuję“. Opuścił w końcu szpital z bólem serca, modląc się za nieszczęśliwego umierającego.

Nazajutrz, przyszedłszy do szpitala, ujrzał przy drzwiach zwłoki zmarłego, nakryte prześcieradłem; zadrżał w przeczuciu, że to zapewne Bóg powołał przed siebie owego zatwardziałego grzesznika. I tak rzeczywiście było. Wszedłszy do sali spostrzegł wyraz przestrachu i zgrozy wyryty na wszystkich twarzach.

— Ojcze, mówili, czy wiesz co wczoraj zaszło? Ten nieszczęśliwy umarł bez Spowiedzi. Około północy zawołał naraz przeraźliwie: podajcie mi sztylet, abym go mógł przebić.

— Kogóż to? zapytaliśmy.

— Czyż nie widzicie tego murzyna, odpowiedział, chce się na mnie rzucić.

— Spowiadaj się, rzekliśmy, a nie będziesz się niczego bać potrzebował.

— Spowiadać się, zawołał, nie potrzebuję. Po tych słowach głuche nastąpiło milczenie, przerwane po chwili wykrzykiem: ratujcie! już mnie chwyta. Potem słyszeliśmy jeszcze

czas jakiś jęki okropne, wreszcie ucichło wszystko, — skonał.

Otóż obraz okropny śmierci chrześcijanina, nie przystępującego do Sakramentów świętych. (Erbauungs. Stunden).

„Na przyszły rok pójdę".

Niebezpiecznie jest odkładać Spowiedź na czas późniejszy. Człowiek wmawia wtedy w siebie, że to tylko nic nie znacząca zwłoka, a zwłoka taka nieraz bywa opłakaną. Ksiądz de Segur opowiada następujące zdarzenie:

Kapelan pewien, zwiedzając więzienie paryskie La Roquette, spotkał tamże między innymi młodzieńca 17-sto letniego, do którego zwrócił się z kilku przyjaznemi słowy.

— Mój przyjacielu, zapytał, czy nie pragnąłbyś spowiadać się? Uczułbyś się bez wątpienia bardzo zadowolonym. Zważ zresztą, że Wielkanoc się zbliża.

— Nie, mój Ojcze, odrzekł młodzieniec, przynajmniej teraz tego nie uczynię. Spowiedzi wielkanocnej w tym roku nie odbędę, lecz przyrzekam nie zaniedbać jej w roku przyszłym.

— A czemuż nie teraz, moje dziecko, zapytał kapelan. Któż ci zaręczy, że za rok jeszcze żyć będziesz?

— A czemuż bym żyć nie miał, mój ojcze,

była odpowiedź młodzieńca, jestem zdrów i w przyszłym roku z pewnością do Spowiedzi pójdę. Mówiący, oznaczony był numerem 30. Kapelan opuścił więzienie, nic nie wymógłszy na młodzieńcu.

Nazajutrz wszedł tenże sam duchowny do oddziału dla chorych, dysponować na śmierć, również 17-sto letniego chorego śmiertelnie. Przechodząc koło jednej celi, ujrzał przybity na niej numer 30. Na zapytanie kimby był chory, w celi tej leżący, odebrał odpowiedź, że to ów zatwardziałec, odkładający Spowiedź na rok przyszły. Dostał on po odejściu kapelana mocnego bólu głowy, zagrażającego jak się zdaje zapaleniem mózgu.

Kapelan wszedł do jego celi, przemawiał do niego, lecz odpowiedzi nie odebrał. Udzielił wtedy choremu warunkowego rozgrzeszenia, a kiedy przywołany lekarz i dozorca przybiegli do łóżka umierającego, już tenże nie żył.

Z sercem smutkiem przejętem zdążał kapelan do drugiego chorego. Tam przynajmniej czekała go pociecha. Konający przyjął go z radością i spowiadał się. Kapelan, chcąc mu dodać otuchy, wlewał weń nadzieję wyzdrowienia.

—Ach mój ojcze, odrzekł na to młodzieniec, mam nadzieję, że Bóg w Swej łasce pozwoli mi umrzeć teraz, gdym się z Nim pojednał. Gdybym wyzdrowiał, kto wie dokądby mnie

znowu słabość moja zawiodła. Módl się mój Ojcze, by mnie Bóg wnet do siebie powołał. Łaskę tę uprosił sobie ów młodzieniec u Boga, i umarł śmiercią sprawiedliwego.

(Erbauungst.).

„Później się wyspowiadam".

Zaniedbywanie Sakramentów za życia, prowadzi zazwyczaj do nieszczęśliwej śmierci i do ostatecznej niepokuty, która jest pewnym znakiem potępienia. Tego dowodem jest następujące zdarzenie, podane przez hrabiego de Valmont.

Pewien grzesznik, niedbając całe życie o Sakramenta św., wskutek czego oddał się rozpuście, ciężko zachorował. Znajomy jego, bardzo cnotliwy kapłan, odwiedził go i prosił, aby pomyślał o zbawieniu swej duszy. Chory nic nie odpowiedział. Sługa Chrystusa, przedstawia mu niebezpieczeństwo w jakiem się znajduje, upomina żeby się wyspowiadał.

— Dobrze, dobrze, wyspowiadam się ale później.

Świętą gorliwością przejęty kapłan, nalega jeszcze usilniej.

— A więc proszę przyjść jutro, to się wyspowiadam.

Kapłan wraca nazajutrz. Gdy pozostał sam z chorym, czyni znak krzyża św. i nakłania do rozpoczęcia Spowiedzi. Ten milczy, czas

jakiś. Nagle, przerażającym głosem wymawia te straszne słowa z Pisma św.: *Peccator videbit et irascetur,* grzesznik otworzy oczy i rozgniewa się. Mówiąc to, zanurzył głowę w poduszki, zakrył twarz i znowu milczał.

Spowiednik mówi: Już niema się co namyślać, lecz trzeba spowiadać się bezzwłocznie.

— Dobrze, dobrze, wyspowiadam się, i dalej wymawiał te straszne słowa: *Dentibus suis fremet et tabescet,* zgrzytać będzie zębami i usychać.

W tej chwili jak po raz pierwszy nakrywa się i zanurza w poduszkach. Spowiednik odkrywa go znowu i błaga ze łzami, aby się spowiadał.

— Dobrze, dobrze, spowiadajmy się; i mając już błędne oczy, zakrywa twarz po raz trzeci mówiąc te ostatnie słowa: *Desiderium peccatorum peribit,* pragnienie grzesznika zaginie. (Psalm CVI). Zaniepokojony spowiednik, odkrywa go — ale już nie żył.

Tak, niestety, umierają najczęściej grzesznicy, gardzący Sakramentami za życia. W ostatniej chwili gardzą jeszcze temi Boskiemi lekarstwami, gdy właśnie powinni przyjmować takowe świątobliwie, aby byli zbawieni, rzucają się na oślep w przepaść potępienia wiecznego. (Anecdotes chrét.).

„Już po Wielkanocy".

Proboszcz z B..., mógłby się był uważać za najszczęśliwszego z ludzi, gdyż we wilią każdego święta konfesyonał jego był oblężony nietylko od kobiet ale i od mężczyzn, a w samą uroczystość pełno bogatych i ubogich obojej płci przystępowało do Komunii św.

A jednak ks. proboszcz z B. nie zupełnie był zadowolony, gdyż jednej, jedynej owieczki brakowało zawsze przy tem tak wzruszającem nabożeństwie. Tą nieposłuszną owieczką nie był kto inny, tylko Jan M. z profesyi krawiec, człowiek nie tak zły w gruncie serca, jak raczej namiętny przyjaciel flaszki. Już od dłuższego czasu tryb życia pana M. był następujący: Cały tydzień pracował pilnie i wytrwale, ale w sobotę wieczór napadał go jakiś stan febryczny. Nie mógł wtedy wysiedzieć na stołku, igła mu się prawie paliła w palcach i coś nieokreślonego owładnęło jego słabą wolą. Potem skoczył, rzucił robotę w kąt i popędził do szynku. Tu pił M. szklankę za szklanką, cały tygodniowy zarobek przepadał, a on nie pierwej przychodził do domu, aż w poniedziałek rano. A skoro przyszedł, pierwszą czynnością jego było, że zbił okropnie swą żonę.

Ta nieszczęśliwa kobieta, nieraz przycho-

dziła do ks. proboszcza i uskarżała się na swoją biedę.

— Ach, księże proboszczu, mawiała, gdyby ks. proboszcz z mego męża porządnego człowieka mógł zrobić, skończyłoby się nasze nieszczęście. Tak jest, mam to przekonanie, zapewniała dalej, że *godne przyjęcie św. Sakramentów* dodałoby mu siły, oparcia się tej okropnej pokusie w sobotę wieczorem.

O tem wszystkiem wiedział dobrze ks. proboszcz; dla tego często odwiedzał krawca pod różnymi pozorami. Zręcznie wtedy skierował rozmowę na jaką minioną uroczystość.

— I pana szukałem, kochany panie M., mówił doń proboszcz, ale znowu pana z wielkim moim smutkiem nie znalazłem. Uważ pan przecież, że pan jedynie w całej mej parafii nie chodzi do Spowiedzi wielkanocnej. Jaka szkoda, przecież pan jesteś zkądinąd pilnym rękodzielnikiem i nie złym człowiekiem, mnie się zdaje, że to się przecież niegodzi.

M. skrobał się za uszy i zrobił głupią minę.

— Nie mogę powiedzieć, że ks. proboszcz nie ma słuszności, rzekł, ale ja jestem stary grzesznik, a widzi ksiądz, aby tę sprawę dobrze załatwić, najlepiej będzie zaczekać do Wielkanocy — będę miał wtedy dość czasu, nawrócić się, bo to rzecz wielkiej wagi.

— Nie widzę wprawdzie przyczyny, od-

parł proboszcz, dlaczego pan z tą tak ważną sprawą aż do Wielkanocy chcesz czekać, ale byłbym bardzo szczęśliwym, gdybyś mi pan szczerze obiecał, że pan na Wielkanoc przyjmiesz św. Sakramenta.

— No to dobrze, niech będzie, daję słowo! zapewniał M. Ksiądz proboszcz poszedł uradowany do domu.

Wielkanoc przyszła; ale kto nie przyszedł do Spowiedzi? M. — Minęła Wielkanoc, ale p. M. nie przyszedł.

Duszpasterz znowu poszedł do krawca i czynił mu poważne przedstawienia.

— Prawda, mówił M., źlem zrobił, ale już po Wielkanocy, zaczekam na drugi rok.

I w ten sposób jeszcze kilka lat minęło. Pan M. co sobotę „sumiennie“ chodził do szynku, i za każdym razem aż w poniedziałek rano powracał i regularnie bił żonę.

— To musi przecież raz ustać, myślał zasmucony proboszcz, muszę się wziąść na sposób.

Z końcem grudnia ujrzał M., który pilnie pracował, bo to nie było w sobotę wieczór, proboszcza nagle wchodzącego.

— Kochany panie M., rzekł kapłan, przychodzę...

— O! już wiem księże proboszczu, po co, ale proszę być spokojnym, tym razem dotrzymam słowa, ale teraz przecież dopiero koniec grudnia.

— Naturalnie, że do Wielkanocy jeszcze dość czasu, rzekł proboszcz, ale ja dzisiaj w innym celu przychodzę, proszę mi wziąść miarę na nową sutannę.

Na te słowa rozjaśniło się oblicze krawca. Będzie za co pić! pomyślał; i wziął miarę.

— Ale niech pan dobrze i mocno zrobi, z dobrego sukna i aby tak dobrze leżała, jak stara.

— Proszę być spokojnym; ksiądz proboszcz wie, że się na mnie można spuścić.

— Hm! tego pan mi musisz pierwej dać dowód... Ale teraz pieniędzy nie mam, zapłacić mogę dopiero koło Wielkanocy.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze, wszak wiem, że na to mogę liczyć, uśmiechał się p. M.; rzecz skończona, na Nowy Rok może ks. proboszcz mieć nową sutannę.

Znowu przyszła Wielkanoc, krawiec siedział jak na szpilkach.

— Proboszcz przyjdzie i zapłaci za sutannę, rzekł do siebie, i znowu mi palnie kazanie o Spowiedzi.

Ale Wielkanoc minęła, a proboszcz z pieniądzmi nie przyszedł. Tak minął jakiś czas, p. M. chciał odebrać swe pieniądze, bo ich bardzo potrzebował, na plebanię jakoś nie miał ochoty iść, ale co robić? Czekał do drugiej niedzieli po Wielkanocy. Wreszcie nabrał odwagi i poszedł na plebanię.

Proboszcz widząc go, wyszedł na przeciw niemu i bardzo uprzejmie go powitał:

— Ah! dzień dobry panu, kochany panie M., rzadki gość! Cóż pana do mnie sprowadza? Proszę siadać z łaski swojej!

— Ks. proboszcz bardzo łaskaw, odrzekł krawiec, ocierając kroplisty pot z czoła... przyszedłem...

— Najprzód powiedz mi pan, przerwał proboszcz, jak się ma poczciwa żona pańska?

— Dziękuję, dobrze się ma, ale interes jakoś nie dobrze idzie, dlatego przyszedłem aby...

— Paneś się spocił, zamknę okno, abyś się pan nie przeziębił, rzekł znowu proboszcz.

— O proszę się nie fatygować; świeże powietrze nic mi nie szkodzi, przyszedłem prosić...

— Ale w tej porze osobliwie przeciąg szkodliwy; mam w parafii kilku chorych na piersi.

— Słyszałem o tem — ale ja przyszedłem po pieniądze.

— Jakie pieniądze?

— Ksiądz dobrodziej wie; za sutannę, którą w końcu grudnia zrobiłem, a za którą mi W. ksiądz proboszcz obiecał na Wielkanoc zapłacić.

— Ah! tak! tak! więc pan po to przyszedł... szkoda żeś pan pierwej nie przy-

szedł... Wszak już po Wielkanocy... będziemy zatem musieli czekać aż do drugiej.

Krawiec osłupiał, ktoby mógł pomyśleć, że ksiądz proboszcz tak doń mówić będzie; wytrzeszczył oczy i nie chciał własnym uszom wierzyć... czy źle może zrozumiał...

— Muszę panu panie M. powtórzyć, że już po Wielkanocy, i że mamy jeszcze cały rok czasu.

— Ale, rzekł krawiec, obietnica zawsze obietnicą, czy Wielkanoc minęła, czy nie; zawsze czas jest aby obowiązek swój spełnić.

— Tak! Teraześ pan wielką prawdę powiedział, mówił dalej proboszcz patrząc ostro na krawca, już podczas chrztu św., chrzestni rodzice w imieniu pańskiem, obiecali spełniać chrześcijańskie i kościelne swe obowiązki... a czyś pan tej obietnicy uroczyście przy pierwszej Komunii św. nie odnowił? A jakżeś pan tej obietnicy dotrzymał? Czyś mnie pan tyle lat nie zwodził wymówką, że już po Wielkanocy? A dlaczegoż pan żądasz abym ja względem pana Jana M. był akuratniejszym i sumienniejszym, jak pan Jan M. był względem Pana Boga? Bardzo mi przykro ale ja muszę się trzymać tej praktyki co pan, bo tak mi się najwygodniej wydaje.

Pan M. aż nadto dobrze wiedział, że go ks. proboszcz ani na szeląg nie skrzywdzi, ale zrozumiał także siłę dowodów, któremi niegodziwość jego postępowania wykazał.

wziął te słowa niby za żart, skłonił się grzecznie i poszedł.

* * *

Siedm lat po tej rozmowie, ksiądz proboszcz z B., zgromadził około siebie, jak to corocznie zwykł był czynić, radców kościoła. Jan M. był jedną z najlepszych owieczek ks. proboszcza, żony nie bił, interes szedł świetnie, a nadto został członkiem nadzoru kościelnego.

Gdy podczas obiadu ks. proboszcz traktował gości winem własnego wyrobu, podziękował ku wszystkich zdziwieniu pan M. i nalał sobie szklankę wody.

— Cóż to jest, panie M.? pan nie pijesz?

— Nie, księże proboszczu, ja już wina nie piję, mocno to sobie postanowiłem.

— Od kiedyż to?

— Od dnia, w którym do księdza proboszcza przyszedłem po pieniądze za sutannę.

V^te^ Przykazanie kościelne.

„W zakazane czasy godów małżeńskich nie odprawiać“.

Błazeńskie wesele.

W mieście R. miał się odbyć ślub pana M. syna bogatego obywatela, w ostatni wieczór zapust. Pan młody przybył rano tego dnia do proboszcza oznajmując mu, że chce po ślubie urządzić maszkaradę dla większej wesołości.

— Jakto? rzekł oburzony proboszcz, maszkaradę po Sakramencie małżeństwa? Kiedy chrześcijanin spowiada się i komunikuje, to dzień ów spędza w cichości i na modlitwie, pomimo, że te Sakramenta częściej przyjmować może; a wy oprócz tych Sakramentów jeszcze i Sakrament małżeństwa chcecie przyjąć, który was ma na całe życie połączyć, i chcecie łaskę Ducha św. maszkaradą i błazeństwami sobie uprosić? Czy wierzysz ty jeszcze w Boga, że chcesz naj-

ważniejszy i najświętszy dzień w życiu znieważyć błazeństwem i maszkaradą?

Ale był to groch na ścianę.

— Przecież my po katolicku ślub weźmiemy, rzekł p. M., a świecka zabawa do mnie należy, komu się ona nie podoba, ten niech nie przychodzi.

— Panie M., ja z pewnością nie przyjdę, ale pomyśl, że dzień ślubu jest dniem świętym, podobnie jak dzień pierwszej Komunii, i że najbardziej w małżeństwie nie można się obejść bez błogosławieństwa Bożego.

Pan M. jednak nic sobie nie dał powiedzieć, wyszedł nucąc pod nosem wesołą piosnkę.

Ślub się odbył; potem nastąpiło wesele, w którem prawie całe miasto udział wzięło.

Najrozmaitsze maski wchodziły i wychodziły i składały swe życzenia nowożeńcom. Nareszcie otwierają się drzwi i wchodzi pięć masek, które udawały głupkowatych, znajdujących się w szpitalu miejskim. Dwaj jak karły zaszyci w workach, posuwali się naprzód chwiejnym krokiem, trzeci zabawnie przewracał oczyma, czwarty zginał się we dwoje, piąty z ogromną głową i krótkiemi nogami, a wszyscy takiemi grymasami i krzykliwemi głosami życzyli szczęścia młodej parze, że goście kładli się od śmiechu.

Wybiła wreszcie 12 godzina w nocy. Dzwony dały znak, że to popielec i początek wielkiego postu. Ale co im tam popielec? co im

post! Jedzono mięso, bawiono się, tańczono i tak post ścisły zaczęto grzechem. Dopiero o 2 po północy, wśród krzyku, śpiewów, muzyki odprowadziły maski państwa młodych z sali balowej do domu.

Trzydzieści lat minęło. Pan M. i jego żona żyli jeszcze, ale dzieci u nich nie widziałem, opowiada naoczny świadek.

Miałem pilny interes do szpitala miejskiego. Tu mi się okropny widok przedstawił. Epileptyk jeden właśnie dostał napadu i wyjąc tarzał się po ziemi — dwaj głupkowaci zaszyci w wory śmiali się z niego, trzeci stał na ławce i miał ogromną głowę, piąty w napadzie szaleństwa, bił kilku innych waryatów, co koło niego biegali.

Ci pięciu, byli to dzieci pana M. Wszyscy byli od dzieciństwa albo głupkowaci, albo na pół waryaci i zupełnie zezwierzęceni.

Oto kara Boża za wesele w zakazanym czasie i w niegodny sposób obchodzone.

(Leo 7. 1885).

Koncert w Wielki Piątek.

Niedawno temu, bo dopiero 10 lat, zaszło w południowej Francyi następujące zdarzenie:

W pewnem miasteczku, blizko stolicy biskupiej w Béziers, był burmisztrz, człowiek bez wiary i nieprzyjaciel Kościoła św., i Jego przykazań. W różny sposób okazywał tę swą nienawiść ku wszystkiemu co święte i Boże.

Nadszedł Wielki Tydzień w poście. Cóż czyni ten nieszczęśliwy człowiek, aby swą nienawiść ku Kościołowi św. okazać?... oto w sam Wielki Piątek urządza koncert z zabawą w kawiarni, i to o tej samej godzinie, kiedy się w kościele odbywało nabożeństwo pasyjne i kazanie. Wybrał zaś właśnie tę godzinę, aby tak i innych odciągnąć od kościoła i słuchania słowa Bożego, w ten dzień święty, przez swą zabawę szatańską.

Zebrało się dość swawolnego towarzystwa na tę piekielną ucztę, bawią się, a burmistrz bezbożny tryumfuje w radości, że mu się ten nowy czyn w walce z Kościołem tak świetnie udał.

Aleć trudna walka z Bogiem — bo kiedy się w najlepsze bawią, nadbiega wiadomość, że w magazynach burmistrza wybuchł gwałtowny pożar.

Burmistrz zrywa się jak szalony, ale w tej chwili pada na ziemię tknięty apopleksyą, a cały dom jego i cały majątek pochłonął pożar.

Tak się zakończył ten koncert wielko-piątkowy. — (Freib. Kirchbl. Nr. 23. 1879.).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.
L. 1152. *X. Wład. Długołęcki T. J.*

POZWALAMY DRUKOWAĆ.
(L. S.)
Kraków 11 Marca 1892. † *A. Kard. Dunajewski*
Książę-Biskup.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

O SAKRAMENTACH ŚWIĘTYCH.

I. Chrzest.

Murzynka wskrzeszona.

Chrzest jest niezbędnie potrzebnym środkiem do zbawienia. Zbawiciel oznajmia to wyraźnie, mówiąc do Nikodema te słowa: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci: jeżeli „człowiek nie odrodzi się z wody i z Ducha „świętego, nie może wnijść do Królestwa „Bożego“.

Około roku 1640, św. Piotr Klawer, apostoł murzynów z Kartageny w Ameryce, wezwany został do chorej. Była to murzynka z Angola, niewolnica Don Wincentego z Willalobos, majora Kartageny. Umarła zanim św. Piotr przybył, i już jej pan wydawał rozkazy na pogrzeb. Święty, wszedłszy w tej chwili, wstrzymał tę ceremonię, a zbliżywszy się do zwłok, zawołał murzynkę po imieniu; ale

nie dała znaku życia. Wtedy zaczął się przy niej modlić, a po kilku minutach poruszyła się, podniosła, wyrzuciła wiele krwi ustami, poczem zawołała wyraźnym głosem:

— Ach! Jezu, jakże wracam zmęczona!

— Zkąd i czem? — zapytał Święty.

— Szłam, — mówiła — do ślicznego ogrodu; a gdy już miałam doń wejść, dziecię zachwycającej piękności stanęło przedemną, zabroniło mi wejść, i kazało mi wrócić się napowrót, mówiąc mi, że nie mogę jeszcze wejść do cudnego miejsca jakie widzę przed sobą. Wróciłam więc tutaj; lecz nie wiem którędy, ani jak, i z tego pochodzi nadzwyczajne zmęczenie jakie czuję.

Święty kazał odejść wszystkim, aby ją wyspowiadać, lecz w tejże chwili przy wszystkich obecnych, zamiast Spowiedzi, prosiła o Chrzest św. błagając usilnie Świętego, aby bezzwłocznie udzielił jej tego Sakramentu. Pani domu, która od dwudziestu lat widywała ją przystępującą do Sakramentów świętych, stawiała opór temu, ale musiała uledz powadze świętego kapłana, zapewniającego, że istotnie ta niewolnica nigdy nie była ochrzczoną. Udzielił jej zatem Chrztu świętego, a zaledwie takowy otrzymała, Bogu ducha oddała. — W zeznaniach do kanonizacyi Ojca Klawera, Don Wincenty de Villalobos stwierdza ten cud przysięgą.

(Schouppe III).

Godność ochrzczonego.

Chrzest św. czyniąc człowieka dziecięciem Bożem, wynosi nawet ubogiego do najwyższej godności. Jngo, książę Karyntyi, przejęty był tą prawdą. Aby ją okazać niektórym krewnym swoim i baronom, będącym jeszcze poganami, zaprosił ich na wielką ucztę, na którą wezwał też mnóstwo ubogich robotników chrześcijan. Było to w roku 791. W dniu naznaczonym dwa rodzaje gości udało się do pałacu. Gdy czas uczty nadszedł, umieszczono ich przy dwóch różnych stołach. Panów posadzono na dworze pod gołem niebem, podano im chleb, mięso zwyczajne, wino pospolite w naczyniach glinianych; ubodzy zaś umieszczeni zostali przy stole księcia, jedli najwyborniejsze potrawy i pili drogie wina w złotych puharach. Szlachta zdziwiona i obrażona, weszła do sali w której jadł Jngo i zapytała z gniewem, dlaczego książę tak źle z nią postąpił? Książę spokojnie odpowiedział:

— Niech was nie zadziwia moje postępowanie. Ci ludzie których tu widzicie, choć są ubodzy w dobra doczesne, zostali wzbogaceni przez Chrzest święty łaską Bożą; są dziećmi i dziedzicami Najwyższego i uznaję ich za braci moich w Jezusie Chrystusie; wy przeciwnie, chociaż bogaci według świata, jesteście ubodzy w oczach Boga. Dusza

wasza jest jeszcze splamiona grzechem pierworodnym, jesteście jeszcze niewolnikami szatana, czcicielami niedorzecznych bałwanów, a nieprzyjaciółmi jedynego Boga żywego i prawdziwego. Czy można się dziwić, że nie przyjmuję was z takimi honorami jak tych Chrześcijan, wyniesionych przez samego Boga do najwyższej godności?

Mowa ta spokojna, ale poważna i pełna prawdy Chrześcijańskiej, uczyniła zbawienne wrażenie. Wkrótce potem, większa część panów i szlachty Karyntskiej nawróciła się do Chrystyanizmu, i została ochrzczona przez Arnona Biskupa Salzburgskiego. (Schouppe III).

Charakter Chrztu świętego.

Charakter Chrztu św., wyrażając na duszy ochrzczonego znamię niezmazane i przechowując w ochrzczonym namaszczenie duchowe do służby Chrystusowej, nie dozwala aby Chrzest św. był powtórzonym.

W roku 1575 pewna katoliczka z Amsterdamu, której mąż był kalwinem, ochrzciła dziecko potajemnie. W kilka dni ojciec nie wiedząc o tem, zaniósł to dziecko do pastora, aby je ochrzcił według obrządku protestanckiego. Pastor, jak zwykle przy Chrzcie, polał wodą dziecię i chciał wymówić słowa Sakramentalne; lecz stracił głos nagle i nie mógł takowych wyrzec. Ojciec zadziwiony,

wrócił do domu, będąc pewnym, że dziecko jest zaczarowane.

— Jakie czary uczyniono dziecku? — zapytał żony. — Widocznie jest pod panowaniem złego ducha i to przeszkadza do Chrztu, bo tylko szatan nienawidzi Chrztu.

Wtedy żona powiedziała mu, co uczyniła: — To nie zły duch przeszkodził do drugiego Chrztu, ale Pan Bóg chciał okazać, że Chrzest święty wyraża na duszy piętno nie zatarte i nie może być powtórzonym, jak naucza Kościół katolicki. — Te słowa oświeciły męża protestanta i wrócił do wiary swych ojców. (Schouppe III).

Skutki Chrztu św.
ŚŚ. Męczennicy Waleryan i Tyburcyusz.

Słusznie Chrzest św. nazwany jest Sakramentem oświecenia; bo rozlewając światło wiary w duszy, oświeca ją czyniąc sposobną do widzenia świata nadprzyrodzonego. Pan Bóg okazał tę prawdę w Sakramencie Chrztu ŚŚ. Męczenników Waleryana i Tyburcyusza.

Waleryan byłto młody Rzymianin, ze znakomitej rodziny, lecz poganin, zaślubiony z dziewicą chrześcijańską świętą Cecylię, która wyszła za niego pomimo woli. Święta oznajmiła mu, że ma przy sobie Anioła Stróża, opiekuna swego dziewictwa. Zdziwiony i przestraszony tą mową Waleryan rzekł jej:

— Zapewne nie chciałbym obrazić Anioła Bożego, ale nie uwierzę, że jesteś pod opieką Anioła, jeżeli go nie zobaczę.

Cecylia odpowiedziała mu, że nie podobna jest widzieć Anioła z nieba, nie posiadając ducha niebiańskiego, który otrzymuje się przez Chrzest święty.

— Pragnę przyjąć Chrzest św. — dodał Waleryan — i tak jak ty być Chrześcijaninem, abym mógł ujrzeć Anioła Pańskiego, który cię strzeże. — Waleryan udał się do Papieża Urbana, który go wyuczył zasad wiary chrześcijańskiej i ochrzcił go.

Gdy po Chrzcie św. wrócił do domu Cecylii, zastał Świętą modlącą się a przy niej Anioła Pańskiego. Anioł ten jaśniał jako słońce i trzymał w rękach dwie korony z róż i z lilij, z których jedną dał Cecylii a drugą Waleryanowi, mówiąc mu przy tem, że w nagrodę uległości radom swej małżonki, otrzyma od Pana Boga, o co prosić będzie. Waleryan błagał dla brata swego Tyburcyusza o łaskę Wiary i Chrztu świętego. Ta łaska została mu udzieloną. Tyburcyusz wszedłszy do pokoju Cecylii i Waleryana i czując zapach róż i lilij, zapytał zkąd mają te kwiaty w niezwykłej porze. Zaledwie mu powiedziano, że trzeba być ochrzczonym, aby to wiedzieć, poszedł z swoim bratem Waleryanem do św. Urbana. Papież, widząc owoce czystych rad Cecylii, dziękował Bogu i

ochrzcił Tyburcyusza. Wkrótce potem ci dwaj bracia zostali umęczeni, a Maksym oficer prefekta Almachiusza widział ich dusze unoszone do nieba przez Aniołów. (Schouppe III).

Ojciec Sylveira.

Chrzest św. wlewa w duszę z łaską poświęcającą cnoty teologiczne: wiarę, nadzieję i miłość, cnoty moralne i dary Ducha świętego; oświeca ochrzczonego światłem Bożem, dającem mu pojęcie dóbr niebieskich, których stał się dziedzicem. Dlatego Ojcowie greccy nazywają go Sakramentem oświecenia.

Sławny misyonarz XVI wieku, Ojciec Gonzalez Sylveira z Towarzystwa Jezusowego, doszedł w Afryce do królestwa Monomotapa. Miał z sobą piękny obraz Najświętszej Panny. Oficer będący przy dworze królewskim, ujrzał ten obraz i doniósł królowi, że kapłan cudzoziemiec ma u siebie portret nadzwyczajnie pięknej kobiety. Król pragnął zobaczyć takowy i kazał oznajmić to Ojcu Gonzalez, który zaniósł mu obraz i powiedział, że to jest niewiasta, o której mówił mu oficer. Poczem w krótkich słowach dał mu poznać Najświętszą Maryę Pannę.

Król zachwycony był obrazem i kazał go umieścić w swoim pokoju pod bogatym baldachimem. W nocy gdy spał spokojnie, ujrzał

Najświętszą Pannę, otoczoną światłem i w tych samych strojach, jakie były na obrazie, ale mówiła do niego językiem, którego nie rozumiał. To samo widzenie miewał przez pięć nocy raz po raz. W rozpaczy, że nie może zrozumieć, co do niego mówi Najświętsza Panna, prosił Ojca Sylveirę o wytłumaczenie mu tej tajemnicy. Misyonarz powiedział mu, że mowa Królowej nieba jest mową niebiańską, którą tylko ten pojmie, kto przyjmie Chrzest święty i zostanie Chrześcijaninem.

— A więc — rzekł król — zostanę Chrześcijaninem, ponieważ to jest miłem Królowej nieba.

Wskutek czego wyuczył się tajemnic naszej świętej wiary i wraz z matką swoją i wielu panami z swego królestwa przyjął uroczyście Chrzest św. Wtedy zrozumiał, że mowa niezrozumiała Najświętszej Panny, była środkiem którego użyła, aby doprowadzić go do poznania Ewangelii i do światła Jezusa Chrystusa przez Chrzest święty.

(Schouppe III).

Józef de Ahumada.

Święty Filip Nereusz otrzymał od Boga dar widzenia, przynajmniej w niektórych zdarzeniach, stanu dusz, w jakim są w oczach Boga i Aniołów. Gdy dusza była w stanie grzechu śmiertelnego, Święty widział jej

brzydotę; gdy zaś była w stanie łaski, widział świetną jej wspaniałość niebiańską, jaką była odziana. Gdybyśmy posiadali dar św. Filipa Nereusza, lub gdyby Aniołowie użyczyli nam swoich oczu, widzielibyśmy w chwili Chrztu cudowną przemianę odbywającą się w duszy dziecięcia. W czasie gdy woda do Chrztu poświęcona, spływa po czole jego, widzielibyśmy tę istotę, zagrożoną śmiercią z powodu grzechu pierworodnego, powracającą do życia, przeistaczającą się i promieniejącą pięknością Anielską.

To też gdy dziecko nowo ochrzczone umrze, wrota nieba otwierają się przed niem i zaraz idzie w poczet błogosławionych.

Święta Teresa była w domu swej siostry Joanny Ahumady, gdy ta powiła drugiego syna. Życzyła sobie, aby na Chrzcie św. dano mu imię Józef, gdyż św. Teresa miała wielkie nabożeństwo do tego Świętego. Św. Teresa trzymając na rękach nowo narodzone dziecię, mówiła:

— Mój synu, proszę Pana Boga, aby cię zabrał raczej małym Aniołkiem, gdybyś miał kiedyś oddalić się od Jego służby świętej i obrazić Go.

Ten Aniołek, mając trzy tygodnie, śmiertelnie zachorował. Św. Teresa widząc że miał ulecieć do ojczyzny niebieskiej, wzięła go na ręce i patrzała nań długo. Joanna Ahumada mając wzrok zwrócony na Świętą,

ujrzała twarz jej rozpromienioną i piękną jak twarz Anioła. W tej chwili dziecię skonało. Św. Teresa chce wyjść aby oszczędzić boleści matce, lecz ta z siłą nadludzką, myśląc że dziecię jej znajduje się przed obliczem Bożem, mówi do swej siostry:

— Nie odchodź, widzę że mój Józio zakończył życie. — Święta, zachwycona widzeniem jakie miała, odpowiada jej z uśmiechem:

— O jakże trzeba dziękować Bogu, gdyż widziałam mnóstwo Aniołów, unoszących do nieba duszę dziecięcia, będącego też Aniołkiem.

Takie niebiańskie widzenie, miała Teresa święta. (Schouppe III).

Ojciec Aleksander de Rhodes.

Pierwszym skutkiem Chrztu św. jest zgładzenie grzechu pierworodnego; żaden inny Sakrament nie może zgładzić tej plamy. Ojciec Aleksander de Rhodes, z Towarzystwa Jezusowego, misyonarz w Kochinchinie w XVIII wieku, mówił raz poganom o pochodzeniu człowieka.

W pierwszy dzień wytłumaczył, jak człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga i jak Bóg każdą duszę z osobna stwarza i wlewa w ciało człowieka.

Nazajutrz mówił o grzechu pierworodnym,

który skaził naturę ludzką i całe potomstwo Adama, i że plama ta powinna być obmytą przez Chrzest św.

Jeden z pogan usłyszawszy te nauki, zapytał:

— Jak nauka dzisiejsza pogodzi się z wczorajszą? Jeżeli Stwórcą dusz naszych jest sam Pan Bóg, a rodzice nasi nie przyczyniają się zupełnie do ukształcenia jej, jakim sposobem skażona jest od urodzenia? Jak pojąć można, aby istota wychodząc z rąk Bożych, była grzeszną i splamioną?

Zadziwiłem się, mówi Ojciec, że poganin czynił tę samą uwagę, jaka zajmowała św. Augustyna. Starałem się nie tłumaczyć mu tego teologicznie, boby mnie nie zrozumiał. Pan Bóg natchnął mnie porównaniem przystępnem dla pojęcia Kochinchińczyków.

— Gdy trzymam w ręku piękną perłę, rzekłem im, a upuszczę ją w błoto, czyż nie zabrudzi się, choć ręka moja jest czysta? Po wyjęciu z błota i po wymyciu w czystej wodzie, czy nie będzie tak błyszczącą jak pierwej?

Zrozumieli tę odpowiedź słuchacze i wszyscy byli zadowolnieni. (Schouppe III).

Chrzest starca.

O. Poisnel misyonarz w Korei, pisał niedawno do ks. Blonc swego biskupa, wika-

ryusza Apostolskiego, między innemi co następuje:

— Z pomiędzy wszystkich członków rodziny, którą miałem ochrzcić, najwięcej zasługuje na uwagę godny jej patryarcha. Nie jeden raz musiałem płakać z radości. Był on nieco głuchy, prawie całkiem ciemny, zresztą jeszcze dość silny. Po zwykłych pozdrowieniach zapytałem go, czy spodziewa się tym razem Chrzest św. otrzymać?

— Niczego tak bardzo nie wyczekuję, jak Chrztu św., abym mógł szczęśliwie umrzeć, odpowiedział stanowczo.

— Czy już dawno wzrok utraciłeś? Zapewne musi ci to być bardzo przykro?

— O, odpowiedział, za łaską Bożą tak długo miałem dobry wzrok, ażem się nauczył katechizmu i wszystkich modlitw. Potem, dziwna rzecz, wzrok utraciłem. Cieszyłoby mnie to wprawdzie, gdybym mógł Ojca i święte obrazy obaczyć — a zresztą co jest na tym świecie godnego widzenia?

Kiedym więc tego starca chciał ochrzcić i według przepisu po pierwszy raz zapytał, czy wyrzeka się czarta, świata i grzechu, odpowiedział jak się należało. Gdy jednak nad jego spodziewanie drugi i trzeci raz zapytałem, czy się tych wszystkich rzeczy odrzeka, nie mógł się dłużej powstrzymać. Zapewne jak niegdyś Piotr św. którego sobie za patrona obrał, zasmucony że ja wątpię

o jego dobrej woli, obrócił się do mego towarzysza, który mu moje słowa tłumaczył i zawołał z oburzeniem:

— Jakto? ty mnie o to pytasz, czy się wyrzekam czarta? Wszak ci dopieroco powiedziałem! Czyż warto mnie jeszcze raz o to samo pytać? Ja wszystko wierzę! ja się odrzekam wszystkiego!

Któż o tem wątpił? Staruszek z takim zapałem i uroczystością wyznanie wiary uczynił, żem z trudnością mógł go uspokoić, mówiąc, że tak Kościół święty przepisuje.

(Erbst. 1887.).

Woda i Chleb Boży.

Jedno z moich drogich dzieci, opowiada Kardynał Lavigerie (Lawiżri), Arcybiskup Kartaginy, które się zawsze rozumem nad wiek swój (miało lat 10) wyszczególniało, ciężko zachorowało. Położono je do łożka, a wkrótce chłopczynę tak rany okryły, że zdawał się być tylko jedną wielką raną.

Siostry św. Józefa, które go pielęgnowały podziwiały jego łagodność. Pewnego dnia, gdym według zwyczaju chorych odwiedzał, zwróciły moją uwagę na niego. Przystąpiłem do jego łóżka, wziął mnie za ramię i pociągnął ku sobie, bo głos jego był już bardzo słaby.

— Ojcze, — rzekł do mnie, kładąc rękę

na piersi — tu wewnątrz jestem całkiem czarny.

— Co chcesz przez to powiedzieć moje dziecię?

— Że moje serce czarne, bo jeszcze nie jestem dzieckiem Bożem. Ja chcę abyś mi dał tę wodę!

— Jaką wodę?

— Wodę chrztu, która duszę czyni białą przed Panem Bogiem, aby mogła pójść do nieba. — To mówiąc spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem i pocałował mnie w rękę.

— Kiedy chcesz, rzekłem, to tu przyszlę kapłana który cię jeszcze lepiej pouczy i ochrzci.

I rzeczywiście, wkrótce potem przyjął Chrzest święty z taką pobożnością, jaką tylko ten mieć może, kto jest pewny swego zbawienia.

Gdym w kilka dni potem znowu doń przyszedł i zapytał czy już jest ochrzczony, odrzekł:

— Tak Ojcze, ale teraz tak chętniebym pragnął dostać Chleb Boży.

— On pragnie Komunii — zauważyła siostra — kapłan mówił o tem, a on teraz co chwilę pragnie Komunii.

— Cóż to jest Chleb Boży? — zapytałem go.

— Ojcze, to Pan Jezus.

W kilka dni potem, ponieważ coraz słab-

szym się stawał, przyniósł mu kapłan który go chrzcił, Komunię św. W tej chwili coś tak nadzwyczajnego zaszło w tem dziecku, że wszyscy, którzy byli świadkami tego, z podziwieniem o tem mówili. Na widok św. Hostyi zajaśniało oblicze tego małego Araba jakby niebieskim blaskiem. Było to jakby światło, co wychodząc z duszy, rysy jego rozpromieniało. Wyciągnął swe wychudłe ręce do Boskiego gościa, który go nawiedzał, a przyjąwszy Komunię św., leżał jakby w zachwyceniu. Wszyscy przytomni, kapłan, siostry i dzieci pogańskie płakały patrząc na to niebieskie widowisko.

Ja przyszedłem kilka minut później. Zaledwie dzieci pogańskie mnie ujrzały, rzuciły się do mnie:

— O, — wołały cisnąc się do mnie, — my wszyscy pragniemy Chrztu, jak Hieronim. — To bowiem imię dano Arabowi na Chrzcie. Zbliżyłem się do łoża chłopczyka; oblicze jego całkiem było przemienione.

— Idę do nieba, aby zobaczyć Jezusa! — rzekł do mnie. W kilka chwil potem oddał ducha swego. (Erbst. 1887.).

Renegat z Dulcigno.

W roku 1705 Św. Franciszek de Hieronimo T. J., po kazaniu mianem w Neapolu, ujrzał zbliżającego się doń młodego czło-

wieka zalanego łzami, którego rysy i ubranie wskazywały, że jest muzułmaninem.

— Mój Ojcze! mój Ojcze! — rzekł cicho — posłuchaj nieszczęśliwego.

Św. Franciszek usłuchał go chętnie.

— Jestem odstępcą — dodał, — złamałem przysięgę na Chrzcie św. uczynioną, lecz chcę powrócić do P. Jezusa, dopomóż mi.

Usłyszawszy to Św. Franciszek, uściskał go z wyrazem najżywszej radości i obiecał w Imieniu Boga miłosierdzie i błogosławieństwo. Młodzieniec uradowany tą obietnicą rzekł:

— Urodziłem się muzułmaninem, a mój ojciec jest gubernatorem w Dulcigno. Wychowany będąc w nienawiści imienia Chrześcijańskiego, młody jeszcze i mając usposobienie awanturnicze, wsiadłem na okręt rozbójników morskich. Opatrzność Boża zrządziła, żeśmy zostali schwytani i uwięzieni. Przyprowadzono mnie do Rzymu, gdzie miłosierdzie Pana Boga oczekiwało na mnie. Gdy ujrzałem to pierwsze miasto święte z całym jego przepychem, powagę obrzędów chrześcijańskich i tego wielkiego Papieża Innocentego XII. który prawdziwie przedstawił mi się jako Zastępca Boga na ziemi: rozdarła się zasłona mych przesądów religijnych. Potem zaś głęboko wzruszony opieką, jaką mnie otaczali kapłani miłosierni, przejrzałem, pojąłem że religia chrześcijań-

ska jest prawdziwą religią i otrzymałem Chrzest święty.

— I cóż mój synu— rzekł wtedy Św. Franciszek — zacząwszy tak dobrze, cóż się stać mogło, że nosisz jeszcze turban? Cóż znowu mogło nakłonić cię do odstępstwa?

— Zgubna nieroztropność. Matka moja, dowiedziawszy się o mojem nawróceniu, pisała list za listem, błagając mnie imieniem swej powagi macierzyńskiej, abym powrócił do niej, oddając jej wesołość, którą utraciła od mego wyjazdu; abym przybył żyć swobodnie w domu rodzicielskim. Zachęcano mnie do odstępstwa. Powinienem był natychmiast przerwać tę niebezpieczną korespondencyę, przez nierostropność utrzymywałem ją i uległem pokusie. Pomimo głosu sumienia, opuściłem wiarę Jezusa Chrystusa, włożyłem znowu turban Mahometa i przybyłem do Neapolu, aby wrócić do mej ojczyzny. Lecz Bóg w miłosierdziu swojem przemówił przez twe usta do mego serca i pragnę odpowiedzieć Jego łasce, nie chcę już wsiadać na okręt, i przysięgam, że wolę raczej chodzić o żebranym chlebie, niżeli porzucić wiarę chrześcijańską.

Święty uściskał tego marnotrawnego syna, i nietylko że pojednał go z Bogiem, ale dał mu zajęcie przynoszące mu dostateczny dochód na utrzymanie w Neapolu.

(Schouppe III).

Suknia na Chrzcie otrzymana.

Czytamy w historyi Kościoła w Afryce, że Huneryk, król Wandalów, zacięty Aryanin t. j. nieuznający bóstwa Jezusa Chrystusa, wzniecił straszne prześladowanie katolików. Więzienia były już przepełnione, gdy jeden z sędziów, Elpidofor, zaparłszy się wiary, sam wydał i kazał uwięzić świętego dyakona Muritę, który niegdyś był jego chrzestnym ojcem. Dowiedziawszy się, że ma stanąć przed trybunałem tego sędziego odstępcy, święty starzec wziął z sobą białą szatę, którą go był odział w dzień Chrztu jego [1]), a stanąwszy przed nim, wyjął ją nagle z pod płaszcza:

— Oto jest ta biała szata, w którą cię przyodziałem podczas Chrztu św. Czy poznajesz ją Elpidoforze? gdzież ją podziałeś?... Nieszczęśliwy! zamieniłeś ją niegodnie na nikczemne łachmany... Ale pamiętaj, że będzie ona twem zawstydzeniem przed trybunałem Jezusa Chrystusa. Tam upomnę się o nią wobec całego świata i ja sam ukażę się tam z tą szatą w ręku, aby cię oskarżyć o przeniewierstwo i apostazyę.

Po tej strasznej i niespodzianej scenie sę-

---

[1]) W pierwszych wiekach chrześcijaństwa był zwyczaj, że ojciec chrzestny zachowywał białą szatę swego pochrześnika na pamiątkę.

dzia apostata, zbladł na swym trybunale i nie mógł przemówić ani słowa.

Każdy Chrześcijanin powinien zadawać sobie to pytanie. Czy zachowałeś nieskalaną twą szatę na Chrzcie otrzymaną? Czy ją splamiłeś! Cóż z nią uczyniłeś? Jaką chcesz ją przedstawić przed obliczem Najwyższego Sędziego? (Schouppe III).

Chrzest krwi. — Święty Genezyusz.

Męczeństwo poniesione dla Pana Jezusa przed Chrztem z wody, nazywa się Chrztem krwi; a choć nie ma natury Sakramentu, dostatecznym jest, aby oczyścić męczennika ze wszystkich grzechów. Między innemi historya podaje nam przykład sławnego męczennika św. Genezyusza, który przelał krew swoją dla Pana Jezusa, za Dyoklecyana w 304 roku.

Wyprawiano publiczne zabawy w Rzymie na cześć Dyoklecyana, z powodu zwycięztwa jakie odniósł nad Persami. Pewien aktor imieniem Genezyusz, myślał, że najlepiej zabawi cesarza i dwór jego bezbożny, naśladując z szyderstwem ceremonie Chrztu, będące w zwyczaju u Chrześcijan. Ukazał się na scenie, leżąc na łożu jakby był słaby i prosił o Chrzest, aby spokojnie umrzeć. Przyszło dwóch aktorów przebranych, jeden za

kapłana a drugi za egzorcystę, zbliżyli się do łóżka i rzekli Genezyuszowi:

— Moje dziecko, poco nas wzywasz?

Na to pytanie serce Genezyusza zmieniło się i odrzekł bez żartu:

— Aby otrzymać łaskę Jezusa Chrystusa, a przez święte odrodzenie, mieć odpuszczone grzechy.

Myślano, że tak doskonale odgrywa swą rolę, wypełniono wszystkie ceremonie Sakramentu; a gdy go ubrano w białą szatę, żołnierze wzięli go na żarty, zaprowadzili jak zazwyczaj męczenników na badanie przed cesarza. Genezyusz korzystając z wrodzonej wymowy, stojąc na wzniesieniu, wyrzekł głosem natchnionym:

— Słuchajcie Cesarzu, dworzanie, senatorowie i plebejusze, wszystkie stany dumnego Rzymu, słuchajcie mnie: przedtem brzydziłem się imieniem Chrześcijanina i nienawidziłem wiary Chrystusa, tak dalece, że wyuczyłem się jej tajemnic, aby z niej uczynić zabawę publiczną, jakto widzieliście. Lecz wśród tej gry bezbożnej serce moje zmieniło się. Leżąc na łóżku, ujrzałem z wysokości niebios rozciągnioną rękę i Aniołów promiennych światłem, unoszących się nademną. Przeczytali w strasznej księdze wszystkie grzechy, które popełniłem od dzieciństwa mego, poczem zmazali je i pokazali mi znowu księgę nad śnieg bielszą. A więc

teraz wielki cesarzu i wy obecni wszelkiego stanu, których nasze gry świętokradzkie pobudzały do śmiechu z tych Boskich tajemnic, wierzcie ze mną winniejszym od was, że Jezus Chrystus jest Panem Najwyższym, godnym czci naszej, i starajcie się otrzymać Jego miłosierdzie.

Po skończonej mowie, Genezyusz został wzięty z rozkazu Dyoklecyana, obity kijmi i oddany prefektowi Plaucyuszowi, aby go zmusił do czynienia ofiary. Prefekt napróżno użył wszystkich męczarni. Wyznawca ciągle mówił:

— Niema Pana równego temu, który mi się objawił. Czczę Go i kocham z całej mej duszy. Gdybym mógł tysiąc razy życie utracić, nic mnie nie odłączy od Niego. Nigdy męczarnie nie wydrą mi z ust ani z serca Jezusa Chrystusa. Żałuję mocno za wszystkie grzechy przeszłe i za to, że tak późno zacząłem Mu służyć.

Przekonano się, że wymowa jego nie była bezwocną, bo wielu się nawróciło, i czem prędzej ścięto mu głowę. (Schouppe III).

Dziki Indyanin.

Szczęśliwi ci którzy są wierni, obietnicom, jakie na Chrzcie św. Bogu uczynili. Takim był ten gorliwy neofita, o którym wspominają w listach budujących. Pewien misyo-

narz przebiegając rozległe okolice Nowego Świata, aby łowić dusze dla Pana Jezusa, spotkał dzikiego człowieka z najlepszemi skłonnościami. Gdy dokładnie wyuczył go głównych tajemnic naszej świętej wiary i Sakramentów, ochrzcił go i dał mu Komunię św., którą przyjął z najżywszem uczuciem wdzięczności i miłości.

Misyonarz poszedł apostołować dalej, a za rok powrócił na to samo miejsce, gdzie mieszkał ten dziki człowiek. Gdy tylko neofita dowiedział się o przybyciu misyonarza, przybiegł do niego i błagał go o udzielenie mu znowu Komunii św.

— Dobrze, mój synu — odpowiedział — ale trzeba, abyś pierwej wyspowiadał się z grzechów śmiertelnych, które mogłeś popełnić. Nie lękaj się, dopomogę ci do wyznania ich.

— Jakto mój Ojcze, — odpowiedział dziki z zadziwieniem — czyż są tak niewdzięczni Chrześcijanie, którzy po Chrzcie św. i po przyjęciu Ciała Jezusa Chrystusa, obrażają Boga grzechem śmiertelnym? Z łaski Bożej zdaje mi się, że nie popełniłem takiego grzechu.

Zalewał się łzami, wyznając najlżejsze winy. Misyonarz zachwycony taką cnotą, wielbił Boga, widząc wierność z jaką Mu służył ten biedny dziki człowiek.

(Schouppe III).

Bardzo trudny Chrzest.

Jeden z rewolucyonistów francuzkich, zamordowawszy wiele osób różnego wieku i stanu i zbogaciwszy się łupem na nich zdobytym, postanowił zostać rzeźnikiem i ożenić się.

Owocem tego małżeństwa były dwie córki: Sempronia i Lukrecya. W dzień urodzin wydał ojciec ucztę, na którą zgromadziło się towarzystwo godne gospodarza. Wśród zabawy zaprawionej bluźnierstwem i złorzeczeniem przeciw Bogu, religii i jej nauczycielom, wyrodny ten ojciec powstaje przy końcu uczty i przysięga, że żadne z dzieci jego nie otrzyma Chrztu, a gdyby kiedy kapłan śmiał się zbliżyć do jego domu z tym zamiarem, kazałby go poćwiartować. W tej chwili wyjął nóż, a ukazując go towarzystwu dodał:

— Tym zabiłem 40 księży na Karmelu, i pięciu w Saint-Firmin, nie licząc innych w Opactwie, i przyrzekam to samo uczynić temu, któryby odważył się przyjść z zamiarem udzielenia Chrztu mojej córce Lukrecyi; przysięgam, jak ten Rzymianin... Brak pamięci i wykształcenia nie dozwolił mu przytoczyć nazwiska, nie zapamiętał jak tylko przekleństwo, zapewne wymówione w podobnej obronie.

W r. 1813 Lukrecya zachorowała niebezpiecznie i była blizką śmierci.

Chociaż, jak całe otoczenie jej przyznawało, była słodką i miłą, jednak wychowana niereligijnie przez ojca, nie miała sposobności poznania swoich obowiązków, mimo to, niewinnością i dobrem zachowaniem zjednała sobie powszechną miłość pomiędzy sąsiadami. Niektórzy z nich pobożniejsi próbowali przedstawić ojcu niebezpieczny stan córki, namawiając, aby dozwolił ją ochrzcić, ale ten bezbożnik powtórzył tylko przekleństwo, wymówione w dzień jej urodzin, wznawiając groźbę zabicia pierwszego kapłana, któryby odważył się przybyć i kończył swoją przemowę obelgami przeciw tym, co mu wspominali o religii i Bogu, którego nienawidził.

Tymczasem jakaś litościwa osoba dała znać o tem bardzo zacnemu kapłanowi, który oburzony postępowaniem ojca, pragnął ocalić duszę tej nieszczęśliwej istoty. Przejęty tą myślą, postanawia z narażeniem własnego życia, pozyskać tę duszę Bogu. Jeżeli mi się nie uda, to się połączę z chwalebnymi męczennikami, których byłem towarzyszem i przyjacielem.

Aby dostać się do tej młodej osoby, ksiądz D... przywdział strój świecki i tak przebrany, nie wzbudzając nawet podejrzenia kim był, wszedł do sklepu tego czło-

wieka, przedstawiając mu, iż dowiedziawszy się, że jego córka bez nadziei chora i opuszczona od lekarzy, przychodzi choć nie znany i obiecuje uleczyć ją.

Temi słowy wzruszony ojciec, zapłakał, podziękował i przyjął ofiarowaną pomoc, chociaż jak mówił uważa ją za spóźnioną i myśli, że już wszystko skończone dla jego córki, która wkrótce w nicość się obróci. Obiecuje nagrodę temu, kto mu wróci ukochane dziecię; nieznajomy nie żąda żadnej, tylko chce ją widzieć. Prowadzą go do pokoju, w którym znajduje dziewczynkę 14-letnią, bladą, zmienioną przez chorobę i wyglądającą, jakby jej tylko kilka godzin życia pozostawało. Ojciec jej wchodząc oznajmił, że przyprowadza zacnego sąsiada który ją uzdrowi.

— Mam nadzieję, rzekł nieznajomy, że mi Bóg udzieli sposobu ocalenia jej.

— Co mówisz przyjacielu? My o tych rzeczach nie chcemy słyszeć, i proszę cię zaprzestań twoich bajek.

Nieznajomy zrozumiał, że wspomnienie o Tym, który w rękach swoich dzierży losy ludzkie, było wykluczone z rozmowy tego niedowiarka. Dotknął tylko pulsu chorej, dodał jej nadziei, mówił do niej z uczuciem, powiedział ojcu, że idzie przygotować lekarstwo i wkrótce przyjdzie. Powróciwszy do siebie, nalał do małej flaszeczki wody z kwiatu

pomarańczowego, włożył trochę cukru i zabarwił lekko kilku kroplami czerwonego wina, drugą napełnił czystą wodą i udał się do chorej.

Nalawszy do szklanki połowę tego, co zawierała flaszeczka z lekarstwem, podał chorej mówiąc, że za godzinę da jej resztę, że trzeba tylko, aby przygotowano lekką herbatę i podano za kwadrans. Bóg, którego dobroć zajmuje się zbawieniem swych stworzeń, sprawił, że to niewinne lekarstwo zdawało się ulgę przynosić chorej, a to usunęło wszelkie podejrzenie co do celu odwiedzin nieznajomego.

Gdy ojciec wyszedł po herbatę, nieznajomy wyjmuje małą flaszeczkę z wodą i odzywa się do dziewczynki:

— Moje dziecię, możesz umrzeć, twoje ciało ulegnie zniszczeniu, ale ratujmy duszę. Jestem sługą tego Boga, który jest ci może nieznany. Narażam się na śmierć, aby wybawić twoją duszę, ale ten Bóg — mój wzór, więcej naraził się dla nas. Śmiercią na krzyżu dla zbawienia ludzi, utorował nam drogę swoim przykładem. Jako Jego zastępca przychodzę do ciebie, aby przez Jego łaskę zmazać twoje grzechy wodą Chrztu św., pocieszyć cię w cierpieniach które masz przetrwać i zapewnić ci zbawienie wieczne. Czas jest drogi, nie traćmy jednej chwili. Czy chcesz być ochrzczoną?

Jej oblicze blade zarumieniło się, oczy zabłysły radośnie, wyciąga rękę i odzywa się ze słodyczą:

— Ach! Panie, będę szczęśliwą gdy otrzymam chrzest; ja go pragnę, a niech cię Bóg nagrodzi za twoją dobroć! Jednocześnie usuwając chustkę z jej głowy i polewając wodą, ten czcigodny pasterz, udzielił spiesznie Sakramentu Chrztu w nadziei, że gdyby Bóg udzielił jej zdrowia, podda się chętnie ceremoniom kościelnym. Następnie klękając przy jej łóżku, zachęca ją do podniesienia duszy do Boga, każe powtarzać słowa modlitwy, które osłabienie dozwoliło jej jeszcze wymówić.

Zaledwie ta uroczysta ceremonia się skończyła, wszedł ojciec z herbatą którą podano chorej, wlewając resztę lekarstwa. — Mój ojcze — rzekła neofitka, — czuję że umieram, nie pragnę życia, bo będę szczęśliwą po śmierci. Pamiętaj o mnie... Myśl o twem przeszłem życiu... Do widzenia... Dziękuję ci mój panie... Lekarstwo mnie pocieszyło...

To rzekłszy skonała. Na krzyk ojca zbiegli się domownicy; a zacny kapłan, dziękując Bogu za tak wielką łaskę, pospieszył do domu, błagając Boga o miłosierdzie dla grzesznego ojca. (Anecdotes chrétiennes).

Chrzest Wiktoryna.

Wiktoryn sławny mowca, był w Rzymie nauczycielem krasomówstwa. Z zapałem oddawał się naukom wyzwolonym, do których miał wiele zdolności; czytał, badał i wyjaśniał prawie wszystkie dzieła starożytnych filozofów, był jednym z najznaczniejszych senatorów rzymskich, nakoniec tak się wsławił, że w dowód uznania wzniesiono mu pomnik na publicznym placu w Rzymie, co uchodziło za największy zaszczyt, jakiego człowiek mógł dostąpić. Lecz jeszcze był poganinem i gorliwym czcicielem bożków, a wymową swoją cześć tę rozszerzał między uczniami.

Jakiejże łaski było potrzeba, aby wzruszyć i nawrócić to serce? Oto środek, którego Bóg użył. Wiktoryn czytał pismo święte i inne dzieła o religii chrześcijańskiej, a po gruntownem poznaniu ich, powiedział raz poufnie do św. Symplicyusza:

— Ważną wiadomość ci zwiastuję, jestem Chrześcijaninem.

— Nie wierzę temu, odpowiedział św. Symplicyusz; i nie uwierzę, że jesteś Chrześcijaninem, dopóki cię nie ujrzę w kościele, gdzie się zgromadzają wierni.

— Jakto? — odpowiedział Wiktoryn — czy to dopiero w obrębie muru kościelnego jest się chrześcijaninem?

Zawsze, ile razy upewniał, że jest Chrześcijaninem, św. Symplicyusz powtarzał to samo, a Wiktoryn odpowiadał tym samym sposobem żartobliwym.

Wstrzymywała go od jawnego wyznania bojaźń rozdrażnienia pogan, których zemsta srodze dosięgnąćby go mogła; ale w końcu odwaga i wspaniałomyślność przyszły mu w pomoc, wrażenia otrzymane z czytania dzieł świętych odniosły zwycięztwo nad jego sercem, zrozumiał, że byłoby występkiem wstydzić się prawdy chrześcijańskiej, a nie wstydzić się zabobonów pogańskich i świętokradzkich.

Pewnego dnia odważył się powiedzieć św. Symplicyuszowi, który się wcale tego nie spodziewał:

— Chodźmy do kościoła! postanowiłem nietylko być, ale i jawnie okazać, że jestem Chrześcijaninem.

Uszczęśliwiony tem św. Symplicyusz, zaprowadził go natychmiast i zapisał do rzędu tych którzy o Chrzest prosili. Rzym był zdziwiony i uniesiony radością, która była udziałem całego Kościoła, z powodu głośnej sławy i wziętości, jakiej używał ten wielki człowiek.

Nareszcie nadszedł szczęśliwy dzień, przeznaczony na Chrzest św. Było zwyczajem Kościoła rzymskiego, czynić wyznanie wiary przed Chrztem w słowach odmawianych na

pamięć i głośno w obecności wiernych. Kapłani niechcący go narazić na prześladowanie pogan, radzili mu uczynić to prywatnie, ale Wiktoryn chciał wyznać głośno i publicznie naukę niebieską, mającą doprowadzić go do zbawienia. Zaledwie ukazał się na trybunie, nagłe uniesienie radości rozniosło imię jego po całem zgromadzeniu, a chociaż każdy miarkował swój głos, przez uszanowanie dla świętego aktu i miejsca, to jednak ze wszystkich stron słychać było, jak nieraz wymawiali jego imię. Wszyscy ucichli aby go słyszeć, a on pełen świętej odwagi, wymawiał głośno i wyraźnie prawdy naszej Wiary i odpowiadał na wszystkie pytania, poprzedzające Chrzest święty. Całe zgromadzenie chrześcijańskie zespoliło się w jednem żywem uczuciu radości z jego nawrócenia, które miało wielkie następstwa; a św. Augustyn, słysząc opowiadanie św. Symplicyusza, wyznał, że uczuł wielkie pragnienie wstąpić w ślady Wiktoryna, co wkrótce uskutecznił składając wyznanie wiary w ręce św. Ambrożego, a mając za ojca chrzestnego św. Symplicyusza.

(Wyjątek z wyznań św. Augustyna).

Emmanuel.

Książe murzyński, który panował na wybrzeżu Kongo 1489 roku, miał tak gorące

pragnienie Chrztu św., że na pierwszą wiadomość o przybyciu misyonarzy wysłanych przez króla portugalskiego, pospieszył na ich spotkanie na czele wielkiej liczby swoich poddanych i przyjął ich przy odgłosie bębnów i trąb z nadzwyczajnem uniesieniem. Będąc już starcem i bojąc się stracić szczęśliwą sposobność, którą Bóg mu zesłał w swojej nieskończonej dobroci, chciał być ochrzczonym jak najprędzej wraz z ostatnim synem, który był jeszcze za młody, aby sam Chrztu żądał. Zabrano się z zapałem do zbudowania świątyni z gałęzi i liści, w której wzniesiono trzy ołtarze także z zieleni. W tej to świątyni, w której śpiewano pieśni święte, ochrzczono księcia afrykańskiego, który otrzymał nowe imię Emmanuela, a syn imię Antoniego.

Ten pobożny murzyn, czując się szczęśliwym Chrześcijaninem, nie zadowolnił się nawróceniem 23.000 murzynów, którzy byli obecni podczas tego świętego i wzruszającego obrzędu; zgromadził jeszcze swój lud i podniósł głos, potępiając fałszywe bóstwa i ich zabobony karygodne. Ogłosił rozkaz surowego poszukiwania bałwanów, z których kazał ułożyć stos i podpalić. Od szczęśliwego dnia jego Chrztu, Emmanuel którego można nazwać *Pobożnym Afrykaninem*, wznosił do Boga nieustanne modlitwy, chcąc wynagrodzić Bogu bezbożności i profanacye,

w pośród których przepędził większą część życia. Z największym zapałem prosił Boga, aby jako zadosyć uczynienie, mógł poświęcić resztę dni swoich Chrystusowi i wytrwać aż do śmierci w praktykach świętej pobożności. (Skarb murzynów).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Wład. Długołęcki T. J.

L. 1456.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.

(L. S.) *† A. Kard. Dunajewski*

Książę-Biskup.

Kraków 6 Kwietnia 1892.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

II. Bierzmowanie.

Paż cesarza Juliana.

Chrzest czyni człowieka dziecięciem Bożem, Bierzmowanie czyni ochrzczonego żołnierzem Pana Jezusa, odważnym do wyznania wiary i strasznym dla szatana.

Cesarz Julian, chcąc uroczyście obchodzić swoje odstępstwo od wiary, kazał przygotować w świątyni wielką ofiarę bożkom. W chwili rozpoczęcia ceremonii, ogień zgasł nagle na ołtarzu, noże nie chciały krajać ofiar i ofiarnik przerażony zawołał:

— Jest tu jakiś Galilejczyk, który albo niedawno był obmyty wodą albo też namaszczony balsamem! — chciał przez to wyrazić, że ochrzczony albo bierzmowany. Wtedy młody paż, Chrześcijanin, który dopieroco był przyjął Sakrament Bierzmowania, zawołał:

— To ja uczyniłem znak krzyża św. i

wezwałem Imię Jezus, aby zawstydzić wasze bałwany.

Cesarz, który był przedtem Chrześcijaninem i wiedział dobrze o potędze Pana Jezusa, przejęty został trwogą. Lękał się skutków zemsty Bożej, i zawstydzony wyszedł ze świątyni nie wymówiwszy ani jednego słowa. Odważny żołnierz Jezusa Chrystusa oznajmił Chrześcijanom o tem co się stało i poznali jak straszni są dla szatana ci, w których mieszka moc Ducha świętego i jak jest ważnem przyjęcie Sakramentu Bierzmowania ze świętem usposobieniem.

(Schouppe III).

Św. Andrzej Apostoł.

Moc Ducha świętego, która zstąpiła na Apostołów w dzień Zielonych Świątek, cudownie zabłysła w świętym Andrzeju Apostole. Gdy w roku 35 opuścił Jerozolimę z towarzyszami swymi, poniósł najprzód Ewangelię do rozległych krajów nad brzegami morza Czarnego; potem przybył do Achai, zkąd udał się do Scytyi, której mieszkańcy byli bardzo dzicy. Odważny Apostoł zadziwił ich swym spokojem wobec najstraszniejszych niebezpieczeństw i z łatwością pozyskał ich dla wiary Chrystusowej.

Wróciwszy do Achai, rozkrzewiał wiarę chrześcijańską w mieście stołecznem Patras.

Tu go prokonsul namiestnik Egeusz, chcąc pomścić bożków cesarstwa, kazał okuć w kajdany i skazał go na śmierć krzyżową.

Wyrok ten nie strwożył świętego Apostoła, lecz owszem napełnił go najżywszą radością. Śmierć jego była tryumfem a wstępując na krzyż za przykładem swego Boskiego mistrza stał się świecą na świeczniku, aby oświecać całą ziemię. Kapłani i dyakoni, uczniowie jego obecni męczeństwu, opisali piękne szczegóły w długim liście rozesłanym do wszystkich kościołów Wschodu i Zachodu.

Czytamy w tym autentycznym dokumencie, że gdy Egeusz nakazywał mu pod najstraszniejszemi groźbami cześć oddać bożkom cesarstwa, święty Apostoł rzekł mu:

— O synu śmierci, czyż zawsze pozostawać będziesz w twojej ślepocie? Czyż nigdy nie poznasz jedynego Boga żywego i prawdziwego? Sądzisz że lękam się męczarni, jakiemi mi grozisz? Wiedz, że właśnie pragnę ich usilnie; im więcej cierpieć będę, tem piękniejszą i droższą będzie korona, którą otrzymam z rąk P. Jezusa. To tylko martwi mnie Egeuszu, że oddalasz się od drogi zbawienia.

Wkrótce potem na śmierć go zaprowadzono. Gdy ujrzał krzyż na którym miał być przybity, zawołał w uniesieniu radości:

— Witaj czcigodny krzyżu, poświęcony

dotknięciem Ciała Jezusa Chrystusa! Zawsze ukochany, najgoręcej upragniony. O miły krzyżu ozdobiony niezrównaną pięknością Krwi Mistrza mojego! o krzyżu tak dawno upragniony, który w końcu dla mnie jesteś przygotowany, przyjmij mnie z rąk ludzi i oddaj mnie Mistrzowi mojemu, abym przeszedł z ramion twoich w ramiona Zbawiciela mego!

Ojcowie Kościoła powtarzając te słowa i uczucia zachwytu, jakie zawierają, podziwiają moc i wytrwanie Apostoła męczennika w chwili, gdy każdy inny drżałby idąc na śmierć i męki. Duch święty napełniał go swą Bożą mocą, a ogień miłości, mówi św. Bernard, którym pałało jego serce, rzucał płomienie ustami jego.

Święty Andrzej poniósł męczeństwo 30 listopada 62 roku, pod panowaniem Nerona.

(Z życia).

Święta Eulalia.

Prześladowanie Chrześcijan za Dyoklecyana zapaliło pragnieniem męczeństwa serce Eulalii, zaledwie 12-letniej panienki, która nie mogąc powstrzymać szlachetnego uniesienia, chciała iść sama przedstawić się tyranowi. Jej matka rozumna i pełna tkliwości dla swego dziecięcia, przeniosła się z nią na wieś, chcąc przez to pozorne odosob-

nienie usunąć niebezpieczeństwo, na które jej odwaga mogłaby ją wystawić. Lecz pomimo czujności matki Eulalia wymyka się niepostrzeżenie w nocy, puszcza się w pole nieznając drogi, idzie lecz nie samotnie, grono Aniołów jej towarzyszy, spieszy z taką szybkością, że już uszła kilka mil przed wschodem słońca.

Przybywa w końcu do Merydy; natychmiast dąży do pałacu i staje śmiało przed trybunałem sędziego:

— Dla Boga! panie, dlaczego prześladujesz niewinnych i chcesz zmusić wiernych do oddania pokłonu fałszywym bogom? Szukasz ich, oświadczam ci więc, że jestem Chrześcijanką i nieprzyjaciółką bałwanów z kamienia i drzewa.

Mowa ta tak niespodziewana wzbudziła podziwienie i gniew sędziego, który nie mogąc nic wymódz na świętej przez obietnice i groźby, chciał ją wydać na męki, ale Eulalia uprzedzając go, a idąc za natchnieniem Ducha św. skłaniającego ją do działania, nagle przewraca ołtarz, gruchocze bałwany, depcze nogami ofiary pogańskie i wszczyna popłoch i zamięszanie między sędziami i katami. Rozgniewany tyran każe ją pochwycić, obdzierają ją, szarpią i krwawią.

— O Jezu! mój niebieski Oblubieńcze — woła wesoło Eulalia — oni wypisują Twoje święte imię na mojem ciele żelazem, chcą

wyryć na niem Twoje zwycięztwa krwawym charakterem.

Ani jedna łza nie spadła z jej oka, ani jedno westchnienie nie wyrwało się z jej serca, radość święta błyszczy na jej obliczu. Tyran coraz więcej rozgniewany, po bezużytecznem użyciu żelaza, ucieka się do ognia. Każe zapalić stos drzewa w około Eulalii, płomienie ogarniają ją zewsząd, młoda męczennica widząc, że zdejmują z niej odzież, rozpuszcza swe długie włosy, które spadając okrywają ją przed tymi niewstydliwymi ludźmi. Ale płomienie posuwając się coraz bardziej, dosięgają już jej włosów; Święta czując swój blizki koniec, oddychając ostatni raz, wciąga ogień do wnętrza i kończy życie wśród otaczających ją płomieni.

W tej chwili widziano gołąbka bielszego jak śnieg wzlatującego w niebo; była to dusza Eulalii, która spieszyła połączyć się na zawsze ze swym niebieskim Oblubieńcem.

Jej święte szczątki spoczywają w mieście Merydzie, i są jego ozdobą; świętość jej życia jest jego chwałą, a jej przyczyna jego szczęściem.

(Wyjęte z dziejów męczenników i ze św. Jana Chryzostoma 304).

Mężny wyznawca wiary.

Nic nie ma szlachetniejszego jak pogarda względu ludzkiego; ona wznosi człowieka

nad tych wszystkich, którym się zdaje, że poniżą go szydząc z niego; najpyszniejsza bezbożność zmuszona jest cześć mu oddać.

Będzie dwadzieścia lat temu, pisze M. Bouniol, nierozsądny wzgląd ludzki despotycznie panował we Francyi między młodzieżą szkoły politechnicznej, za czasów Ludwika Filipa. Trzeba było odwagi prawie heroicznej, aby się ośmielić przy danej sposobności, otwarcie wyznać wiarę swoją. Jeden z uczniów miał jednakże tę odwagę i to w okolicznościach podnoszących jeszcze zasługę jego.

Raz w czasie wolnej godziny, gdy większa część młodzieży z powodu niepogody zebrała się w sali szkolnej, jeden z uczniów wbiega z dziwną wesołością i wstąpiwszy na krzesło daje znak milczenia. Otaczają go i pilnie przysłuchują się co będzie mówił.

— Panowie — rzekł — znalazłem rzecz, ale rzecz dziwną, niesłychaną i taką, że ręczę sto, tysiąc i dziesięć tysięcy razy, iż nie zgadniecie co to jest, chyba zgadnie ten, który tę rzecz zgubił, jeżeli tu jest, chociaż nie jest możebnem, aby ten mógł być naszym kolegą z naszej szkoły. A więc zgadnijcie co znalazłem na korytarzu?

Wtedy wymieniają rzeczy najdziwniejsze, sadzą się na dowcipy i szyderstwa.

— Panowie, z pewnością nie zgadniecie. Oto co znalazłem! podnosi rękę i pokazuje różaniec.

— Różaniec! wołają wszyscy, różaniec! Któż u licha śmie nosić przy sobie ten zabobon? Takich kolegów my nie mamy; wszak nie ma tu starej dewotki, któraby upuściła różaniec. Założę się, że różaniec nie znajdzie swego właściciela. Ten do którego należy, jeżeli należy do kogo, nie będzie tak głupi, aby upomnieć się o niego.

Jeden z uczniów, stojący przy stole pokrytym rysunkami i książkami, od kilku chwil podniósł głowę i z założonemi rękami spokojnie z nieopisanym uśmiechem patrzał na tę dziwną scenę. W szlachetnych jego rysach, na wyniosłem czole, w blasku jego wzroku śmiałego i jasnego, jaśniała bystrość umysłu. A ta powierzchowność nie była kłamliwą. Między celującymi uczniami, Henryk był jednym z pierwszych. Dodajmy do tego, że miły jego charakter zjednał mu przyjaźń większej ich liczby, a gruntowna nauka szacunek wszystkich.

— Widocznie różaniec do nikogo nie należy — wołał znowu uczeń udający woźnego. — No powtarzam raz, dwa...

W tej chwili Henryk przeszedł między ciekawymi, wyciągnął rękę i spokojnie, tonem poważnym bez zarumienienia się ani zawstydzenia, wprawiając wszystkich w podziwienie rzekł:

— To jest mój różaniec, proszę mi go oddać.

— Twój, twój? — jego różaniec! To nie może być. Doskonale umie żartować.

— Nie żartuję, szczególniej w takich przedmiotach — rzekł Henryk, nie tracąc odwagi, acz widział złośliwe uśmiechy — tak moi panowie, ten różaniec do mnie należy i upominam się o niego. Dostałem go od umierającej mej matki, której obiecałem, że go zawsze nosić będę, zachowując wiernie zasady mej wiary. Panowie! przed chwilą słyszałem mówiących z drwinkami o rzeczach świętych, co przypisać można głębokiej ciemnocie tak pospolitej niestety w tych przedmiotach, których wcale nie rozumieją, a których nie chcą się uczyć. Słyszałem gdy pytano szydzącym tonem, czy który z nas na Mszę św. chodzi? Nie wiem, jak czynią inni, co do mnie niech Bóg broni, abym Mszę opuścił; w niedzielę najpierw idę do kościoła. Tak moi panowie, jestem religijny za przykładem Vauban'a, naszego znakomitego mistrza; za przykładem Turennea, Condeusza, Villarsa, tych ludzi walecznych, za przykładem Fenelona, Bossueta i tylu innych sławnych ludzi. Jestem, zdaje mi się, w dobrem i zaszczytnem towarzystwie, przynoszącem mi honor, nie zaś hańbę.

To poważne objawienie zasad gruntownie utwierdzonych uczyniło wrażenie. Niektórzy wahali się, nie wiedząc czy mieli przyznać racyę, czy wyśmiewać, inni zaczynający już

drwinki, cofnęli się przed tym odważnym młodzieńcem. Większa część uczniów rozumnych i szlachetnych, podziwiając odwagę Henryka, przyklasnęli i podali rękę na znak szacunku walecznemu bohaterowi Chrześcijańskiemu. (Schouppe III).

Marya Stuart.

Jedną z najznakomitszych ofiar prześladowań Elżbiety, niegodziwej królowej angielskiej, była pobożna Marya Stuart, królowa Szkocyi, zgładzona ze świata pod pozorem buntu, za sprawę Jezusa Chrystusa i wiary Rzymsko-katolickiej. Było to w lutym 1587.

Przetrzymawszy ją przez lat 18 w ostrem więzieniu, Elżbieta nie lękała się podpisać wyroku śmierci nieszczęśliwej Maryi.

Gdy jej przyszli oznajmić, aby się na śmierć przygotowała, odrzekła bez wzruszenia, że od chwili swego uwięzienia w Anglii, przygotowywała się na śmierć, i okazała wielką radość, że nadszedł czas zamiany jej cierpień w szczęście wieczne bez troski.

Egzekucya miała się odbyć nazajutrz rano między siódmą i ósmą. Spowiednikowi przyjść nie dozwolono, a więc napisała do niego, prosząc o pomoc w modlitwach i o wszystko co mogło przyczynić się do jej zbawienia.

Ponieważ noc już była, poszła do swej kaplicy, gdzie klęcząc modliła się przeszło

dwie godziny; potem położyła się, nie tyle dla odpoczynku jak dla modlitwy aż do rana, o czem świadczą jej damy dworskie. Wstała na dwie godziny przededniem, ubrała się wspaniale, gdyż jako wierna katoliczka uważała ten dzień za najpiękniejszy w swojem życiu, wróciła do kaplicy i spożyła Hostyę konsekrowaną, którą jak mówią, Papież pozwolił jej przechować u siebie na koniec jej życia.

W godzinie naznaczonej zaprowadzono ją na miejsce jej śmierci. Na środku wielkiej sali wzniesiono rusztowanie, pokryte czarnem suknem. Królowa weszła z krucyfiksem w rękach i wstąpiła po stopniach na rusztowanie z pomocą jednego z swych dworzan. Miała suknię długą, czarną aksamitną, ozdobną w klamry i lamy złote, z mnóstwem pereł i drogich kamieni; na głowie miała welon biały cienki, przeźroczysty spływający na ziemię. W czterdziestym czwartym roku życia twarz Maryi Stuart nie tyle zmieniona, jak ożywiona wyrazem boleści i heroizmu, była tak majestatyczną, że budziła pewien rodzaj poszanowania religijnego.

Gdy przeczytano jej wyrok śmierci, nie uważając na to co się wokoło niej działo, duszą całą zatopiona w niebie, królowa ciągle z krucyfiksem w ręku, zapewniała, że nigdy nie nastawała na życie ani na koronę Elżbiety; ale ponieważ powodem jej

śmierci jest wiara, przyjmuje ją jako największą łaskę od Pana Boga. Poleciła Panu Jezusowi Kościół katolicki, króla Jakóba swego syna a nawet Elżbietę i jej królestwo, a na koniec uroczyście oświadczyła że umiera w połączeniu z Kościołem Rzymsko-katolickim, Apostolskim.

Modliła się jeszcze czas jakiś, potem z pomocą swych dam dworskich rozpięła kołnierz i wymawiając słowa: „Panie, w ręce Twoje oddaję duszę moją“, położyła głowę pod miecz kata, który ją ściął dwoma uderzeniami, ośmnastego lutego 1587 roku.

(Schouppe III).

Ojciec Gerard.

Moc, jaką Duch Święty napełnia dusze wiernych w Sakramencie Bierzmowania, jest ta sama po wszystkie wieki. Objawia się we wszystkich epokach i we wszystkich krajach świata, ile razy prześladowania lub inne ciężkie doświadczenia wymagają heroizmu.

Wiadomo, że Elżbieta królowa angielska w XVI wieku, wylała potoki krwi katolickiej, aby utrwalić schyzmę anglikańską, wprowadzoną przez jej ojca Henryka VIII. Pierwszym celem jej nienawiści byli kapłani i zakonnicy, szczególniej z Towarzystwa Jezusowego; jeden z nich Ojciec Gerard, wtrącony do wieży Londyńskiej, brany nieraz

na tortury i na śmierć skazany, uciekłszy z więzienia, opuścił Anglię i napisał pamiętniki, które można uważać jako akta męczeńskie, spisane przez niego samego. Podamy ustęp z takowych, w którym żywo się maluje co dzieje się w duszy żołnierzy Chrystusowych i jak Duch święty utwierdza ich i wzmacnia w najcięższych chwilach walki.

Po długiem wycierpieniu udręczeń ciężkiego więzienia w wieży londyńskiej, gdzie zdawało się, że zapomniano o nim, Ojciec Gerard otrzymał wiadomość, że wezwą go do badania, aby wskazał miejsce schronienia innych misyonarzy. Zadrżał na myśl męczarni jakie miał przechodzić, ale błagając w modlitwie o pomoc Bożą, napełniony został ufnością i odwagą. Przyszli po niego około południa i zaprowadzili go przy świetle kagańców do ciemnej podziemnej sali. Była to sala tortur, w której na około poukładane były rozmaitego rodzaju narzędzia męczarni.

— Niektóre, mówi on — porozkładano przedemną zagrażając, że wszystkich próbować będą. Potem zadano mi znowu to straszne pytanie: Czy przystaję, czy nie? t. j. czy zdradzę miejsce pobytu misyonarzy czy nie? — Nie, to nie jest w mojej mocy, odpowiedziałem i padłem na kolana chcąc się pomodlić.

Zawieszono go wtedy za ręce na dwóch kółkach przybitych do kolumny.

— Gdy byłem zawieszony — mówi dalej — zacząłem się modlić, podczas gdy widzowie moich męczarni, stojący na około mnie, zapytywali bezustannie, czy zgadzam się na wyjawienie żądanych wiadomości? odpowiadałem ciągle: Nie chcę i nie mogę tego uczynić. — Wkrótce ból był tak gwałtowny, że zaledwie mógłem usłyszeć co mówią. Bolały mnie szczególniej piersi, wnętrzności i ręce: zdawało mi się, że wszystka krew wpłynęła mi do rąk i lała się po palcach. Było to tylko złudzenie bólu, zdziałane tak wielkiem nabrzmieniem ciała, że aż pokrywało ogniwa mych kajdan. Uczułem wtedy, a może wpływ złego ducha nasunął mi to wrażenie; uczułem mówię, ból tak silny, tak przejmujący, że zdawało mi się niepodobnem wytrzymać. Postanowienie moje nie zachwiało się jednakże. Pan Bóg w swem miłosierdziu widział słabość moją i niedozwolił, aby pokusa wzięła górę nademną. Jako świadek mego bolesnego konania i mej wewnętrznej bezsilności, nasunął mi tę myśl: Nic więcej nie mogę ci uczynić, jak tylko życie odebrać, a ileż razy pragnąłeś umrzeć dla Boga? Jesteś w Jego rękach; On widzi ile cierpisz i wszechmocność Jego potrafi cię wzmocnić.

Myślom tym towarzyszyła łaska nadzwyczajna, pokrzepiony tem namaszczeniem niebieskiem, zdałem się zupełnie na wolę Bożą

i powziąłem pragnienie i nadzieję umrzeć jak On za mnie. Natychmiast ta burza wewnętrzna ucichła, a nawet boleść ciała choć rzeczywiście silniejsza, stała się znośniejszą.

Nie mogąc niczego się dowiedzieć, komisarze wrócili do gubernatora, ale dozorca został przy mnie jak zły duch kusiciel, błagając mnie ciągle, abym miał litość nad sobą i powiedział o co mnie zapytywano.

— Nie mów mi już o tem, rzekłem mu, bo nie przystanę nigdy na utratę mej duszy dla ocalenia ciała. — Potem modliłem się znowu po cichu i powtarzałem ciągle Najświętsze Imiona Jezusa i Maryi. W końcu zemdlałem, a wróciwszy do przytomności począłem się znowu modlić.

O godzinie piątej wielki dzwon na wieży zadzwonił i przyszli zdjąć mnie z tortur. Zaledwie mogłem ustać a dozorca musiał pomódz mi powrócić do mego pokoju.

Te tortury ponowiły się mnóstwo razy i zawsze wyznawca Pana Jezusa uczuł się pokrzepiony mocą niebieską.

— Gdy mnie zawieszono po raz trzeci, — mówi dalej — uczułem straszliwe boleści, lecz zarazem nadzwyczajną radość, którą czerpałem w myśli bliskiej śmierci. Zawiedziony byłem w nadziei. Bóg zapewne osądził mnie niegodnym, ukazania się już przed Jego obliczem. (Schouppe III).

Podłe tchórzostwo.

Wzgląd ludzki już nietylko że jest podłością i nikczemnością, lecz staje się największem szaleństwem, jeżeli kto lękając się nagany liberała lub wolnomularza, poświęca swe wieczne zbawienie.

Dnia 8 grudnia 1862 r. umarł w Brukseli bez ostatnich Sakramentów adwokat T. W., wielki mistrz wolnomularzy belgijskich. Mając od rodziców gruntownie chrześcijańskich wpojone od młodości zasady wiary, adwokat T. W. byłby postępował drogą cnoty i honoru, gdyby był zachował łaskę Ducha świętego, otrzymaną w Sakramencie Bierzmowania. Ambicya i wzgląd ludzki zgubiły go. Aby dostąpić zaszczytów, złączył się z masonami, a chcąc przypodobać się tym przyjaciołom, stał się nieprzyjacielem Kościoła i mówił jak bezbożnik. Wiara przechowywała się w głębi jego serca, lecz nie śmiał jej objawić wobec swych współ-towarzyszy. Gdy był zdala od nich, chodził na Mszę św., na łonie rodziny zachowywał posty; z cnotliwymi i religijnymi przyjaciółmi szanował wiarę, lecz gdy tylko był widziany przez wolnomularzy, zmieniał rolę i mowę: bojaźń przemieniała go w bezbożnika, który zdawał się chcieć odznaczyć swą bezbożnością.

Zapadłszy w ciężką chorobę i widząc śmierć bliską, chciałby był prosić o księdza,

bo wiedział jaka przepaść przed nim się otwierała. Ale był w Brukseli, i wolnomularze dowiedzieliby się, że ksiądz przyszedł, i cóżby powiedzieli? Przecież czterech współtowarzyszy jego bezbożności, znając jego tchórzostwo, przyszło do jego domu. Od czasu do czasu otaczali jego łóżko będąc pewni, że przy nich nie będzie śmiał przyjąć księdza. Nieszczęśliwy niewolnik względu ludzkiego i śmiesznego strachu, uległ pod naciskiem tych czterech masonów, poświęcił im swą wolność, swą duszę, swą wieczność. Naoczny świadek opowiadał, że gdy ci pilnujący wychodzili z pokoju chorego, a ten widział, że sam pozostał, brał w ręce medalik Najświętszej Panny i modlił się, lecz gdy tylko usłyszał, że nadchodzą, chował medalik pod poduszkę i leżał spokojnie. W tych uczuciach podłego udawania i głupiego względu ludzkiego, ten biedny człowiek stanął przed obliczem Boga.

Niepowetowane to nieszczęście nie byłoby mu się przytrafiło, gdyby przez roztropność chrześcijańską zachował był moc Ducha świętego, którą otrzymał w Sakramencie Bierzmowania. (Schouppe III).

Dwaj młodzi bohaterowie wiary.

Gdy w r. 1706 wszystkich misyonarzy wygnano z Japonii, dwaj zacni ojcowie fa-

milij podjęli się umacniać Chrześcijan w wierze, i pobożność utrzymywać. Ale zdradzeni, schwytani i po czteroletniem więzieniu byli nareszcie z założonym na szyji powrozem wywleczeni za miasto na śmierć. Każdy z nich miał syna; jeden imieniem Tomasz liczył około lat 12, drugi Piotr, dopiero lat sześć. I ci pospołu z ojcami umrzeć musieli. Posłano żołnierzy aby ich przyprowadzili. Ale oba chłopczyki od samego dzieciństwa odebrali najlepszą naukę chrześcijańską i łaskę otrzymaną na Chrzcie świętym i Bierzmowaniu, najgorliwiej pielęgnowali; tyle zaś pięknego i słodkiego słyszeli o szczęściu śmierci męczeńskiej, że gorąco do tego szczęścia tęsknili. Jak tylko więc Tomasz usłyszał, że ma być poprowadzony na śmierć, prędko przywdział najpiękniejszą swą suknię, szedł wesoło za siepaczami i przed bramą miejską uściskał swego ojca z najtkliwszem uniesieniem. A że żołnierze wysłani po drugiego chłopczyka długo nie wracali, Tomasz wraz z ojcem i drugim Chrześcijaninem ścięci zostali. Mały, sześcioletni Piotr znajdował się u swego dziadka i spał, gdy żołnierze przyszli po niego. Przebudzono go i powiedziano, że musi umrzeć wraz z ojcem. — „O jakąż radość mi przynosicie!“ — zawołał maleńki do zdziwionych żołnierzy. Z niecierpliwością czekał, aż mu włożą najpiękniejszą sukienkę i wziąwszy poufale jednego żołnie-

rza za rękę, skwapliwie szedł na plac, gdzie miał być zabitym. Lud tłumnie mu towarzyszył i większa część nie mogła wstrzymać się od łez na widok tak młodocianej ofiary. Młody bohater stanąwszy na placu kaźni, spostrzegł najsamprzód trupa ukochanego swego ojca, który krwią własną oblany, leżał obok dwóch innych trupów. Nie przestraszywszy się tym widokiem, zbliżył się Piotruś, ukląkł przy trupie ojca, sam sobie szyję obnażył i pobożnie złożywszy niewinne rączki, czekał spokojnie na cios śmiertelny.

Na to bolesne i smutne widowisko, podniósł się wśród tłumu widzów głuchy szmer westchnień i jęków. Nawet głęboko wzruszony kat rzucił miecz na ziemię i odszedł z zapłakanemi oczyma. Dwaj jego pomocnicy zbliżali się jeden po drugim, aby dokonać krwawego dzieła, ale i ci nie mogli przemódz na sobie, iżby zamordować mieli niewinne dziecię.

Nareszcie musiano przywołać nikczemnego niewolnika, który drżącą i niedoświadczoną ręką po kilkakroć uderzał mieczem w głowę i ramiona cierpliwie znoszącego mękę Piotra, który nie wydał najmniejszego jęku, i rzec można, że nie został ścięty, ale raczej porąbany.

(Schmid, Katech. hist. t. III. str. 49).

Cuda przez Sakrament Bierzmowania.

Niezliczone są cuda, jakie Sakrament Bierzmowania wywiera na duszy i na umyśle, jak np. nagłe przeobrażenie Apostołów w dniu Zielonych Świątek, gdy z lękliwych w bohaterów, a z nieumiejętnych Galilejczyków w najmędrszych nauczycieli narodów się przemienili.

Również owa wszystkie pokusy i gwałtowne środki przezwyciężająca wytrwałość tysiąca tysiąców Świętych, krwawych świadków wiary we wszystkich wiekach.

Ale nawet na chorych cuda wywierało Bierzmowanie, z których dwa przytaczamy.

Święty Bernard opowiada nam w życiu św. Malachijasza, Biskupa Irlandzkiego, że ten razu jednego odwiedził Biskupa Malchusa, aby z nim rozmawiać o rzeczach Boskich. Malchus był czcigodny starzec, pełen cnót, a mądrość Boża była w nim. Właśnie miał on udzielać Sakramentu Bierzmowania, a gość jego Malachijasz był mu w tem assystentem. Pomiędzy przystępującemi do Bierzmowania znajdował się nieszczęśliwy, godzien politowania chory. I otóż, zaledwie sędziwy Biskup włożył nań ręce i czoło jego świętym olejem namaścił, chory natychmiast zupełnie wyzdrowiał i uleczony, chwaląc Boga ztąd odszedł. (S. Bern. in vit. S. Malach.).

Opowiadają o Biskupie Meldeńskim (Meaux) Faro, że gdy swoim dyecezanom około Wielkanocy udzielał Bierzmowania, między innemi przyprowadzono mu ociemniałego chłopaka. A skoro Biskup Krzyżmem świętem uczynił na jego czole znak krzyża świętego, wnet spadły jakby łuszczki z oczu ociemniałego, przejrzał i widział najdoskonalej.

(Lohn. Bibl. I. 391).

Wysoki szacunek dla Bierzmowania.

Jan Hajus Jezuita opowiada, (*List Jap. anno 1603*), iż Japończycy z tak pobożnym duchem Sakrament Bierzmowania przyjmują, że pewien Biskup Japoński mówił, że nigdy i u żadnego narodu Chrześcijańskiego nie widział takiej miłości i pobożności i czci dla tego świętego Sakramentu jak u dobrych Japończyków.

Niepowinno zatem nas dziwić, że łaska tego Sakramentu szczególniej u Japończyków była skuteczną, i dodawała im mocy do mężnego wytrwania, wśród najokrutniejszych prześladowań. — O jak niezliczonych krwią męczenników oblaną była niwa Pańska, którą św. Franciszek Ksawery po raz pierwszy w Japonii uprawił!

Już w r. 1590, według świadectwa Puffendorfa, przeszło 20,000 Chrześcijan obojga

płci częścią tam ścięto, częścią ukrzyżowano, częścią żywcem spalono.

Tem mniej dziwić nas powinno, że w naszych czasach wiara wielu Chrześcijan jest tak słabą, tak łatwą do zwątpienia, tak uległą przy najmniejszej pokusie, gdy z tak małą pobożnością częstokroć przyjmują Sakrament Bierzmowania, i odbierane przezeń łaski tak bywają lekceważone.

(Schmid, Kat. hist. t. III. str. 51).

III. Ciało i Krew Pańska.

A. Rzeczywista obecność P. Jezusa w Najśw. Sakramencie.

Pan Jezus prawdziwie, rzeczywiście i istotnie przytomny jest w Najświętszym Sakramencie Ołtarza, gdyż On sam rzekł: *To jest Ciało moje ta jest Krew moja... to czyńcie na moją pamiątkę.* Te słowa znaczą: *To*, co teraz trzymam w ręku, a co oczom waszym wydaje się być chlebem, już nie jest chlebem, ale przez potęgę wszechmocnego słowa mego, *jest* (nie: będzie, albo zdaje się być) ale jest rzeczywiście *Ciało* moje, nie podobieństwo, figura, lub obraz Ciała mego, lecz tosamo *Ciało moje, które za was będzie wydane* i ukrzyżowane; a to co jest w kielichu, a oczom waszym zdaje się być winem, nie jest wino, ale *Krew moja*, ta sama, *która za was i za wielu wylana będzie na odpuszczenie grzechów.* Abyście zaś o mnie nie zapomnieli, gdy mnie już cielesnemi oczyma widzieć nie będziecie, czyńcie tosamo

na pamiątkę moją. Bierzcie chleb w ręce, podnoście oczy wasze ku niebu do Ojca mego, dzięki czyńcie, błogosławcie, łamcie i powtarzajcie moje słowa: To jest Ciało moje... Ta jest Krew moja, a z chleba mocą słów moich stanie się Ciało, a z wina Krew moja. Bo jako mnie Ojciec posłał, tak ja was posyłam, t. j. tej władzy jakiej mnie Ojciec udzielił, ja wam udzielam.

Na tych tedy nieomylnych słowach Pana Jezusa, opiera się nieomylna wiara nasza w rzeczywistą obecność Jego w Najśw. Sakramencie pod postaciami chleba i wina.

Bóg jednak w miłosierdziu swojem, by ułatwić wiarę naszą w tę *tajemnicę wiary*, a zatwardziałych w swej nienawiści Żydów do siebie pociągnąć, w rozmaitych czasach i różnych miejscach cudami tę prawdę potwierdzić raczył. Tych cudów widocznymi dowodami są wspaniałe kościoły na cześć Najśw. Sakramentu wzniesione.

Najśw. Sakrament cudowny.

W kościele świętej Guduli w Brukseli do dziśdnia zachowane są cudowne Hostye jeszcze z wieku XIV. z roku 1368 mające zatem przeszło 500 lat.

Pewien żyd z Enghien, na imię Jonatan, pragnąc nasycić swą nienawiść do religii chrześcijańskiej i znieważyć Pana Jezusa

w N. Sakramencie, chciał dostać Hostyę poświęconą. W tym celu przekupił innego żyda, Jana z Lowanium. Jan przybył do Brukseli w październiku 1368, wziął drabinę, zakradł się w nocy do Kościoła św. Katarzyny, wyłamał drzwiczki od tabernakulum i porwał kielich (ciborium) zawierający szesnaście Hostyj poświęconych. Potem powrócił do Jonaty i otrzymał za to blizko 500 reńskich.

Ale Jonatan nie mógł spełnić swych niegodziwych zamiarów, pomsta Boża uprzedziła go, skrytobójczą ręką zamordowany został w własnym ogrodzie. Wdowa po nim zamieszkała w Brukseli, święte Hostye złożyła u rabina tegoż miasta. Ten uradowany zwołał naradę. Przemyśliwano nad tem, co zrobić z tym znienawidzonym Sakramentem, który w ich oczach przedstawiał całą religię Pana Jezusa. Byłoto 10 kwietnia 1369 roku w sam wielki Piątek, jako w rocznicę ukrzyżowania P. Jezusa przez ich ojców.

W oznaczonej godzinie zgromadzili się w synagodze na ulicy dwunastu Apostołów, w tem miejscu, gdzie dziś jest *kaplica przebłagania* nazwana *de Salazar*. Tam tedy rozłożyli święte Hostye na stole, i nożami i sztyletami przebijali je wśród najokropniejszych bluźnierstw.

Lecz nagle cud powstrzymał ich wściekłość, obaczyli Krew na przebitych Hostyach. Z każdego ukłócia jakby z tyluż ran zadanych

żywemu Ciału, tryskały krople Krwi cudownej. Na ten widok sztylety upadły im z rąk, przerażeni chcieli się pozbyć tej świętości, aby ujść pomsty Bożej i ludzkiej.

I tym razem uciekli się do przekupstwa. Zapłacili suto pewnej niewieście chrześcijańskiej, której było na imię Katarzyna i kazali jej milczeć o tem zdarzeniu. Ona zabrała do siebie puszkę ze św. Hostyami i starannie je przechowała. Lecz ciągłe wyrzuty sumienia zniewoliły ją, że wyznała wszystko przed proboszczem tamtej parafii.

Kapłan z największą czcią zabrał święte Hostye i przechował je w tabernakulum kościoła parafialnego. Następnie uwiadomił o tej zbrodni księcia Brabancyi, który kazał schwytać winowajców. Przyznawszy się do winy, zostali skazani na śmierć według praw ówczesnych. (Schouppe T. 3. str. 169).

Kościół Bożego Ciała w Krakowie.

R. 1347 za panowania Kazimierza W. Króla polskiego, w oktawę Bożego Ciała złodzieje ukradli byli monstrancyą z kościoła Wszystkich ŚŚ., (który dziś już nie istnieje), a chcąc ją sprzedać żydom, unieśli ją do wioski podówczas istniejącej Bawół, (obecny Kazimierz), ale skoro się przekonali, że nie jest złotą, jak mniemali ale mosiężną, złamali ją na dwie części i wraz z Najśw. Sa-

kramentem wrzucili w bagno. Aż oto w jednej chwili zajaśniała światłość na temże miejscu nakształt jasnego słupa. Widząc lud to cudowne zjawisko, zdumiał się bardzo, i zaraz znaleźli się tacy, którzy donieśli o wszystkiem tak Biskupowi jako i królowi. Biskup zbadawszy pilnie rzecz całą, zalecił wiernym post trzydniowy, na wynagrodzenie tej wielkiej zniewagi, następnie zebrał z całego miasta procesyą i tak w uroczystym orszaku udał się w to miejsce, gdzie z wielką czcią podjął Najświętszy Sakrament i w tej samej procesyi odniósł do Kościoła WW. Świętych.

Król Kazimierz na wieczną pamiątkę tego cudu, kazał bagno osuszyć i na tem miejscu zbudować kościół drewniany pod tytułem Bożego Ciała i oddał go w zarząd kapłanowi świeckiemu, myśląc zarazem o wspaniałym kościele na wzór św. Wiktora w Paryżu. Ale gdy to postanowienie z roku na rok odkładał, śmierć go zaszła i niedokonał zamiaru, jednak w testamencie wyraźnie zalecił, aby jego woli zadosyć się stało. Pomimo to, kościół ten drewniany stał aż do Władysława Jagiełły, króla polskiego, który będąc upomniany od królowej Jadwigi, wnuczki króla Kazimierza, przyłożył się w części do budowy kościoła murowanego, dając naprzód fundusz na zbudowanie chóru dla wygody zakonników, Kanonikami Regularnymi zwanych, których według woli Kazimierza W.

z Klecka miasta czeskiego, z wielkiemi honorami sprowadził w r. 1405. Następnie budowę tę bardzo powoli prowadzono, po większej części ze składek ludu pobożnego, aż nareszcie zakon ten doczekał się lepszych czasów za rządów Prałata swego X. Klocińskiego, (w. XVII) który nie żałując ani funduszów, ani swych zabiegów, wreszcie przyprowadził ten kościół do tej świetności w jakiej go dziś widzimy. (Intencye Ap. Serca Jez.).

Historya trzech Najśw. Hostyj i kościoła Bożego Ciała w Poznaniu.

W Poznaniu, w kościele Bożego Ciała znajdują się od pięciu wieków trzy Najśw. Hostye, które oprawne w bogatej monstrancyi, w niektóre uroczystości w procesyi niesione bywają — a lud wierny, garnący się z wiarą na to miejsce, najrozmaitszych i cudownych tu łask doznaje od Zbawiciela naszego, ukrytego w Najśw. Sakramencie.

Historya tych Najśw. Hostyj, jest następująca: „W roku 1399, namówili żydzi niewiastę chrześcijańską, która u nich służyła, aby im przyniosła Hostye święte z kościoła katolickiego. Bała się z początku takiego świętokradztwa, wreszcie złakomiwszy się na bogatą zapłatę, jaką jej obiecywali, odważyła się na tę judaszowską zbrodnię, i w sam dzień Wniebowzięcia Najśw. Panny,

udała się do kościoła OO. Dominikanów, gdzie się wraz z córką swoją ukryła; a gdy wszyscy ludzie z kościoła po sumie wyszli i kościół zamknięto, postawiła na straży córkę, sama zaś zbliżyła się do miejsca, gdzie Najśw. Sakrament był przechowywany, chcąc siłą oderwać drzwiczki od tabernakulum. Ale P. Jezus, aby ją przywieść do upamiętania, postąpił z nią tak samo, jak z siepaczami, którzy Go przyszli pojmać w ogrodzie Oliwnym. Po dwakroć odepchnął ją nadziemską siłą od ołtarza, po dwakroć padała jak bez duszy na ziemię — mimo to niewzruszona, ale chciwością zapłaty zaślepiona niewiasta zbliżyła się po raz trzeci do tabernakulum i trzy Najśw. Hostye wyjąwszy, skryła się napowrót wraz z córką, w kącik kościoła — a skoro kościół otwarto na popołudniowe nabożeństwo, wyszła nieznacznie z kościoła i Najśw. Hostye w ręce żydowskie oddała.

Żydzi, pałający nieugaszoną nienawiścią ku Imieniowi Chrystusowemu, porwawszy „Boga chrześcijańskiego“, jak się bezbożnie lubo prawdziwie wyrażali, zanieśli je do piwnicy i tam położywszy na stole, pastwili się nad niemi, kłując i bluźniąc Bogu „chrześcijańskiemu“. — Wtem Krew Najświętsza trysła z Najśw. Hostyi. Na ten widok, okrzyk radości wydobył się z ich bezbożnych piersi; zbiegło się zewsząd mnóstwo żydów: jedni

dziwując się i pojąć nie mogąc Boskiego cudu, inni lżąc i bluźniąc bezbożnie. Była tam także jedna żydówka ślepa od urodzenia; ta słysząc co się dzieje, poczęła się modlić i tak mówić w sercu swojem: „Jeśliś Ty jest prawdziwy Messyasz tutaj obecny, to ulecz mnie od ślepoty mojej“. Przejrzała natychmiast cudownie i wyszedłszy na ulicę, poczęła wyznawać, że Chrystus jest prawdziwym Bogiem, że oczywistego cudu Jego na sobie doznała [1]).

Tymczasem Najśw. Krew sączyła się cudownie; żydzi zaczęli się trwożyć, aby zbrodnia ich na jaw nie wyszła; chcieli więc w jakikolwiek sposób zniszczyć Najśw. Hostye, ale napróżno! Rzucali je w ogień, do kloaki, do studni — ale zewsząd wydobywały się Najśw. Hostye na wierzch nietknięte, żadnej plamy, ani znaku ukłucia na sobie nie mające. W końcu dwóch z nich wziąwszy ze sobą Najśw. Hostye, zanieśli je za miasto i tam je wśród trzęsawisk i bagien zakopali.

Wkrótce, to jest w niedzielę przypadającą

[1]) Dom ten wraz z piwnicą, przerobiony został później na kościół, który dotąd istnieje. W piwnicy pod tym kościołem, mieści się na filarze tablica marmurowa z następującym napisem: „W tej tu dolnej kaplicy, dawniej domu Swidów, kluto i topiono roku 1399 Przenajświętsze trzy Hostye“. Od wschodu, pomiędzy pierwszemi filarami, stał ołtarz do roku 1865, zkąd na studzienkę przeniesiony został.

po uroczystości Wniebowzięcia Najśw. Panny, wydobyły się Najśw. Hostye na wierzch i unosiły się cudownie w powietrzu, co widząc bydlęta, pasące się opadal, upadły na kolana: oddając cześć P. Bogu, utajonemu w Najśw. Hostyach. Pasterze dali znać władzy duchownej — na cudowne miejsce przybył Biskup z duchowieństwem i zabrawszy z należytą czcią Najśw. Hostye, przeniósł je w uroczystej procesyi do kościoła farnego.

To wszystko nie skruszyło ani bezbożnych żydów, ani judaszowskiej niewiasty. Oddani pod sąd, na stosie razem spaleni zostali, nie dając żadnego znaku pokuty, jakby na dowód, że kto świętokradzką rękę podnosi na Najśw. Sakrament, ten judaszowską śmiercią, bez myśli o pokucie — schodzi z tego świata.

Na łąkach wybudowano niebawem małą kapliczkę i tamże następnie Najśw. Hostye złożono. Wnet miejsce to sławnem się stało. Lud bowiem wierny garnąc się tutaj, cudownych łask doznawał; a wielu w niebezpieczeństwie śmierci będący, kalecy, opętani od czarta, w najodleglejszych nawet stronach będący, skoro tylko to miejsce nawiedzić postanowili sobie, wnet cudownych łask doznawali. Widząc to król Władysław Jagiełło, własnym nakładem na miejsce skromnej kapliczki, bogatą i wspaniałą kaplicę wystawił. Sam przybył do Poznania 1414 roku i

oprócz kościoła, na onem miejscu fundował klasztor, który uposażył potrzebnym funduszem i OO. Karmelitom oddał.

W miejscu, gdzie zakopane były Najśw. Hostye, to jest w samym środku kościoła, znajduje się rzeźbiony ołtarzyk z figurą św. Onufrego, odbierającego z rąk Anioła Komunię świętą; pod ołtarzykiem zaś, widać trzy postacie żydów z nożami w ręku, spoglądające w zagłębienie, studzienkę przedstawiające. W ołtarzu tym znajduje się ów stół, na którym bezbożni żydzi kłuli Najśw. Hostye — a na sklepieniu świątyni przedstawiona jest w obrazach historya cudownych Hostyi.

W tej świątyni dziękowali dawniej P. Jezusowi nowo obrani Biskupi poznańscy, za wyniesienie swoje i tu potrzebne łaski do rządzenia owczarnią Chrystusową wypraszali sobie; tak samo nowo obrani urzędnicy magistratu tu po błogosławieństwo przychodzili; także i królowie polscy, ilekroć przybywali do Poznania, zawsze ten kościół pobożnie nawiedzali. (Intencye Ap. Serca Jez).

———x———

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

L. 1456. *X. Łukasz Łaszczyk T. J.*

POZWALAMY DRUKOWAĆ.
(L. S.) † *A. Kard. Dunajewski*
Kraków 22 Kwietnia 1892. Książę-Biskup.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

III. Ciało i Krew Pańska.

A. Rzeczywista obecność P. Jezusa w Najśw. Sakramencie.

(Ciąg dalszy).

Kościół Bożego Ciała w Turynie.

W roku 1853 obchodziło miasto włoskie Turyn czterystoletnią rocznicę wielkiego cudu, którego przedmiotem był N. Sakrament. Byłato wspaniała uroczystość: w dniu procesyi na wszystkich kościołach powiewały chorągwie, ulice ozdobione były drogiemi materyami; 38.000 Komunii rozdano w samym kościele Bożego Ciała, a 82.000 w innych kościołach tegoż miasta; nabożeństwo wieczorne odbyło się pod gołem niebem, a królowa Sardynii klęczała przez cały czas nabożeństwa pomimo deszczu, który przez pół godziny padał.

Otóż w tym kościele Bożego Ciała, do dziśdnia jest przechowana cudowna Hostya. W roku 1453 złodziej zakradłszy się do je-

dnego kościoła, porwał kielich, w którym się znajdowała wielka Hostya do wystawiania N. Sakramentu. Schował kielich do worka, włożył go na muła i udał się do Turynu. Gdy najspokojniej jedzie przez ulicę, nagle na miejscu, gdzie dziś się wznosi kościół Bożego Ciała, muł się zatrzymuje. Złodziej okłada bydlę kijem co ma siły, a muł nietylko że dalej nie idzie, ale upada na kolana. W tej chwili Hostya św. unosi się nieco od ziemi w powietrze, otoczona światłem nad słońce jaśniejszem i spoczywa w promienistych obłokach. Więcej jak 60.000 ludzi było świadkami tego cudu, zbiegali się ze wszystkich stron i padając na kolana, chwalili Boga głosem wielkim.

Cud ten trwał przez kilka godzin; poczem kler miasta przybył na to miejsce, śpiewając hymny o N. Sakramencie. Tu upadli wszyscy na kolana oddając cześć głęboką Panu Jezusowi, następnie jeden z nich wstąpił na schodki i wziął z tego promienistego tronu cudowną Hostyę, włożył do cyboryum i wśród pieśni, kadzidła i światła zanieśli ją do sąsiedniego kościoła.

Tam została św. Hostya aż do czasu, gdy zbudowano kościół dzisiejszy Bożego Ciała, gdzie do dziśdnia jest zachowana.

(Schouppe 3, 174).

Cud w Douai (Due).

Nieraz objawił Zbawiciel rzeczywistą obecność swoją w N. Sakramencie okazując się w postaci widomej, zwyczajnie w postaci małego dziecięcia.

W Douai, mieście w północno-zachodniej Francyi i w okolicach, znajdowali się w XIII wieku heretycy, którzy między innemi zaprzeczali prawdziwej obecności Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie. Skoro kapłani użyli wszelkich sposobów by ich przekonać i przywieść do prawdziwej wiary, a oni w swym uporze trwali, raczył Pan Jezus w miłosierdziu swojem, sam cudownie objawić swą obecność w Najświętszym Sakramencie. Oto jak nam opowiada o tym cudzie Tomasz z Cantimpré, zakonnik reguły św. Dominika, który był naocznym jego świadkiem.

— Było to w r. 1254. Gdy pewien kapłan rozdawał Komunię św. w kościele kanoników św. Amanda (Saint-Amé) w Douai upuścił przypadkiem Hostyę św. na ziemię. Podczas gdy klękał by ją podnieść, Hostya święta sama się podniosła i spoczęła na ręczniczku, który kapłan trzymał w ręce. Przejęty świętą bojaźnią, wydał okrzyk, na który zbiegli się kanonicy.

Jakież było ich zdziwienie, skoro ujrzeli na ręczniczku miasto Hostyi, Ciało pełne życia

w kształcie cudnej piękności dziecięcia! Lud się zbiega; wszyscy widzą tosamo.

Rozgłos tego cudu rozszedł się w dalekie strony. Tomasz z Cantimpré udał się do Douai, by się naocznie o tym cudzie przekonać. Dziekan św. Amanda, który Tomasza znał osobiście, zaprowadził go do kościoła i w obecności kilku świadków otworzył cyboryum, w którem św. Hostya się znajdowała. Wszyscy natychmiast zawołali:

— Patrzcie! ja widzę, ja widzę Zbawiciela! Tylko Tomasz nic nie widział, jak tylko zwyczajną Hostyę. Zdziwiony i pełen trwogi, czy nie popełnił jakiego grzechu, który go czynił niegodnym widzenia tego, co inni widzieli, zaczął w pokorze badać najskrytsze tajniki swego sumienia. W tejże chwili ujrzał oblicze Jezusa Chrystusa, który nań z dobrocią spoglądał. Miał na sobie cierniową koronę a dwie krople krwi spływały z czoła na policzki. Tomasz rzuca się na kolana, oddaje cześć Synowi Bożemu i obfite łzy leje. Gdy się podniósł, oto nowy cud: nie widzi już ani cierniowej korony ani kropli krwi, ale człowieka w pełni wieku z wejrzeniem ponad wszelki wyraz czcigodnem. Oczy miał spuszczone i pełne słodyczy, długie włosy spływały Mu na ramiona a Boska Jego głowa była nieco naprzód pochylona.

Takie jest wierne wyobrażenie Zbawiciela

przekazane nam od naocznego świadka, który Go oglądał w Hostyi cudownej. Tenże sam świadek dodaje, że widziano Go pod rozmaitemi kształtami: jedni widzieli Go rozpiętego na krzyżu, drudzy jako sędziego, którego spojrzenie w drżenie ich wprawiało, ale największa część widziała Go pod figurą miluchnego dzieciątka.

Tomasz de Cantimpré opisał ten cud w księdze, której rękopisy znajdują się w licznych księgozbiorach, a między innemi w Douai.

(Schouppe 3. 177.).

Żyd i Hostya.

W XIII wieku zastawiła pewna uboga kobieta w Paryżu swoją suknię u żyda za 30 groszy. Na kilka dni przed Wielkanocą prosiła żyda o oddanie sukni na święta, ażeby mogła przyzwoicie przystąpić do Komunii wielkanocnej.

— Chętnie, rzekł na to żyd, — ja ci ją oddam zupełnie i nawet bezinteresownie, jeżeli mi przyniesiesz chleb, który dostajecie w kościele, a który wy chrześcijanie nazywacie waszym Bogiem: chciałbym się przekonać czy On się tam rzeczywiście znajduje.

Kobieta łakomstwem uwiedziona przystała na to, a przyjąwszy Komunię świętą schowała Hostyę w chustkę i zaniosła żydowi,

który położywszy ją na kufrze oddał natychmiast przybyłej kobiecie suknię.

Po jej wyjściu zaczął się pastwić nad Hostyą św., przebił ją najprzód ostrym nożem, i zdziwił się bardzo, spostrzegłszy tryskającą z niej krew, poczem przybił ją gwoździem do ściany a krew wytrysła w około gwoździa. Rozgniewany tym cudem wyjął gwóźdź, a Hostyę św. wrzucił w ogień, myśląc tym sposobem jej się pozbyć, ale i tu nowy cud: bo oto Hostya św. uniosła się pośród płomieni nienaruszona i zawisła w powietrzu pośrodku izby. Żona i dzieci tego barbarzyńcy zdrętwiały na ten cud; ale on posunął zemstę swoją jeszcze dalej, stając się coraz zuchwalszym w miarę popełnionej zbrodni. Przywiązał Hostyę św. do słupa, i biczował ją jak niegdyś biczowano P. Jezusa.

Nareszcie wymyślił nowy rodzaj męki, wziął znowu Hostyę św. i rzucił ją na pień drzewa, usiłując pociąć ją na sztuki; ale daremnie — była zawsze cała i nienaruszona.

Nakoniec postanowił uwolnić się od niej, jak jego praojce, którzy zadali na krzyżu śmierć Bogu swemu, zaniósł Hostyę św. w miejsce plugawe i przybiwszy ją trzema gwoździami przekłuł silnie nożem, poczem strumienie krwi popłynęły. Wyjąwszy gwoździe, powtórnie zaniósł Hostyę do ognia, i wrzucił ją w kocioł napełniony wrzącą wodą.

Widząc to żona, zaczęła mu wyrzucać jego

okrucieństwo, a Hostya św. podniosła się na powierzchnię zakrwawionej wody, przybrawszy postać, jaką miał Jezus Chrystus przybity do krzyża.

Wtedy żyd przejęty zgrozą na widok tylu i tak przejmujących cudów, zdrętwiały i zmięszany schował się do piwnicy. Dziecko jego, przerażone tak strasznym widokiem, wyszło z domu podczas kiedy dzwoniono na sumę i pytało towarzyszy idących ulicą dokąd spieszą:

— Idziemy na Mszę modlić się, odrzekły zapytane dzieci. Na to ów syn żyda odezwał się:

— Idziecie do waszego Boga ale daremnie, mój ojciec Go zabił.

Pewna kobieta usłyszawszy te słowa, poszła do żyda pod pozorem dostania ognia; a na ten okropny widok, przejęta świętem oburzeniem, przeżegnawszy się padła na kolana, uwielbiając Pana którego widziała ukrzyżowanego na powierzchni wody zabarwionej krwią, lecz zdziwienie jej jeszcze się wzmogło, gdy krucyfiks zmienił się w Hostyę, która uniósłszy się w górę spoczęła na naczyniu będącem w jej rękach. Widząc to, kobieta przykryła Hostyę chustką i zaniosła spiesznie do kościoła św. Jana w Grève, a księża uwiadomieni o tak strasznym wypadku, przyszli z uroczystą procesyą na miejsce zbrodni. Monstrancyę, w któ-

rej umieszczono Hostyę, dziś jeszcze oglądać można.

Cały Paryż był żywo poruszony, tłumy ludu pospieszyły do żyda, by go ująć i oddać w ręce sprawiedliwości, wraz z żoną i dziećmi, którzy wyznali wszystkie szczegóły tego wypadku.

Biskup też wkrótce uwiadomiony o tem, zwołał radę, aby rozpocząć proces tej strasznej zbrodni. Żona i dzieci tego świętokradcy, naoczni świadkowie tego cudu, ochrzcili się z wielką liczbą żydów. (Rozważ to dobrze).

Podobny cud.

Podobny cud zdarzył się w roku 1311 w Herkenrode, parafii Limburskiej w Belgii blisko Hasselt.

Pewien kapłan przyszedłszy do chorego z Wiatykiem, złożył cyboryum na korporale pomiędzy dwiema świecami jarzącemi, a sam wstąpił do przyległej izby, by go wysłuchać spowiedzi.

Podczas gdy kapłan zajęty był tą czynnością, żydzi włóczący się tamtędy, ujrzawszy przez okno zapalone świece, ciekawością zdjęci, zaczęli zaglądać a widząc że nikogo niema w izbie, chcieli ukraść cyboryum. Spostrzegłszy zaś, że cyboryum jest tylko z miedzi wewnątrz wyzłacanej, zostawili je na stole. Jeden z nich jednak pełen niena-

wiści ku P. Jezusowi, wziął Hostyę w palce i rzekł z pogardą:

— Patrzcie, oto Bóg chrześcijański — to mówiąc ścisnął Hostyę w palcach. W tej chwili wytrysła Krew z Hostyi, która zbroczyła mu rękę i pociekła na korporał.

Przestraszony żyd, rzucił N. Sakrament i uciekł z swojimi towarzyszami. Kapłan usłyszawszy zgiełk, przybiegł i ujrzał z najwyższą boleścią i przerażeniem zniewagę wyrządzoną Zbawicielowi w Najśw. Sakramencie. Natychmiast zaniósł św. Hostyę i zakrwawiony korporał do kościoła i wezwał lud do przebłagania i przeproszenia P. Boga za taką niesłychaną zniewagę tajemnicy miłości.

Wkrótce na rozkaz biskupi przeniesiono cudowną Hostyę do opactwa Herkenrode, gdzie tysiące wiernego ludu się zbierało, doznając licznych łask duchownych i uzdrowień cudownych.

Następnie w dwa lata później odbył się sobór w Wiennie, gdzie wskutek tego cudownego zdarzenia uroczystość Bożego Ciała na cały Kościół została rozszerzona.

(Schouppe 3, 172).

Pouczający obraz.

Leonardo da Vinci, bogobojny i pobożny artysta malarz, podróżując razu pewnego w celu

poznania zagranicznego malarstwa, dostał się w towarzystwo dwu protestantów, którzy ślepą wiarę katolików a osobliwie w obecność P. Jezusa w Najśw. Sakramencie wyśmiewali, mówiąc, że niedorzecznością jest aby Bóg był rzeczywiście w Sakramencie ołtarza obecny.

Jeden z nich zwolennik Zwinglego, twierdził, że chleb i wino *oznaczają* tylko Ciało i Krew Chrystusa; drugi Luteranin, mówił, że chleb i wino *stają się* Ciałem i Krwią Chrystusa tylko w czasie pożywania a w innym czasie nie są żadnym Sakramentem.

Leonardo nic nie mówiąc, wziął papier i ołówek i nakreślił na prędce obraz w głównych zarysach W środku narysował Pana Jezusa, a obok Niego z jednej strony Lutra a z drugiej Zwingla. Pod figurą Pana Jezusa napisał słowa Jego: „To *jest* Ciało moje“; pod figurą Zwinglego: „To *oznacza* Ciało moje“; pod Lutra zaś figurą: „To *będzie* Ciałem mojem“. A pod spodem wypisał pytanie: „Kto z tych trzech ma słuszność“?

Skończywszy rysunek, pokazał go towarzyszom podróży. Ci odrazu jasną prawdę w tym obrazie poznali. Zamilkli i już nie mówili z takiem szyderstwem o wierze katolików. (Mainzer kath. Volksb. 1880).

Nieuczony apostoł.

Dnia jednego rozmawiał uczony profesor Jurke, wtenczas jeszcze protestant, z prostym wieśniakiem z Bonn. Rozmawiali o różnych rzeczach, a wreszcie przyszła mowa i na Najśw. Sakrament. Uczony profesor starał się poczciwego prostaczka od wiary katolickiej odwieść.

— Jakże możecie — rzekł — wierzyć, żeby Chrystus w tej maleńkiej Hostyi był obecny?

— Tak jest, wierzę mocno, bo Chrystus powiedział.

— Ależ uważcie proszę; wszak to być nie może!

— A jednak tak jest, panie profesorze.

— Czyż nie widzicie, jakie trudności przeciw temu powstają?

— O! Pan Bóg żadnych trudności nie ma; z całą pewnością tak jest, panie profesorze; nic mnie od tej wiary nie zdoła odwieźć.

Niezłomna wiara tego prostaczka głębokie wywarła wrażenie na profesorze; począł rozmyślać nad katolicką religią, poznał prawdę, nawrócił się i został wreszcie znacznym pisarzem katolickim.

(Mainz. kath. Volksb. 1876).

Święty Ludwik i cudowna Hostya.

Za czasów Ludwika IX, króla francuzkiego, objawił się P. Jezus w jednym z kościołów Paryża w postaci dziecięcia w świętej Hostyi. Objawienie to powtarzało się dłuższy czas. Dano znać o tym cudzie świętemu Ludwikowi i myślano, że i on z tysiącami pospieszy do kościoła by ten cud obaczyć, ale święty król nie poszedł do kościoła.

Wszyscy się temu bardzo dziwili, nie mniej jak samemu cudowi, bo wszyscy znali wielką miłość świętego króla ku Jezusowi Chrystusowi, wszyscy go już za życia mieli za świętego i wiedzieli, że codziennie kilka Mszy św. słucha z największem nabożeństwem. Ponieważ nie mogli sobie wytłumaczyć tego, tak dziwnego postępowania królewskiego, posłali doń jednego z zaufanych dworzan, aby się zapytał króla, czemu nie idzie do kościoła, aby ujrzeć tak wielki cud i cześć oddać dzieciątku Jezus?

Wtedy święty król odpowiedział:

— Oczywiście Pan Jezus nie zdziałał tego cudu dla wiernych, lecz dla niewiernych i wątpiących. Ja zaś do tych ostatnich nie należę, bo jeszcze nigdy ani na chwilę nie wątpiłem, że Jezus Chrystus jest obecny pod postacią chleba, i owszem tak silnie i niewzruszenie wierzę w ten artykuł wiary, jak gdybym ten cud na własne oczy widział.

Niech jednak ci podziwiają ten cud, którzy dotychczas w obecność Pana Jezusa pod postacią chleba nie wierzyli, albo o niej wątpili. (Hist. Exempb. 1 T. Mainz).

Cud w oberży.

Od czcigodnego męża odebraliśmy następujące pismo:

W tych dniach otrzymaliśmy list od przełożonej Sercanek z Albany w Północnej Ameryce. W tym liście opowiada ona nam co następuje: — Tego lata wezwano nagle kapłana do chorego, który w wielkiej odległości mieszkał od miasta. Natychmiast udał się tamże wierzchem, mając N. Sakrament w puszce zawieszony na szyi.

Po kilkugodzinnej jeździe, wśród strasznej burzy i jeszcze gorszej drogi, koń ustał. Musiał tedy zajechać do oberży. Tu zastał posłańca, który był wysłany naprzeciw kapłanowi z oznajmieniem, że stan chorego nad wszelkie spodziewanie się polepsza, i że jest wprawdzie niebezpieczeństwo, ale nie tak naglące. Tymczasem noc zapadła. Kapłan znużony, schował puszkę z N. Sakramentem do komody i usnął snem twardym. Nazajutrz co tylko świt udał się w dalszą drogę, ale zaledwie trzy mile ujechał, spostrzegł, że zapomniał puszkę z Najśw. Sakramentem i zo-

stawił w oberży, zamieszkałej przez samych protestantów.

Mało nie omdlał z przerażenia; w pierwszej chwili nie mógł się prawie w siodle utrzymać, ale potem spiął konia ostrogami i w najszybszym galopie, pomimo okropnej niepogody powrócił do oberży. Przybywszy tamże, zsiadł czemprędzej z konia i zapytał gospodarza, czy nikt jeszcze nie wstępował do pokoju, w którym on nocował?

— Ach panie — odrzekł gospodarz, coś pan zrobił? W żaden sposób wejść tam nie możemy, wszyscyśmy próbowali — nie można drzwi otworzyć, a jednak klucz jest we drzwiach. Gdy zaglądamy przez dziurkę od klucza, zdaje się nam, że wewnątrz widać światło!

Z nieopisanem wzruszeniem poszedł kapłan wraz z gospodynią, dziećmi, służbą i wszystkimi obecnymi do pokoju. Bez najmniejszej trudności otworzył natychmiast drzwi i upadł na twarz przed komodą, która Panu nieba i ziemi służyła za tabernakulum; potem wstał nadzwyczaj wzruszony; trzymając w ręku Najśw. Sakrament, począł obecnym głosić naukę o tej tajemnicy miłości i z wymową niezwykłą opowiadał szczęście tych, w których domu Bóg tak świetny cud zdziałał.

Skutkiem tego całe zgromadzenie padło na kolana, i prosiło o przyjęcie na łono Ko-

ścioła! Kapłan został tam jeszcze kilka dni, uczył ich, ochrzcił i przyjął ich na łono Kościoła. Dopiero potem puścił się w podróż przerwaną Boskiego miłosierdzia zrządzeniem.

Z ust tego samego kapłana słyszała przełożona Sercanek to zdarzenie i powtórzyła je naszej przełożonej.

(Sendbote des H. Herzens Jesu 7. 1881).

Zawstydzony kalwin.

Święta Franciszka de Chantal (Szantal) miała zaledwie pięć lat, gdy pewien dostojnik kalwińskiego wyznania starał się w jej obecności katolicką wiarę w istotną obecność Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie ołtarza w śmieszność obrócić.

Franciszka zapalona gorliwością o prawdę katolickiej nauki, rzekła z dziecinną prostotą:

— Pan więc nie wierzysz, że Pan Jezus jest w Najśw. Sakramencie ołtarza obecny? a jednak On sam to powiedział. Czyż Pan Jezus kłamie? Gdybyś pan się odważył naszego króla tak obrazić, to mój ojciec kazałby pana śmiercią ukarać. Czegoż się pan od Boga spodziewasz, kiedy Jego Syna kłamcą nazywasz?

Kalwin osłupiał i nie wiedział co na te słowa dziecka odpowiedzieć. Aby jednak jakoś zatrzeć tę sprawę, starał się podarun-

kami zapał dziecka uśmierzyć. Ale Franciszka wzięła te podarunki i wrzuciła je w ogień płonący na kominku mówiąc:

— Taki będzie koniec wszystkich kacerzy. Wszyscy goreć będą w piekle za to, że nie wierzyli słowom Chrystusa Pana.

(Z Życia św. Franciszki).

Św. Antoni i heretyk.

W roku 1227 miał św. Antoni kazanie o Najśw. Sakramencie w hrabstwie Tuluzy we Francyi. Po kazaniu przystąpił doń pewien błędnowierca i rzekł:

— Daremnie się silisz na dowody o rzeczywistej obecności Chrystusa w Hostyi konsekrowanej, kiedy fakta są temu przeciwne. Obecność Chrystusa w Hostyi konsekrowanej, żadnym sposobem się nie objawia, więc Go tam nie ma.

— Cóż z tego, odrzekł św. Antoni, że Ciało Zbawiciela jest ukryte pod postaciami chleba i wina? Czyż nie dosyć mi na tem, że wiem przez Jego nieomylne słowo, iż On jest ukryty pod temi osłonami?

— Wcale nie — odparł heretyk — jeśli Chrystus jest tam obecnym, to stworzenia powinne odczuwać Jego obecność. Weź więc Hostyę poświęconą, a ja przyprowadzę mego osła; jeśli osieł odda jej cześć, uwierzę, że

Chrystus jest tam obecny i przyjmę waszą naukę. Zgoda? Za trzy dni!

Święty Antoni, udawszy się wpierw na modlitwę, zgodził się na propozycyę.

Po trzech dniach, nieprzejrzane tłumy ludu przybyły na miejsce oznaczone. Św. Antoni odprawił uroczystą Mszę św., a następnie wziął Przenajświętszy Sakrament i stanął przy żłobie który napełniono sianem. Wszyscy katolicy padli na kolana oddając cześć Najśw. Sakramentowi i prosili P. Jezusa, aby raczył objawić swą chwałę dla zbawienia dusz zaślepionych.

Heretyk pewny siebie przyszedł prowadząc osła, któremu umyślnie przez trzy dni nic jeść nie dał. Biedne bydlę trzęsło się z głodu i przeraźliwie ryczało. Wszyscy myśleli, że ujrzawszy siano, prosto pobiegnie do żłobu. I rzeczywiście osieł ujrzawszy siano, biegł szybko do żłobu — lecz nagle zatrzymał się, zwrócił się do świętego kapłana, padł na kolana i pochylił łeb przed św. Hostyą, którą św. Antoni trzymał w ręce.

Na widok tego cudu okrzyk podziwu podniósł się wśród tłumu, a hymn pochwalny na cześć Najśw. Sakramentu rozległ się z tysiącznych piersi. Heretyk uznał wreszcie prawdę katolicką a jego zwolennicy idąc za mistrza przykładem, licznie się nawracali.

(Z życia świętego Antoniego Padewskiego, Schouppe III. 174).

Żyd nawrócony.

Święty Tomasz z Wilanowy, arcybiskup Walencyi, który żył w XVI wieku, opowiada w jaki sposób podobało się P. Bogu objawić tajemnicę N. Sakramentu dwom żydom.

Pewnego dnia, w którym święty ten arcybiskup odwiedził znanego sobie starca będącego na łożu śmiertelnem i mówił mu o miłosierdziu Bożem, rzekł starzec:

— O tak! Bóg okazał wielkie miłosierdzie nademną. Urodzony z rodziców żydowskich, znałem religię chrześcijańską według pojęć żydowskich t. j. uważałem ją za sektę najobrzydliwszą.

Pewnego dnia, gdym podróżował z drugim żydem, obaczyłem cud na własne oczy. Mówiliśmy o Mesyaszu, dziwując się, że się tak ociąga z przyjściem, którego tak gorąco pragnąłem. Wtem błysło jasne światło w obłokach a na tle tego światła ujrzeliśmy kielich i Hostyę zupełnie taką jakeśmy widzieli w kościołach chrześcijańskich.

Upadliśmy na kolana i zaczęliśmy się modlić. Podczas modlitwy pierwsze promienie wiary przenikły mą duszę. Poznałem, że upragniony przezemnie Mesyasz już przyszedł, że tym Mesyaszem nie jest kto inny jak tylko Jezus Chrystus, który ustanowił Najśw. Sakrament.

Taki był początek mego nawrócenia. Mój

towarzysz udał się do innego kraju i niewiem co się z nim stało, ja zaś przyjąłem wiarę chrześcijańską i spędziłem me życie w katolickiej Hiszpanii; tu też za łaską Bożą umieram. Tak jest, Bóg okazał wielkie miłosierdzie nademną.

— Te cuda, dodaje święty biskup, są bardziej potrzebne dla niewiernych, jak dla nas; my mamy słowo Jezusa Chrystusa i światło wiary; my nie potrzebujemy cudownych objawień. (Z życia św. Tomasza. Schouppe 3. 182.)

Muzułmanin zawstydzony.

Samonasa, biskup Gazy w Palestynie podróżował raz z karawaną objeżdżając swą dyecezyę. Pewien Turek wdał się z nim w rozmowę, a między innemi zapytał go, jak to być może, aby prosty chleb i wino zmieniły się w Ciało i Krew Jezusa Chrystusa. Święty biskup odpowiedział:

— Bóg może zdziałać przez cud, to co się dzieje codzień w naturze. Kiedy się urodziłeś — mówił — nie byłeś tego wzrostu jak dzisiaj, cóż się przyczyniło do twego wzrostu? Nieprawdaż, że pokarmy zmieniały się w ciało i krew twoją?

— Rozumiem to — odrzekł muzułmanin, ale czy to podobna żeby Ciało Jezusa Chrystusa, było tosamo we wszystkich waszych kościołach?

— Nic niema niepodobnego u Boga — odpowiedział biskup — i ta odpowiedź powinnaby ci wystarczyć, ale aby ci okazać, że w tym cudzie niema sprzeczności z rozumem, posłuchaj przykładu:

Jeśli spojrzysz w zwierciadło nie stłuczone, obaczysz tylko jednę osobę swoją, a skoro toż zwierciadło się stłucze, czy nie obaczysz w każdym kawałku całej swej osoby? Albo np. Ja wymawiam jedno tylko słowo, a jednak każdy z was z osobna słyszy je całe i niepodzielne. Wytłumacz mi jak się to dzieje?

Muzułmanin zmięszał się, a obecni chrześcijanie zostali tem zbudowani i utwierdzeni w wierze. (O. Gonet, „O rzeczywistej obecności Jezusa Chrystusa w Eucharystyi").

Dziecko żydowskie w ogniu nietknięte.

Pewien chłopczyk żydowskiego wyznania wszedł raz w dzień Komunii z innemi dziećmi do kościoła, a przyjąwszy Przenajświętszy Sakrament, powrócił do domu. Na zapytanie ojca, dlaczego się opóźnił opowiedział z całą naiwnością, że był w kościele i jadł chleb, który chrześcijanie od księdza dostają. Nic nadto nie mogło więcej oburzyć ojca, wpadł w straszną złość i uniesiony gniewem, porwał chłopczyka i wrzucił

do rozpalonego pieca, służącego do wytapiania szkła.

Matka nie mogąc się dowiedzieć co się stało z dziecięciem, zalana łzami biegała po całem mieście szukając go i wzywając pomocy nieba głosem, który litość słyszących wzbudzał.

Trzeciego dnia przywiedziona do rozpaczy po bezowocnem szukaniu, znajdując się u drzwi huty, przejęta boleścią wymówiła kilkakrotnie imię straconego syna.

— Ja tu, matko! — odpowiedział syn na głos z głębi pieca.

Na ten głos, biedna matka wyłamała drzwi huty, i widzi dziecko swoje wśród płomieni na zarzących się węglach.

— Jakżeś się tu dostał — krzyknęła — synu mój, i jakżeż się to stało, żeś cały w tak strasznym ogniu.

Na co on odpowiedział:

— Pani odziana purpurą przychodziła często do mnie; przynosiła mi wodę do gaszenia płomieni i pożywienie kiedy byłem głodny.

Doniesiono o tym cudzie cesarzowi Justynianowi; ten kazał matkę i syna ochrzcić; a ojca który nie chciał zostać chrześcijaninem skazał na śmierć, aby ukarać niesłychane okrucieństwo, jakiego się dopuścił względem własnego dziecięcia.

(Anecdotes chretiennes).

B. Cześć Najśw. Sakramentu.

Uroczystość Bożego Ciała.

W dawnych wiekach Chrześcijaństwa, kiedy wiara w obecność Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie i cześć i uwielbienie Jego były powszechne, nie było zdaje się potrzeby w tym celu osobnej uroczystości ustanawiać.

Ale inaczej się stało, gdy podniosła głowę herezya, która zaprzeczała prawdziwej obecności Pana Jezusa w tej tajemnicy wiary. Herezya ta powstała pod koniec jedenastego stulecia, potępiona przez Kościół, nie została jednak zupełnie wykorzenioną. Aby jej koniec położyć a wiarę i miłość ku Najśw. Sakramentowi zapalić i wzmocnić, ustanowił Kościół Boży, osobną uroczystość Bożego Ciała, którą obchodzimy we Czwartek po Trójcy Przenajświętszej.

Jak później uroczystość Serca swego, tak przedtem uroczystość Ciała swego Najświętszego objawił Pan Jezus pobożnej, w poczet Błogosławionych policzonej zakonnicy. Była nią Bł. Juliana z Kornelionu w pobliżu miasta Leoben. Będąc wielką czcicielką Najśw. Sakramentu, miała raz we śnie widzenie, zdało jej się, że widzi księżyc w pełni, ale w tym księżycu była mała plamka. Widzenie to miało miejsce w roku 1210. Dwa lata nie ustępował ten obraz z przed jej duszy,

aż po długiej i gorącej modlitwie poznała, że księżyc w pełni oznacza Kościół, a czarna plamka zapewne brak jednego święta; a ponieważ ona wciąż myślała o Najśw. Sakramencie, to też chętnie wszystko do tegoż odnosiła i nigdy nie wątpiła, że w Kościele brakuje jeszcze Uroczystości N. Sakramentu

Myśli te jednak w tajemnicy zachowała, aż do roku 1230 w którym została przełożoną klasztoru. Wtedy to objawiła myśli swe jednemu z kanoników od św. Marcina w Leoben. Ten naradził się w tej sprawie z archidyakonem z Leoben Jakóbem z Troye, prosząc go aby tę rzecz przedłożył biskupom i teologom. Zewsząd tę propozycyę pochwalono.

Juliana zachęcona tem powodzeniem sprawy jej tak drogiej, i uradowana nad wyraz postarała się, aby ułożono godziny kapłańskie czyli oficyum o Najśw. Sakramencie, które też po pierwszy raz w kościele św. Marcina odśpiewano.

Dominikanin Hugo, późniejszy kardynał i legat papiezki w Niederlandach, gorliwie się zajął tą zbożną sprawą, a tak już w roku 1246 za ówczesnego biskupa Roberta święto Bożego Ciała uroczyście obchodzono i powoli je w całych Niederlandach zaprowadzono.

Gdy Bł. Juliana roku 1253 umarła, starała się jej następczyni o rozszerzenie uroczystości Bożego Ciała na cały Kościół. Jakób de Troye, zostawszy papieżem pod imie-

niem Urbana IV, wydał dnia 11 Sierpnia 1284 bullę, rozszerzającą tę uroczystość na cały Kościół. Lecz z powodu śmierci tegoż Papieża, która wkrótce potem nastąpiła, uroczystość ta nie tak prędko w życie weszła, dopiero Papież Klemens V bullę Urbana IV na Soborze w Viennie r. 1311 potwierdził i święto Bożego Ciała na cały świat rozszerzył.

Powodem do tego rozszerzenia były liczne cuda, jakie się podówczas zdarzały z Najśw. Sakramentem i zniewagi, jakich się zwłaszcza żydzi względem tegoż dopuszczali, niemniej herezye zaprzeczające rzeczywistej obecności Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie.

(Keller. Cornelia).

Czterdziestogodzinne nabożeństwo.

Czterdziestogodzinne nabożeństwo ku czci Najśw. Sakramentu na pamiątkę owych czterdziestu godzin, przez które Ciało Zbawiciela w grobie spoczywało, po raz pierwszy odbyło się w Medyolanie około roku 1534.

Wkrótce potem zdarzyło się, że do Loretu przybyła grupa aktorów, aby tamże dać gorszące przedstawienie w teatrze. Pobożny kapłan Towarzystwa Jezusowego, Olivier Manareus starał się, aby temu zgorszeniu zapobiedz, ale mu się nie udało. Aby więc ludowi inne dać przedstawienie, któreby i

ducha i serce do Boga podniosło, rozkazał za zgodą biskupa kościół swego kollegium jak najwspanialej ozdobić, wielki ołtarz mnóstwem płonących świec oświecić, Najśw. Sakrament przez 40 godzin wystawić, pobożne pieśni śpiewać, duchowne czytania odprawiać, codzień dwa lub trzy razy mieć kazanie i do Spowiedzi i Komunii nakłaniać.

I dziwna rzecz! To święte przedstawienie bardziej się ludowi podobało, jak tamto, co się odbywało w teatrze; prawie całe miasto spieszyło do kościoła a owoc tego nabożeństwa był ogólny.

Z Loretu rozpowszechniło się to nabożeństwo na cały katolicki Kościół, i od Papieży zwłaszcza od Pawła V pochwalone i odpustami nadane zostało.

(Kat. Handb. v. Schuster s. 243.).

Pan Jezus w N. Sakramencie zwycięża.

— Miałem lat 26, opowiada pan Jerzy L. gdym przybył do Lyonu i tam pierwszy raz słyszałem o proboszczu z Ars, księdzu Vianney. Opowiadano mi, że jego konfesyonał jest w ciągłem oblężeniu, że całe gromady ludzi nawet z dalekich okolic garną się do spowiedzi u niego. Jako u sławnych lekarzy lub w sławnych uzdrowiskach szukają ludzie zdrowia ciała, tak u niego szukali ludzie uzdrowienia duszy.

Przyszło mi tedy na myśl, pojechać do Ars. Udałem się więc pewnego dnia w listopadzie do Ars, więcej z ciekawości jak z nabożeństwa, bo mi nawet na myśl nie przyszło aby się tam spowiadać. Przyszedłszy do kościoła, ujrzałem około sto ludzi przeważnie mężczyzn przy konfesyonale proboszcza.

Powróciwszy do hotelu, chciałem właśnie zjeść obiad, gdy gospodarz mnie zapytał, czybym nie chciał razem z jakimś księdzem obiadować?

— I owszem, czemu nie? odpowiedziałem. W pięć minut potem siedziałem przy stole naprzeciwko jakiegoś podeszłego kanonika. Rozmowa, rozumie się, toczyła się około spowiednika z Ars.

— Czy ksiądz kanonik sądzi, zapytałem, że istotnie ks. proboszcz Vianney jest tak doświadczonym spowiednikiem, jak mówią?

— Nie wiem — odrzekł — czy jest doświadczonym spowiednikiem, jabym myślał, że on jest pełen Ducha Bożego. Ten mąż ma tajemniczy dar usuwania wszelkich wątpliwości i nawracania ludzi najgłębiej upadłych w sposób dziwny i prawie cudowny. Zresztą pan sam doświadczysz i będziesz mógł własny sąd wydać.

— Zdaje się, że nie, odrzekłem uśmiechając się, gdyż niemam wcale zamiaru spowiadania się.

— To pan może nie dobrze czyni — odrzekł kanonik krótko; i mówiliśmy o czem innem.

Wieczór tego samego dnia, o godzinie 10, odszedłem od konfesyonału proboszcza z Ars.

— Czy mieszkasz w rodzinnem mieście? zapytał mnie ten święty kapłan, nim mi udzielił rozgrzeszenia.

— Tak jest, mój ojcze — odrzekłem.

— Więc cię tam wszyscy dobrze znają?

— Rozumie się.

— Więc dobrze! za pokutę zadaję ci, abyś teraz, nim wyjdziesz z kościoła, wzbudził akty wiary, nadziei i miłości. Ale to nie wszystko. Prócz tego, w uroczystość Bożego Ciała będziesz na jednej z procesyi i to tak, że pójdziesz zaraz za kapłanem, niosącym Najśw. Sakrament. A teraz idź w pokoju mój synu.

Aby przyczynę takiej pokuty zrozumieć, trzeba dodać, że w wielu okolicach Francyi mężczyźni, zwłaszcza z klas wykształconych, zupełnie się usuwają od objawów zewnętrznej czci Bożej.

W innym czasie, w innym kościele, innego kapłana prosiłbym usilnie, aby mi tę drugą część pokuty zamienił na inny dobry uczynek np. na jakie modlitwy, albo na jałmużnę, ale w tej chwili szacunek dla kapłana i wewnętrzne wzruszenie zamknęły mi usta.

Kanonik miał słuszność; proboszcz był nadzwyczajnym spowiednikiem. Umiał trafić w samo sedno, dotknął najgłówniejszej rany mej duszy, a tą raną był wzgląd ludzki czyli fałszywy wstyd. Obowiązując mnie do spełnienia tak jawnego aktu religijnego, jakim był udział w tej procesyi w mieście mem rodzinnem, zadał mi gorzkie i gwałtowne lekarstwo, na które cała moja natura się wzdrygała, które jednak właśnie dlatego miało być dla mnie najskuteczniejsze. Tymczasem pocieszałem się myślą, że do tej straszliwej pokuty jeszcze mam sześć miesięcy.

Procesya Bożego Ciała jest jednym z najwznioślejszych objawów wiary katolickiej. W niektórych krajach i niektórych wielkich miastach przybiera ona postać iście majestatyczną. Widziałem, jak za baldachimem, który osłania Najśw. Sakrament, postępowały najwyższe władze cywilne w pełnym karmazynowym stroju, dwu lub trzech jenerałów ze swymi adjutantami, namiestnik kraju, burmistrz z całą swą radą, czterystu lub pięciuset szlachty i zacnych obywateli, którzy do najwyższego towarzystwa się zaliczali. Nawet najbardziej lekkomyślny i oziębły chrześcijanin może bez wahania przyłączyć się do tego czcigodnego pochodu. Na nieszczęście w mojem mieście rodzinnem tak nie było. Mężczyźni zupełnie się usunęli wyjąwszy szkolnej młodzieży i kilkudziesię-

ciu rzemieślników, którzy do bractw kościelnych należeli, żaden mężczyzna nie pokazał się na procesyi.

Choć w ten sposób procesya mniej była świetna, to zbiegowisko było tem większe. Mieszkańcy miasta przyglądali się pochodowi z okien, lub zapełniali tłumnie ulice miasta. Cóż sobie pomyślą, co powiedzą ci wszyscy, gdy tego tak światłego i postępowego Jerzego L. ujrzą na procesyi zaraz za N. Sakramentem idącego? Na samą myśl o tem, zimny pot na czoło me występował. A jednak najmocniej wierzyłem w rzeczywistą obecność P. Jezusa w Najswiętszym Sakramencie; czułem w głębi serca, że wszyscy monarchowie świata spełniliby tylko swój obowiązek święty, gdyby boso, posypawszy głowy popiołem, szli za swym Bogiem ukrytym pod postaciami Sakramentalnemi.

Tymczasem zbliżył się ten dzień uroczysty Bożego Ciała. Procesya zaczyna się u nas po nieszporach. Chcąc sobie dodać odwagi, poszedłem na nieszpory, czegom dotąd nigdy nie czynił, i stanąłem sobie umyślnie blisko ołtarza. Ale cóż się dzieje? Jakaś znajoma mi pani prawdopodobnie przypadkiem rzuciła okiem w tę stronę gdzie ja stałem. W tej chwili zdawało mi się, że cały kościół na mnie patrzy, że ja sam jeden jestem przedmiotem uwagi wszystkich, że duchowieństwo, przełożony kościoła i zakrystyan,

że wszystkie pobożne damy, kobiety i dzieci szeptają:

— Patrz, patrz, pan L.! Czego on tu chce?

Ta myśl tak mnie zmięszała, żem nie zauważył, że procesya już się ustawia i już zaczyna z kościoła wychodzić. Kapłan z Najśw. Sakramentem przeszedł koło mnie, jam nie miał odwagi przyłączyć się i odłożyłem straszną pokutę do przyszłej niedzieli.

Przebacz o mój Boże! Tak jest, był czas, w którym nieoszacowaną łaskę, jaką Ty nędznemu grzesznikowi wyświadczasz, iż mu pozwalasz towarzyszyć sobie, uważałem za służbę niewolniczą.

Następnej nocy miałem gorączkę, której przyczyną było zapewne rozdrażnienie. Czyżby można uwierzyć? — Cieszyłem się z tej gorączki, życzyłem sobie aby się wzmogła, aby się przedłużyła, aby mnie do loża albo przynajmniej do pokoju przykuła na cały przyszły tydzień. Do rzeczy niemożliwej nikogo obowiązać nie można, a przeto byłbym uwolniony od obowiązku uczestniczenia w procesyi.

Ale gorączka minęła i nie powtórzyła się, a niedziela zbliżała się szybko. W życiu całem żaden tydzień nie wydał mi się tak krótkim, jak ten. W niedzielę, wyznaję to na moje zawstydzenie, ucieszyłem się bardzo, gdy ciemne chmury ze wszech stron zaczynały się powoli gromadzić na niebie. Nastą-

pił deszcz ulewny z gradem — zapewne, myślałem, procesyi nie będzie.

Lecz procesya się odbyła; ja raczej umarły jak żywy postępowałem za baldachimem. Choćbym sto lat żył, nie zapomnę nigdy tych dwu godzin, które wtenczas przeżyłem. Z czoła lał mi się pot zimny, nogi chwiały się podemną. Od czasu do czasu wzbudziłem akt wiary i starałem się modlić. Ale tylko usta bełkotały modlitwy, postanowiłem sobie ani na chwilkę głowy nie podnieść i byłem wierny temu postanowieniu.

Po dwu tygodniach niespodzianie odwiedził mnie pan S..., mąż dla swego wykształcenia, zręczności i odwagi w wyznaniu swych zasad, bardzo ceniony. Bez ogródek zrobił mi propozycyę, abym z nim i jednym z jego przyjaciół założył w mieście stowarzyszenie św. Wincentego. Można sobie wystawić, ile trudności mu zrobiłem, ale on z zupełną pewnością zwycięztwa zawołał:

— Co? Pan masz tyle odwagi na wyznanie wiary i tyle pobożności, że sam jeden byłeś na procesyi, a nie miałbyś się do nas przyłączyć?

Poddałem się wreszcie i obiecałem przystąpić. Tak na drodze do dobrego jak i do złego, tylko pierwszy krok wymaga ofiary.

Wsparty przez dwu odważnych katolików, wzmocniony świętymi Sakramentami, które odtąd za przykładem mych przyjaciół co

miesiąc przyjmowałem, powoli pozbyłem się nieszczęśliwego względu ludzkiego. W przeciągu dwu lat udało się nam założyć stowarzyszenie św. Wincentego, do którego trzydziestu młodych ludzi z najlepszych i pierwszych rodzin kraju się przyłączyło.

Niedawno wszyscy razem byliśmy przytomni na obu procesyach Bożego Ciała idąc zaraz za baldachimem. Uczyniliśmy to ze świętą radością, a jeśli mi wolno innych podług siebie sądzić, z pewną świętą dumą.

(Sendbote des gött. H. Jesu. 1886).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Władysław Długołęcki. T. J.

L. 2134.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.

(L. S.)

Kraków 21 Maja 1892.

† *A. Kard. Dunajewski*
Książę-Biskup.

W Krakowie, w drukarni „Czasu" pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

III. Ciało i Krew Pańska.

B. Cześć Najśw. Sakramentu.

(Ciąg dalszy).

Wieczna adoracya.

Pierwszy klasztor ku wiecznej i uroczystej adoracyi Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie założyła we Francyi Anna, księżniczka austryacka.

Powód do tego był następujący:

Strasznie ucierpiała Francya w końcu XVI i z początkiem XVII stulecia z powodu wojen religijnych. Wprawdzie nastąpił jakitaki spokój za Ludwika XIII, ale skoro ten r. 1643 oczy zamknął, powstała nowa wojna religijna między kalwinistami i katolikami, która całemu państwu upadkiem groziła.

Wtedy właśnie rządziła krajem tym Anna, księżniczka austryacka w imieniu swego małoletniego syna Ludwika XIV. Cały Paryż krwią zbroczony, najzacniejsze rody ze sobą

w nienawiści i wojnie, całe prowincye przez kalwińskich Hugonotów zniszczone, wszelkie węzły obywatelskie porwane. Wśród tego morza wzburzonego stała Anna ze swymi doradcami nie wiedząc jak złemu zapobiedz i dobrze rozumiejąc, że tu ludzka mądrość nie wystarczy.

W tej najwyższej potrzebie udała się Anna do kierownika wszystkich losów ludzkich, do Boga, ślubując, że uczyni wszystko co Bóg jej spowiednikowi objawi. Jakoż poleciła temuż, aby się udał na modlitwę i wobec Boga dobrze się zastanowił, coby mogło Jego gniew rozbroić, za grzechy narodu zadość uczynić i miłosierdzie Boskie na kraj i na stolicę sprowadzić.

Po kilkodniowej modlitwie przyszła spowiednikowi myśl, która go nie opuszczała ani na chwilę, iż trzeba założyć stowarzyszenie dziewic zakonnych, aby dzień i noc bez przerwy przez cały rok Najświętszemu Sakramentowi w duchu zadośćuczynienia i przebłagania za wszystkie temuż Najśw. Sakramentowi wyrządzone zniewagi i zelżywości cześć oddawały; aby królowa ten ślub dla ocalenia Francyi uczyniła i adoracyę Najśw. Sakramentu z powrozem na szyi i gorejącą świecą w ręku sama osobiście rozpoczęła.

Pobożna królowa z całego serca ślub ten uczyniła i udzieliła spowiednikowi potrzebnej

władzy, aby ten ślub w jak najkrótszym czasie mógł być wykonany.

Urządzono gmach na sposób klasztoru, zbudowano i poświęcono kaplicę i oddano pod zarząd Mechtyldy od Najśw. Sakramentu, zakonnicy św. Benedykta, która z pięcioma siostrami tegoż zakonu tam się przeniosła.

Dnia oznaczonego t. j. we Czwartek 12 Marca 1659 roku z wielką uroczystością odbyła się adoracya, którą wedle obietnicy królowa Anna z całym swoim dworem klęcząc z powrozem na szyi i z jarzącą świecą w ręku rozpoczęła.

I dziwna rzecz! Prawie w tej samej chwili, kiedy wieczna adoracya się rozpoczęła, ustały wszelkie rozruchy i niepokoje. Jeszcze w tym samym miesiącu poddał się zbuntowany Paryż, a za jego przykładem poszły inne części królestwa, tak, iż już w ciągu następnego roku młody król Ludwik XIV tak spokojnie i wszechwładnie nad królestwem panował, jak gdyby spokój nigdy przedtem nie był zakłócony. (Keller. 193 Erzählungen 57).

Nocna adoracya.

Było to w roku 1793. Bandy rewolucyonistów gorzej jak poganie lub Wandalowie włóczyły się niszcząc wszystko ogniem i mieczem.

I tak gruchła pogłoska w Saint Laurent

nad rzeką Sevre, że ci rabusie się zbliżają— mieszkańcy uciekli.

Zakonnica jedna przed ucieczką czemprędzej pobiegła do kaplicy, aby Panu Jezusowi oddać cześć w Najśw. Sakramencie i siebie i swe siostry Jemu polecić. Gdy tak klęczy na modlitwie, wpada jeden z tych nędzników do kaplicy, rozbija tabernakulum z Hostyami św., i ucieka bocznemi drzwiami do ogrodu, zapewne dlatego, aby świętokradczym swym łupem nie potrzebował się dzielić z swymi towarzyszami.

Zakonnica boleścią zdjęta, wstaje, biegnie za nim i woła:

— Obywatelu, oddaj mi mego Pana i króla! — Nędzny ten zbójca musiał przeskoczyć rów, który otaczał ogród klasztorny. Wołaniem zakonnicy, która za nim biegła, przestraszony, porzucił cyboryum do rowu, aby je potem ztamtąd zabrać, a sam uciekł.

Zakonnica zaś, pełna żywej wiary i gorącej miłości, uklękła przed rowem i przez całą noc przetrwała w uwielbieniu N. Sakramentu. Skoro świtać zaczęło, powrócili ludzie którzy wczoraj uciekli, dowiedziawszy się, że rewolucyoniści dalej pognali, i szli koło ogrodu klasztornego.

— Proszę was, zawołała siostra zakonna, biegajcie prędko do naszego Superyora i powiedzcie mu, że Pana Jezusa rozbójnicy porwali i ja myślę, że On tu jest.

Przełożony domu natychmiast przyszedł w komży i stóle w towarzystwie mężczyzn ze światłem i znalazł rzeczywiście cyboryum, które było pełne świętych Hostyj; z najgłębszą czcią odniósł je do kaplicy, a siostra postępowała za P. Jezusem i dziękowała Mu za łaskę, iż Go z rąk bezbożników ocaliła. (Erb. st. 1884. 36.).

Jedno pytanie.

Hrabia G. był młodym, dzielnym oficerem w wojsku pruskiem. Młodzieńcza jego wesołość i dowcip obfity zjednały mu serca wszystkich towarzyszy. Choć z żywości młodzieńczej niejedną psotę wyrządził, to serce miał nieskalane i wiarę niezachwianą.

Będąc od rodziców w pobożności wychowany, zachował w głębi serca nauki od nich otrzymane, i nie wstydził się jako wierny syn Kościoła wypełniać obowiązki swoje.

Pewnego dnia szedł z kilkoma towarzyszami jedną z głównych ulic miasta. Właśnie zaczął im wśród głośnego śmiechu opowiadać swe przygody. Ale nagle przerwał, odkrył głowę i klęknął pobożnie, bo oto zbliżał się kapłan, który niósł N. Sakrament do chorego. Choć wszyscy jego towarzysze byli katolikami, żaden jednak nie poszedł za jego przykładem, i owszem jakiś uśmiech szyderczy igrał na ich ustach.

Skoro kapłan minąwszy ich był daleko, hrabia G. dalej snuł wątek przerwany swego opowiadania.

Wieczorem tego samego dnia dostał wraz z kilkoma swych przyjaciół zaproszenie na obiad do oberszta N. Gdy już wino poczęło skutki swe wywierać, nie mogli z nich niektórzy się powstrzymać od szyderstwa, że młody oficer na publicznym gościńcu uklęknął.

— To rzecz iście niegodna żołnierza; mówili. Oberszt, który był również wolnomyślnym, zapytał także hrabiego G. w tonie szyderczym:

— Czy to rzeczywiście prawda, że Jaśnie Oświecony hrabia G. przed kawałkiem chleba w prochu się tarzał?

— Tak jest panie oberszcie, ja to uczyniłem. Ale proszę odpowiedzieć mi także na jedno pytanie.

— Mów pan — odrzekł oberszt zaciekawiony.

— Dajmy na to, żeby nasz cesarz, nasz najwyższy pan, przechadzał się w stroju żebraczym po ulicach miasta. Czyż przebranie się jego byłoby dostateczną przyczyną, abym mu odmówił należytego uszanowania, gdybym go spotkał?

— Co za pytanie? Powinienbyś pan przecież wiedzieć, że w jakiemkolwiek przebraniu cesarz by szedł, zawsze on jest najwyż-

szym panem, więc pan jesteś obowiązanym oddać mu cześć należytą.

— W takiem samem położeniu ja się znajdowałem — odrzekł hrabia G.

Pod niepokaźną postacią chleba był ukryty Bóg, najwyższy Pan wszystkich cesarzów i królów ziemi, więc obowiązkiem moim jako katolika było oddać Mu cześć należytą. Uważałbym się za nędznika i podłego tchórza, gdybym był tego obowiązku nie spełnił.

Szydercy umilkli.

(Kath. Missblatt n. 32. 1884.).

Jenerał Robert staje w obronie N. Sakramentu w zgromadzeniu narodowem w r. 1873.

W czasie rozprawy nad urządzeniem służby Bożej w armii francuskiej, która przeważną większością głosów zakończoną zosłała, tak, że odtąd ustanowieni być mieli osobni kapelani wojskowi, i Msza św. dla wojska miała być obowiązkowa, oświadczył Jenerał Robert, że Najśw. Sakramentowi należą się honory wojskowe. Oto jak pisze o tej rozprawie katolicki dziennik „Univers“:

Jenerał Robert: Moi panowie! Wstępuję na trybunę dla sprostowania mylnego twierdzenia jenerała Guillemant. Tenże oskarżał się na to, że wojsko otrzymuje często rozkaz towarzyszyć procesyi Bożego Ciała. Twierdził również, że to być niepowinno, że

to jest nieporządek, który jest skutkiem zbytniej gorliwości i nadużycie władzy, które jeżli nie obecnemu ministrowi wojny, to jego poprzednikom przypisać należy. Odpowiedziałem mu, że te Najśw. Sakramentowi należne honory regulaminem są przewidziane i przepisane. — On mi odpowiedział: Pokaż mi pan ten regulamin. Przyniosłem go więc i cytuję go. (*Głosy*: Bardzo dobrze! bardzo dobrze!) — Moi panowie! Dekret z r. 1853 co do służby na publicznych miejscach, który w tym względzie jest tylko odnowieniem przepisów z 24 Messidora r. XII, zawiera między innemi, przepisy o honorach jakie mają być oddawane Najśw. Sakramentowi. Stoi tam dosłownie: „Rozdział 20. Święty Sakrament, (głosy na kilku ławach skrajnej lewicy: Oh! Oh!)

Jenerał Robert: Tak jest moi panowie! Święty Sakrament. Najświętszy Sakrament.

Głosy: Bardzo dobrze, bardzo dobrze! (Oklaski na wielu ławach prawicy i prawego centrum).

Jenerał Robert: Ten czcigodny znak, pod którym rzeczywiste człowieczeństwo i bóstwo Chrystusa się ukrywa, przed którym każde katolickie kolano się zgina, każda chrześcijańska głowa się schyla, każde chrześcijańskie serce się podnosi i modli! Jakto, moi panowie, czyż to rzecz dziwna, że tekst prawa, tego słowa: „Święty Sakrament“

używa? Jakto? Dekret o służbie na publicznych miejscach, jak pan wiesz dobrze, przepisał dokładnie, jakie honory wojskowe książętom krwi, jenerałom, urzędnikom różnych stopni mają być oddawane, a pan się dziwisz, że raczył także na pierwszem miejscu położyć oznaki czci, jakie mają być okazywane Najśw. Sakramentowi? Tekst tak opiewa: Artykuł 342: „Jeżli procesye z Najśw. Sakramentem odbywają się w miastach, w których zostały pozwolone, wyruszy całe wojsko... całe wojsko! na plac, przez który przechodzi procesya, według porządku w artykule 296 przepisanego“. Resztę artykułu, który zawiera szczegóły, pomijam.

Azatem żąda regulamin, że jeśli procesye z Najśw. Sakramentem po za kościołem odbywają się w miejscach gdzie takowe są pozwolone, *całe wojsko*, uważ pan dobrze, *całe*, na główny plac wyruszyć ma, przez który procesya przechodzi.

Ten jednak regulamin wygodniej bywa wykonany; zamiast całego wojska wyrusza tylko jedna część, aby za całą załogę Najśw. Sakramentowi honory wojskowe oddać. Powiedziałem, że te rozporządzenia są odnowieniem dekretu z 24 Messidora. I wistocie tytuł 2. tego dekretu jest poświęcony jedynie honorom wojskowym, oddawanym Najśw. Sakramentowi. Słuchaj pan jak opiewa artykuł 1 i 4 które razem 10 paragrafów za-

wierają, z których tylko pierwsze przeczytam; tymczasem przynajmniej nie będę czytał reszty przez wzgląd na tych zacnych panów, którzy mi przerwali.

„Artykuł 1. W miastach, w których podług artykułu 45 prawa z 18 Germinala roku X, religijne procesye poza kościołami katolickimi mogą się odbywać, powinni podoficerowie i żołnierze, kiedy Sakrament koło posterunku lub warty bywa niesiony, stanąć pod bronią, sprezentować i na prawe kolano uklęknąć; oficerowie mają sprezentować szablą, a lewą rękę do hełmu przyłożyć; chorągiew ma salutować i t. d.“

Artykuł 4. Na procesye ze Świętym Sakramentem występuje wojsko na te place, przez które procesya przechodzi; straż honorowa stoi przy drzwiach kościoła, z którego procesya wyrusza; regiment który ma numer pierwszy, tworzy prawe skrzydło, kawalerya staje poza piechotą i t. d.“

Kończę czytanie moi panowie! teraz się wam wyjaśniło. Obiecałem panom przeczytać pewne rozporządzenia; więc przeczytałem, zdaje się, że dość są jasne; jeżli można je odeprzeć, to proszę. (Brawo przeciągłe z prawicy).

„Univers“ dodaje, że jenerał Robert słowa: „Tak moi panowie, Najśw. Sakrament“, wypowiedział takim tonem, którego oddać nie można; głos zacnego jenerała był dźwięczny

i nadzwyczaj silny, a w tym głosie objawiła się cała siła jego wiary i oburzenia na lewicę, tak że ta głowę zwiesiła, podczas gdy z prawicy prawdziwa burza oklasków się podniosła jako odpowiedź na akt wiary jenerała. Cieszy nas to, że jenerał we francuskim parlamencie, nie dbając na szyderstwa kilku niewiernych, miał odwagę, wiarę swą w prawdziwą i rzeczywistą obecność Jezusa Chrystusa w Najśw. Sakramencie jawnie wyznać.

(Keller z Freib. Kirchbl. 34. 1873).

Męczennik czci Najśw. Sakramentu.

Było to w czasie wojen hugonockich we Francyi. We wsi katolickiej odbywała się z wielką uroczystością procesya Bożego Ciała Droga, którą procesya się odbywała, graniczyła z parkiem okalającym posiadłość protestantów. W tym parku stał ukryty człowiek ze strzelbą i mierzył nią w kapłana niosącego Najśw. Sakrament.

Pewien katolik, który to spostrzegł i zarazem myślał, że ów człowiek nietylko w kapłana, ale i do N. Sakramentu, przeciw któremu najbardziej złość heretyków się burzyła, celuje, aby Go w oczach katolików znieważyć, pełen żywej wiary i gorącej miłości rzucił się pomiędzy owego złoczyńcę i Pana Jezusa ukrytego w Najśw. Hostyi,

właśnie w chwili, gdy padł strzał. Kula powaliła dzielnego katolika, który padł u stóp kapłana.

Choć śmiertelnie raniony, żył jeszcze ów męczennik... Głęboko wzruszony kapłan miał tyle przytomności umysłu i to święte natchnienie, że natychmiast wyjął Najśw. Hostyę z monstrancyi i podał ją konającemu mówiąc te słowa:

— Mój synu! Jesteś godzien natychmiast przyjąć Ciało Pana naszego, któremu publicznie cześć oddajemy.

Tak skonał męczennik czci Najśw. Sakramentu z Najśw. Sakramentem w sercu.

(Kath. Miss. bl. 33 1885 Keller).

Ferdynand II.

Ten cesarz nietylko w samą uroczystość Bożego Ciała, ale nawet przez całą oktawę bywał obecny na procesyi. Mając na około skroni wieniec z róż, a w ręku trzymając świecę gorejącą, rok rocznie towarzyszył Panu swemu w Jego tryumfalnych pochodach.

Raz się zdarzyło, że mu z powodu ciężkiej świecy ręka spuchła. Gdy pomimo to na drugi dzień chciał być na procesyi, choć rękę nosił na temblaku, rzekł mu jeden z panów:

— Wasza cesarska mość musi dzisiaj iść bez świecy.

Lecz cesarz mu odrzekł:

— Wszak mam jeszcze drugą rękę, którą Bogu służyć mogę.

Pięćdziesiąt razy w roku przystępował ten cesarz do Stołu Pańskiego. W przeddzień Komunii świętej ostro pościł, choć nie był dzień postny. Gdy zaś przyjął Komunię św., tak gorąco i pobożnie się modlił, tak słodkie łzy nieraz wylewał, że się zdało, jakoby dusza jego Boską miłością zapalona, chciała porzucić to ciało, by się połączyć ze swym Zbawicielem.

Gdy spotkał kapłana niosącego N. Sakrament do chorego, naśladował przykład Rudolfa I.; wysiadał natychmiast z powozu, klękał nawet na błotnistej drodze, oddawał cześć P. Jezusowi z największem uszanowaniem i szedł pieszo za kapłanem.

Gdy razu pewnego w ten sposób w Gracu spotkał kapłana, nietylko szedł za nim aż na przedmieście dokąd kapłan podążał, ale dał też hojne wsparcie owemu ubogiemu człowiekowi, który Najśw. Sakrament w swej chorobie przyjmował.

Wśród tak strasznych zaburzeń w cesarstwie i pośród ciężkich wojen, które tyle klęsk na cesarstwo sprowadziły, miał ten święty zwyczaj, że dla ubłagania Boskiej pomocy w całem państwie publiczne nabo-

żeństwo do N. Sakramentu polecał. Sam też kilka godzin z rzędu w najgłębszej pokorze na kolanach klęczał przed N. Sakramentem.

Co rok był na 40-godzinnem nabożeństwie które się w ostatki po kościołach Towarzystwa Jezusowego odprawiało i tem goręcej Boga utajonego czcił i uwielbiał, im bardziej Go inni w tym samym czasie grzechami swemi obrażają. (Keller 193 Erz. str 53.).

Wzór wspaniały.

Wiedeń. Dnia 4 Maja tego roku umarła w Wiedniu arcyksiężna Marya Annuncyata, małżonka Jego Ces. Wysokości arcyksięcia Karola Ludwika w 28 roku życia. Dwa dni przed śmiercią jeszcze raz pragnęła przyjąć Św. Sakramenta.

O pół do siódmej wieczór niesiono Boskiego Zbawiciela w uroczysty sposób z parafialnego kościoła św. Aniołów Stróżów do pałacu arcyksiążęcego, tak bowiem wyraźnie życzyła sobie arcyksiężna, aby, jak sama mówiła, dać dowód swej wiary i czci ku Najśw. Sakramentowi.

Synowie jej Franciszek i Otto towarzyszyli Panu Jezusowi na wyraźne jej życzenie z gorejącemi świecami aż do głównej bramy pałacu, wraz z arcyksięciem Albrechtem i Rainerem. Gdy arcyksiężna przyjmowała Komunię św., było oprócz małżonka

przytomnych wielu arcyksiążąt i arcyksiężnych.

Jak zawstydzającym dla wielu jest ten przykład tak wysokiej pani, którzy chcąc na łożu śmiertelnem przyjąć Pana Jezusa, nieraz proszą usilnie kapłana, aby jak najciszej, bez dzwonka i niepostrzeżenie przyniósł N. Sakrament, jak gdybyśmy żyli w kraju pogańskim lub heretyckim.

(Frbg. Kirchbl. n. 32, 1871).

Jenerał Geramb.

Na kilka miesięcy przed wstąpieniem do Trapistów, przebywał sławny jenerał francuzki baron Geramb w Lyonie. Na ludnej ulicy ujrzał N. Sakrament niesiony przez kapłana do chorego. Odziany był w uniform jeneralski. Skoro ujrzał Pana Jezusa, natychmiast ukląkł. Podniósłszy oczy, obaczył, że chłopcy, niosący baldachim nad Panem Jezusem, nieprzyzwoicie się zachowali, kłócąc się i popychając. Ujrzawszy to, wstał, przystąpił do jednego z nich, który mu się wydawał być gorszym, wziął mu drążek od baldachimu i odpędził go; sam zaś niósł z drugim chłopcem baldachim.

Kapłan obejrzał się, i z niemałem zdziwieniem ujrzał, miasto chłopca, jenerała; uprzejmie się doń uśmiechnął na znak podziękowania. Tak więc wsród mnóstwa

zdziwionych widzów szli do chorego. Następnie aż do kościoła towarzyszył P. Jezusowi, za co mu kapłan, wzruszony taką czcią jenerała ku Panu Jezusowi, serdecznie podziękował.

(Dr. Herbst Exempb. II th. s. 413).

Z kraju Wallijskiego.

Jednego pięknego poranku jesiennego wybrał się znany w kraju lekarz T. na wycieczkę do Zermatt, dokąd tysiące podróżnych w letniej porze zdążało, aby od natężającej pracy wypocząć i odetchnąć świeżem, górskiem powietrzem.

Ale skoro tam przybył, nagle ciężko zachorował, a radość jego zamieniła się w bolesne cierpienia.

Oberżysta S., dowiedziawszy sie o jego chorobie, kazał mu dać wygodny pokój, postarał się o znakomitego lekarza, którego właśnie miał między gośćmi, ale osobliwie kazał spiesznie przywołać kapłana, aby chory mógł obowiązki religii wypełnić.

Skoro kapłan wszedł do pokoju, zdziwił się chory niepomału, i nie chciał z początku przyjąć ofiarowanej sobie posługi duchownej, mówiąc, że się czuje wcale silnym, i że ma jeszcze dosyć czasu do życia, aby miał teraz umierać.

Ale skoro kapłan oświadczył, że choroba

może być bardziej niebezpieczną jak się wydaje, poddał się chrześcijański lekarz Boskiemu zrządzeniu i żądał godziny czasu, aby się do dokładnej spowiedzi jeneralnej przysposobić — którą też z widocznem nabożeństwem odprawił.

A teraz powstało pytanie: w jaki sposób należało choremu przynieść Wiatyk? W oberży (hotelu) znajdowali się podróżni ze wszystkich krajów świata: Niemcy i Francuzi, Anglicy i Rosyanie, Hiszpanie i Amerykanie — ludzie z najróżniejszemi pojęciami religijnemi, a mała garstka tych, co należeli do Kościoła katolickiego, czy była też z całego serca katolicką?

— Coby to było, pytano się, gdyby Wiatyk, jak tam był zwyczaj, publicznie do chorego przyniesiono? Czyżby to nie dało powodu do nieporządku lub zgorszenia? A może i ten hotel straciłby gości, gdyby pozwolono na publiczny akt czci Bożej?

Słowem, pełno było wątpliwości, czy można Wiatyk uroczyście przynieść do chorego.

Gdy to usłyszał oberzysta, natychmiast przyszedł i rzekł tonem pełnym wiary:

— Uroczyste przyniesienie Wiatyku wcale żadnego zamięszania ani zaniepokojenia sprawić nie może, gdyż ja liczę słusznie na grzeczność moich gości. Ale też życzę sobie, aby każdy katolik w moim domu także

po katolicku mógł umrzeć; i chociażbym dlatego wszystkich gości miał stracić, i nawet cały interes porzucić, to wcale o to nie dbam. Idzie tu bowiem o wzmocnienie duszy, będącej na progu wieczności, a to daleko więcej warte, jak cały doczesny zysk z mego interesu.

Po takiem oświadczeniu iście katolickiego gospodarza, nie wahano się wcale N. Sakrament ze zwykłą uroczystością przynieść do chorego.

Wkrótce tedy dał się słyszeć dźwięczny głos dzwonka. Kościelny szedł naprzód z lampą gorejącą, za nim postępował kapłan z N. Sakramentem, a wielki tłum ludu wiejskiego towarzyszył w procesyi Panu Jezusowi. A po drodze, gdzie tylko się wierni katolicy znajdowali, upadali na kolana i wielbili Pana pod postacią chleba ukrytego.

Podróżni: Francuzi i Niemcy, Anglicy i Rosyanie, Hiszpanie i Amerykanie, którzy tam i sam po oberzy chodzili, bądź powracając z wycieczek, bądź wychodząc na przechadzki, dziwili się wprawdzie, ujrzawszy kapłana z Najśw. Sakramentem, ale nikt by się nie był ważył nieprzyzwoitem zachowaniem się lub niedorzecznem słówkiem przeszkodzić aktowi świętemu: wszyscy milczeli z uszanowaniem i podziwem, niewidzialną obecnością Zbawiciela widocznie wzruszeni.

Czcigodny kapłan zaś wszedł do pokoju i podał umierającemu lekarzowi, który z upragnieniem, wzniósłszy ręce do nieba, oczekiwał Zbawiciela swego, Chleb żywota, o którym Syn Boży mówi: *Jam jest chleb żywy, który z nieba zstąpił.* P. Paulus.
(Sendbote d. h. Herzens 1869 11 Zesz.)

Mała Marysia.

Było to podczas wojny francuzko-pruskiej roku 1871, opowiada angielska gazeta „The lamp.“ Jednego wieczora przyszła do małej wioski Dijon pruska patrol z oznajmieniem, że oddział wojska wkrótce nadejdzie i we wsi przenocuje, ale że nie było tak obszernego budynku we wsi, aby cały oddział pomieścić, więc miało wojsko w kościele noc przepędzić. Na nieszczęście nie było proboszcza w domu, gdyż wezwano go do chorego i nie mógł aż za kilka godzin powrócić. Jednak trudność zachodziła, w jaki sposób Najświętszy Sakrament wynieść z kościoła i na bezpiecznem miejscu w zakrystyi umieścić. Któżby się ważył ręką dotknąć kielicha, w którym znajdowała się Przenajświętsza Hostya? Najpoważniejsi ludzie z gminu zebrali się w kościele i przed ołtarzem się naradzali. Najprzód zwrócili się do młodego człowieka, który był kościelnym, ale ten się wzbraniał swą ręką dotknąć

się cyboryum. Więc jeden radził tak, drugi inaczej, ale sam nikt nie śmiał tego uczynić. Wreszcie rzekł jeden ubogi wieśniak:

— Słuchajcie, moja Marysia ma teraz cztery lata. Jest to istny mały aniołek, nie mogę jej inaczej nazwać. Jeśli się zgodzicie, to ją przyniosę, a ona weźmie Pana Jezusa w swoje niewinne rączki, będzie dobrze trzymać, a ja ją zaniosę do zakrystyi. Nikt prócz niej nie dotknie się kielicha, a Pan Jezus będzie tej nocy na bezpiecznem miejscu.

Głośno zawołali wszyscy:

— Niech żyje mała Marysia! niech żyje! Ojciec przyniósł dziecinę. Wszyscy upadli na kolana przed ołtarzem. Zakrystyan otworzył drzwiczki tabernakulum, a wszyscy się modlili, aby drogi ciężar nie wypadł z rąk dziecięcia. Następnie wyjęła Marysia kielich z tabernakulum i mocno do serca przytuliła, i tak na ręku ojca swego zaniosła P. Jezusa do zakrystyi. Skoro tego aktu świętego dopełniła, wszyscy ją błogosławili, że w swej niewinności nie bała się dotknąć cyboryum.

(Eichsf. Volksb. 1886, n. 14).

Cześć N. Sakramentu nagrodzona.

Herman Kohen, żyd z Hamburga, zyskał sobie roku 1847 w Paryżu wielką sławę,

jako świetny skrzypek. Jednego wieczora w maju, podjął się z grzeczności dla pewnego księcia, dyrygować chórem śpiewaków na majowem nabożeństwie.

Chociaż w nabożeństwie wiernych najmniejszego nie brał udziału, a nawet podczas kazania rozmawiał jak w domu, to jednak błogosławieństwo Najśw. Sakramentu wywarło na niego niewysłowione i nieprzeparte wrażenie, tak, że mimowoli upadł na kolana. Od tego czasu często bywał na błogosławieństwie, chodził wreszcie i na Mszę św. i nie mógł się prawie od Najśw. Sakramentu odłączyć, gdyż tak błogie i dotychczas nieznane mu uczucia napełniały jego serce do tego stopnia, że żydowska nienawiść ku Chrystusowi ustąpiła miejsca pragnieniu zostania katolikiem. I im częściej był obecny na Mszy św. albo na błogosławieństwie, tem silniejsze było pragnienie przejścia na łono Kościoła Chrystusowego. Jakoż już 28 sierpnia tegoż roku, w uroczystość św. Augustyna, otrzymał Chrzest święty.

Dostąpiwszy tej łaski, zapragnął jak najprędzej przyjąć Komunię świętą. I to pragnienie zaspokoił Pan Bóg, dnia 8-go września. W kilka miesięcy potem modlił się wieczorem w kościele Karmelitanek przed Najśw. Sakramentem i tak był zatopiony w modlitwie, że mu trzeba było przypo-

mnieć, że już późna godzina i czas już wyjść z kościoła. Lecz on chciał jeszcze pozostać, gdyż ujrzał jeszcze kilka osób modlących się; ale mu powiedziano, że to są same kobiety, które przy zamkniętych drzwiach przez całą noc odbywać będą adoracyę N. Sakramentu. To mu się tak podobało, że zaraz nazajutrz rozmówił się z wieloma mężczyznami, których w różnych kościołach Paryża na modlitwie zastał, w celu założenia Towarzystwa mężczyzn ku adoracyi Najśw. Sakramentu.

Już 6 grudnia 1848 spędzili członkowie tego stowarzyszenia pierwszą noc przed wystawionym Najśw. Sakramentem, a odtąd stowarzyszenie to po całej Francyi się rozpowszechniło. Gdy 6 października 1849 Herman Kohen przywdział habit surowego zakonu Karmelitów bosych, otrzymał przydomek „od Najśw. Sakramentu“ i uprosił sobie, by mu dano celkę tuż przy Najśw. Sakramencie.

Daremnie używała matka jego wszelkich sposobów, by go do porzucenia klasztoru i wiary chrześcijańskiej przywieść. I owszem, nawet kapłanem został — pierwsze jego kazanie było o częstej Komunii; nikt nie mówił lepiej o Najśw. Sakramencie, jak on; boso przebiegał różne kraje, wszędzie szerząc cześć Najśw. Sakramentu. Gdy siostra jego ujrzała, jak Herman niósł Najśw. Sa-

krament pod baldachimem pełen pokory i nabożeństwa, i jej serce się zmieniło — i ona została katoliczką.

(Märk. Kirchb. 1866. Keller).

Święty Wacław.

Cóż mamy powiedzieć o świętym Wacławie, królu czeskim? Ten święty król nie zadowalniał się tem, że codzień kilka Mszy świętych z najgorętszą pobożnością, klęcząc na kamiennej posadzce kościelnej słuchał, i do Mszy św. sam służył, ale zdobił ołtarze najdroższemi klejnotami swej korony, i najkosztowniejszemi materyami, będącemi w pałacu.

Miał także zwyczaj, własnoręcznie Hostye do Mszy św. przeznaczone przysposabiać. Nawet pszenicę na Hostye sam troskliwie żął. Widziano go, jak sam pole uprawiał, pszenicę siał i żął; następnie mełł i przesiewał; z najprzedniejszej mąki robił ciasto, które potem wypiekał i dawał kapłanom z najgłębszą pokorą.

Jakże godne były te ręce, by berło królewskie nosiły!

(Huguet. Andacht. z. h. Euch. Keller.).

„Wielki Boże! wszak to Jezus!“

Jenerał baron Geramb, później Trapista, opowiada w swoim dzienniku następujące zdarzenie:

Napoleon I, ów bicz Boży, posuwał się na czele swego zwycięzkiego wojska przez dymiące zgliszcza do Włoch pod główne miasto X. Monarcha tam rezydujący opuścił je, gdyż ocalenie i pokój ludu więcej dlań miały znaczenia, jak sława beznadziejnej obrony swej rezydencyi. Na drugi dzień i ja opuściłem rezydencyę na czele korpusu, którym dowodziłem. Marsz trwał całą noc. Gdy dnieć zaczęło, kazałem odpocząć i rozmawiałem z oficerami. Wtem zdało mi się, jak gdybym widział kilka osób idących ku mnie i jakobym słyszał głos dzwonka. Zbliżyłem się i spostrzegłem nędznie odzianego, czcigodnego kapłana z siwemi włosami. Dwaj wieśniacy szli przed nim z odkrytą głową, pomimo trzaskającego mrozu. Jeden z nich dzwonił od czasu do czasu, a drugi niósł latarnię. — Wielki Boże! zawołałem — wszak to Jezus!

Daremnie silibym się opisać, jakie uczucia na ten widok w mem sercu powstały na widok Zbawiciela, którego tak dawno już zaniedbałem, o którym tak niegodnie zapomniałem.

Był to Jezus, którego niesiono do cho-

rego, Jezus, którego Najświętsze Imię na łonie matki uczyłem się wymawiać, Jezus, którego w mem dzieciństwie tak często i serdecznie wzywałem.

Zsiadam z konia, rzucam się na kolana: oddaję cześć Wszechmocnemu, Bogu i Zbawicielowi. Następnie zbliżam się do kapłana i mówię doń:

— Proszę Waszej Wielebności pozwolić nam towarzyszyć Najśw. Sakramentowi. Ruchy, jakie każę wojsku wykonać, niech waszą Wielebność nie dziwią; będą one wykonane, aby Jezusowi, królowi królów, cześć należną oddać.

Wydałem rozkazy i natychmiast czcigodny kapłan, co niósł Najwyższego, otoczony oficerami, w towarzystwie całego regimentu udał się do pobliskiej wioski.

Położenie moje nie da się opisać. Jechałem przy boku Jezusa, mego Boga i Zbawiciela, który mnie tylu dobrodziejstwami obsypał, którego łaskawości jednak tak często nadużyłem. Wspomniałem sobie na szczęśliwe dni mego dzieciństwa, które zanadto szybko minęły. Jezus był wtenczas głównym przedmiotem mojej miłości; książka, która mi opowiadała o Jezusie, była mą książką ulubioną; Imię Jezus wymawiać, było moją najwyższą rozkoszą. Każdy ubogi, każdy nieszczęśliwy, każda istota cierpiąca przypominała mi Jezusa. I przed mą duszą sta-

nął obraz owego cudownego dnia, w którym ze świecą w ręku, w świątecznej szacie, prowadzony od mego cnotliwego nauczyciela, wszedłem do kościoła i po pierwszy raz, z sercem pełnem świętego uszanowania i miłości, mego Boga przyjąłem.

Ach, niestety! dzień ów przeminął jak sen! I gdym wzrok mój obrócił na siebie, zapytałem się z trwogą, co się to stało z owemi czasy niewinności i szczęścia, co się stało z pięknem dziełem Bożem, z duszą na Jego obraz stworzoną? Czemem miał zostać? A czem zostałem!

Łzy mi się z oczu puściły.

Tymczasem szliśmy w milczeniu poważnem; nie było słychać nic prócz stąpania koni i odgłosu trąbki. Skorośmy przybyli do wsi, wstąpiłem z kapłanem do domu dość okazałego. Na łożu boleści leżał starzec, domownicy klęczeli naokoło niego.

Starcem tym był dawny oficer, który sobie na cześć i sławę zasłużył, a teraz pełen nadziei i miłości wyglądał przyjścia swego Zbawcy.

Na nas spojrzał wzrokiem pełnym zdziwienia i wdzięczności.

— Mój miły bracie, rzekł doń kapłan, poważne i wspaniałe jest wprawdzie towarzystwo wojskowe, w którem jak widzisz, Pan wszelkiej wielkości i majestatu przychodzi, aby ci się udzielić, ale przecież nie

jest to Pan zastępów, którego ci przynoszę, lecz Bóg pokoju. Rzuć się więc, kochany bracie w objęcia tego Boga miłości, ofiaruj Mu zdobyte wawrzyny i cierpienia i mów doń z głębi duszy: Moja nadzieja, o Panie, polega na Twem krzyżu. Oddaję życie me w Twe ręce i zdaję się zupełnie na Twoją wolę. Jeśli mi zaś zechcesz jeszcze kilka dni życia na tym łez padole użyczyć, to Ci je wyłącznie, najdroższy mój Panie, poświęcę, abym mógł nagrodzić te dni, które z dala od Ciebie przeżyłem!

Rzekł, podał choremu Zbawiciela i Boga pokoju i miłości. Gdy ta wzniosła ceremonia się skończyła, rzekł kapłan do konającego:

— Teraz podziękuj, miły bracie, tym panom, a jeśli ci siły pozwalają, powiedz im kilka słów ku zbudowaniu.

Chory spojrzał na nas, wzniósł oczy ku niebu, przycisnął krucyfiks do serca, pocałował P. Jezusa i rzekł często przerywanym głosem:

— Moi panowie! w owej strasznej chwili, kiedy namiętności milczą, kiedy wszelka sława w nic się rozpada, a człowiek głęboko odczuwa, że wszystko jest próżnością, oprócz miłować Boga i Jemu służyć, skłoniło marszałka Luksemburga, jednego z największych wodzów, jakich Francya posiadała, bolesne przeświadczenie, że le-

piej i gorliwiej służył królowi, jak Bogu, do wyrzeczenia tych pamiętnych słów: Dziś wolałbym zamiast chwały tylu zwycięztw, które mi przed tronem Sędziego wszystkich królów i rycerzy nic nie pomogą, zasługę, żem ubogiemu dla miłości Jezusa podał szklankę wody.

Te słowa wywarły na nas głębokie wrażenie. Ale, ach, nie minęło dwa tygodnie, a już o wszystkiem zapomniałem; na nowo obrażałem wieczną Dobroć, na nowo szydziłem z miłości Tego, który swoją Krew i swe życie za mnie oddał.

Jednak sumienie, ten świadek, którego zawsze przy sobie nosimy, wyrzucało mi moją niewdzięczność ku Bogu. Strach jakiś owładnął mą duszą, zewsząd cisnęły się do wyobraźni mej ponure obrazy. Gdym leżał na łóżku, zdawało mi się, jak gdyby blada śmierć szła do mnie; dokładnie liczyłem jej kroki, widziałem, jak się nademną schylała i na mnie przy blasku swej pochodni spoglądała, — czułem jej rękę zimną jak lód, woniałem jej zapach śmiertelny, słyszałem łoskot jej kości — włosy mi stawały na głowie. Zdawało mi się, że jakby na nitce zawisłem nad straszną przepaścią. Widziałem ów ogień, co go tchnienie Wszechmocnego w swem gniewie wznieciło, i myślałem, że już wpadłem między potępionych,

a na mem czole krwawemi głoskami napisane były słowa: Bez nadziei!

Zdawało mi się, jak gdybym co chwila słyszał anioła śmierci, wołającego: Na wieki goreć będziesz! a echo piekła powtarzało to wołanie!

Na pół martwy z przerażenia, wzniósłem me ręce ku niebu i wołałem w rozpaczy: A więc utraciłem Boga mego; a więc Go nigdy nie obaczę! Nigdy już nie obaczę Tego, który mi się pozwolił słodkiem mianem Ojca nazywać! Nigdy więc nie ujrzę Królowej Nieba, Maryi, ukochanej Matki? nigdy nie mam się cieszyć szczęściem Jej obecności, nigdy niebiańskiej Jej piękności, Jej słodkiego oblicza oglądać i podziwiać? Na wieki mam być pozbawiony uroku Jej Boskiego Syna, który tak długo, ach, tak długo... Łkanie nie dało mi dalej mówić, gdym pomyślał o Tym, którego Jmienia wymówić nie śmiałem!

Lecz któż to jest, co przychodzi, aby głęboko upadłego, zbrodniami pokrytego przycisnąć do serca wśród tysiącznych dowodów miłości i tkliwości? Któż ty jesteś? daj mi rysy swej twarzy oglądać! — Wielki Boże! wszak to Jezus!

Tak, to był Jezus! Jezus, ten nieporównany przyjaciel, co zawsze zostaje ten sam, a który nas, gdy my Go porzucamy, nie porzuca, lecz naprzeciwko nas wychodzi i

szuka zgubionych. Był to Jezus, był to słodki głos najlepszego Ojca, który słyszałem, był to Jezus dobrotliwy, który mi jeszcze Serce swe ofiarował, bym w niem złożył swe łzy, mą boleść, moją skruchę. Był to Jezus, za którym odtąd na wieki iść pragnę.

O Jezu! o mój Panie i Oblubieńcze mej duszy! Jeślibym o Tobie miał zapomnieć, niech zapomnianą będzie prawica moja! niech przyschnie język do podniebienia mego, jeśli do ostatniego tchu życia mego nie będziesz jedynym przedmiotem mej radości i pieśni pochwalnej!

(Eichsf. Volksb. 1884, n. 3. Keller.).

Rys z życia biskupa Mermilloda.

Sławny pisarz kościelny Gaume (Gom) opowiada, co następuje:

Znacie wszyscy Najprzewielebniejszego księcia Mermilloda, owego świątobliwego biskupa i wymownego apostoła. Tenże opowiadał, że będąc jeszcze wikarym w Genewie, nawrócił protestantkę, ani nie myśląc o tem, jedynie dlatego, że należytym sposobem uklęknął przed Najśw. Sakramentem. Miał bowiem zwyczaj, codzień wieczór przed spoczynkiem odwiedzić Najśw. Sakrament, lampę zapalić, obaczyć czy drzwi kościoła zamknięte i czy się kto w kościele nie

ukrył. Obawiano się bowiem jakiego świętokradztwa. Gdy to wszystko załatwił, klęknął przed Najśw. Sakramentem, modlił się przez niejaki czas, następnie aż do ziemi uczynił głęboki pokłon, pocałował ziemię na znak szczególniejszej czci dla Najśw. Sakramentu i powracał do domu.

Jednego tedy wieczora, gdy sądził że sam jest w kościele, odprawił swe nabożeństwo i już wstał, by odejść do domu. Wtem usłyszał szelest — drzwiczki konfesyonału się otwarły i osoba z wyższego towarzystwa wyszła z niego.

— Co pani tu robi o tym czasie? — zapytał Mermillod.

— Jestem protestantką, jak ksiądz wiesz, odrzekła pani. Chodziłam na kazania, które ksiądz miałeś w czasie postu o rzeczywistej obecności Jezusa Chrystusa w Sakramencie Ołtarza. Dowody księdza dobrodzieja przekonały mnie o prawdzie tej nauki. Tylko jedna wątpliwość mi pozostała — proszę wybaczyć że ją powiem — oto: Czy on też sam w to wierzy, co mówi? Chciałam tedy obaczyć, czy ksiądz dobrodziej w skrytości przed Najświętszym Sakramentem tak się zachowuje jak człowiek, który wierzy w obecność Chrystusa Pana i miałam silne postanowienie nawrócić się, jeśli zachowanie się księdza dobrodzieja będzie zgodne z jego

nauką. Przyszłam — obaczyłam — wierzę! Proszę mnie wysłuchać spowiedzi! —

Dziś jest ta dama jedną z najgorliwszych katoliczek w Genewie.

(Frb. Kirchbl. 1879 n. 18.).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Władysław Długołęcki. T. J.

L. 2296.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.

(L. S.) † *A. Kard. Dunajewski*

Książę-Biskup.

Kraków 1 Czerwca 1892.

W Krakowie, w drukarni „Czasu" pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Myciolskiego T. J.

III. Ciało i Krew Pańska.

B. Cześć Najśw. Sakramentu.

(Dokończenie).

Protestant nawrócony.

W pewnem mieście nad Renem, gdzie się przez niejaki czas zatrzymałem, poznałem malarza, którego dość często odwiedzałem. Ujrzałem go w kościele i podziwiałem jego gorące nabożeństwo do Najśw. Sakramentu, tem bardziej, gdym się dowiedział, że on był dawniej protestantem. Prosiłem go tedy, aby mi opowiedział historyę powrotu swego do Kościoła katolickiego, co tenże chętnie uczynił.

— Mój ojciec — mówił — był urzędnikiem w Dreznie i żył bardzo skromnie. Niestety już wcześnie utraciłem ojca i matkę, i odziedziczyłem bardzo mały kapitalik, którym mój brat o wiele starszy odemnie, z bo-

gatą panią ożeniony, zarządzał jako opiekun. Oddał mnie do litografa, najął mi mały pokoik na poddaszu, dawał mi pieniędzy ile razy potrzebowałem — zresztą nie troszczył się o mnie zupełnie. W tem opuszczeniu wiele chwil smutnych przeżyłem.

Gdy mi bardzo ciężko było na sercu, szedłem do katolickiego kościoła i klękałem na stopniach ołtarza; bo choć nigdy z nikim nie mówiłem o tem, to jednak wiedziałem, że Bóg tu w całkiem inny sposób był obecny jak w naszych protestanckich kościołach, do których co niedziela chodziłem na kazanie, gdzie mnie jednakże nic nie zatrzymywało, skoro się kazanie skończyło i śpiew umilknął.

Jednego dnia oświadczył mi brat, dając mi kilka talarów, że mój kapitał już wyczerpany, że nie jest w stanie nadal się mną opiekować. Jak grom z jasnego nieba uderzyły mnie te słowa; zatamowałem cisnące się do oczu łzy i smutny i stroskany udałem się do mej komórki.

Jadłem tylko suchy chleb, a jednak gotówka moja wkrótce znikła, tak że jednego dnia miałem tylko tyle pieniędzy, żem sobie mógł kilka bułek kupić. Nie mogłem się zdobyć na to, abym żebrał u brata, który się ze mną tak bez serca obszedł — dlatego gotów byłem na śmierć głodową. Z boleścią w sercu pospieszyłem do katolickiego kościoła, ukląkłem przed ołtarzem i opowia-

dałem Panu Bogu, którego obecność czułem, całe moje nieszczęście i moje cierpienia.

Nagle błogi pokój zawitał do serca mego; poszedłem do pracy, lecz zaledwie zacząłem, kazał mnie pryncypał zawołać i oświadczył, że jest bardzo z mej pracy zadowolony i dlatego wyznacza mi zapłatę tygodniową. Dziwna rzecz, że nigdy nie myślałem zostać katolikiem, choć teraz jeszcze gorliwiej niż przedtem modliłem się w katolickim kościele.

Mając lat 18, tylem sobie nazbierał, że się mogłem udać na akademię w Monachium. Tam siedziałem raz wieczór w Listopadzie przy szklance piwa. Nagle usłyszałem głos dzwonka i ujrzałem, jak kapłan niósł N. Sakrament do chorego. Kiedyindziej wiele ludzi towarzyszyło kapłanowi cześć oddając P. Jezusowi, tym jednak razem nikogo nie widziałem, śnieg bowiem z deszczem odstraszał każdego. Więc pomyślałem sobie: Jeśli żaden katolik nie idzie, to ja Panu tę cześć oddam. Zostawiłem piwo, i z odkrytą głową postępowałem za kapłanem aż do pewnej wązkiej ulicy, gdzie tenże nim wstąpił do domu chorego, obrócił się, aby według zwyczaju udzielić błogosławieństwa.

Może zdziwiony że mnie samego przed sobą ujrzał, stanął na chwilę trzymając Najśw. Sakrament. Wtedy to zostałem do głębi serca wzruszony, spotkawszy się w ciemnej nocy nagle z mym Panem oko w oko; gło-

śno łkając padłem na kolana, a gdym wstał i samotnym się ujrzałem, postanowiłem mocno zostać katolikiem.

Już nazajutrz poszedłem do kapłana i prosiłem go o naukę.

(Sendbote des H. Herz. Jesu 1882. Nro. 11).

Cezar z Bus.

Cezar z Bus był synem bogatego szlachcica i służył w francuskiem wojsku jako oficer. Chociaż oddawał się namiętnie grze i życie nieporządne prowadził, — nie zaniedbywał jednak modlitwy. Z bojaźni aby nie był spostrzeżony, modlił się w kąciku kościoła, swego miasta rodzinnego Cavillon, właśnie w chwili, gdy kapłan miał Najśw. Sakrament nieść do chorego.

Daremnie czekał kapłan na zakrystyana lub na chłopca do Mszy służącego. Oglądając się na wszystkie strony spostrzegł wreszcie oficera modlącego się. Pan Bóg podał mu myśl, aby go prosił o przysługę. Dał więc świecę gorejącą oficerowi i rzekł:

— Idź pan naprzód; dziś pan będziesz służył Królowi chwały który tu jest ukryty.

Z początku obraził się Cezar takiem żądaniem. Właśnie miał na sobie najpiękniejszy swój uniform, szablę przy boku i kapelusz z pióropuszem w ręku. Co powiedzą, pomy-

ślał sobie, w mieście? co na odwachu, kędy muszę przechodzić? Co sobie pomyśli jenerał, co moi towarzysze, jeśli ujrzą że spełniam obowiązki kościelnego? czy nie będą wszyscy szydzić i kpić ze mnie? Duma jego się oburzała — ale łaska zwyciężyła.

Nagle odważył się, czyn ten w owych okolicznościach heroiczny spełnić, by cześć oddać Królowi nieba i zadośćuczynić za zniewagi Mu wyrządzone. Pomyślał sobie, że albo wieczne zbawienie, albo potępienie może być zawisłe od tej próby — że nawet królowie i książęta mieli sobie za chlubę, jeźli mogli Najśw. Sakramentowi z gorejącą świecą towarzyszyć. Podniósłszy tedy wzrok ku niebu, wziął w rękę świecę, głęboko się skłonił przed N. Sakramentem i spuściwszy oczy ku ziemi szedł przed kapłanem.

Stało się to, czego się obawiał. Całe miasto mówiło o tem, koledzy szydzili zeń, ale przyszły kierunek życia Cezara był rozstrzygnięty; odtąd tem odważniej oddał się wszelkim ćwiczeniom pobożności. Jeszcze jako oficer wiódł życie nader cnotliwe, bardzo często przystępował do Sakramentów św., służył chorym w szpitalu i już za życia nadzwyczajnemi łaskami Bożemi był obdarzony, a osobliwie takim darem mądrości, że książęta i biskupi rady jego zasięgali.

Wreszcie został nawet kapłanem i założycielem „braci chrześcijańskiej nauki“.

Po śmierci jego błogosławionej r. 1607 ciało jego długo było niezepsute.

(Ott, Euchar. s. 403. Keller).

C. Pierwsza Komunia.

Rodzice nawróceni.

Pierwsza Komunia godnie przyjęta, jest zadatkiem zbawienia dla dziecka a nieraz i dla rodziców.

W czasie rewolucyi francuzkiej, ukrywał się pewien świątobliwy kapłan w Paryżu u zacnej rodziny, złożonej z ojca, matki i syna: małego Ludwika, którego przysposabiał do pierwszej Komunii. Naprzeciwko przy tej samej ulicy, żyło małżeństwo znane ze swej nienawiści ku katolickiej religii. Oboje: mąż i żona donosili do władzy, jeżli jakiego kapłana odkryli i w tem podłem rzemiośle chluby swej szukali. Syn ich Filip, prawie w tym samym wieku co Ludwik, bawił się z tymże codzień na ulicy. Ich zabawy acz niewinne, stawały się z czasem zanadto płoche i hałaśliwe.

Skoro czas pierwszej Komunii się zbliżał, napomniał kapłan Ludwika, aby się w zabawach nieco miarkował i był grzeczniejszym.

— Moje dziecię, rzekł kapłan, przystąpisz wkrótce do Komunii świętej; należałoby zatem, abyś był skromny jak anioł. Unikaj więc w twych zabawach tej a tej gry, taka gra nie przystoi dla dziecka, które ma przystąpić do pierwszej Komunii.

Ludwik obiecał poprawę; gdy go więc nazajutrz Filip namawiał do gry zabronionej, odrzekł:

— Nie, ja już w tę grę bawić się nie będę, bawmy się inaczej.

— A to dlaczego? rzekł Filip nieco złośliwie. — Czy ty może masz przystąpić do pierwszej Komunii?

Ludwik nie spodziewał się takiego pytania; zarumienił się i nie rzekł ani słówka.

— Jakiś ty szczęśliwy, mówił dalej Filip, który się wszystkiego domyślił, ty możesz przystąpić do pierwszej Komunii, a ja ani o tem pomyśleć nie mogę, moi rodzice nigdyby na to nie pozwolili — oni niecierpią księży.

Ludwik wróciwszy do domu, poszedł prosto do kapłana, i sądząc że go wydał, opowiedział mu ze łzami wszystko co zaszło.

— Moje dziecko — rzekł kapłan, nie bój się, a ponieważ twój towarzysz pragnie także dostąpić tego szczęścia, zaproś go do siebie na katechizm.

Od następnego dnia Ludwik i Filip słuchali z uwagą nauki kapłana. Filip obda-

rzony rzadkiemi zdolnościami, tak w niej zasmakował, że wkrótce doskonale znał prawdy wiary świętej i najusilniej błagał o pozwolenie przystąpienia do pierwszej Komunii.

— A cóżby na to powiedzieli twoi rodzice? — zapytał kapłan.

— Moi rodzice nic nie będą wiedzieli, odrzekł Filip, dlatego nie będą mogli mi przeszkodzić.

— Ja ci nie pozwolę przystąpić do Komunii — odpowiedział kapłan — tylko pod warunkiem, że poprosisz o błogosławieństwo twoich drogich rodziców, abyś mógł tem godniej przyjąć Pana Jezusa do serca swego.

Ten warunek przygnębił Filipa, gdyż mu się zdawał niemożliwym; ale kapłan powtórzył mu, iż powinien spełnić ten czyn odważny, albo zrzec się szczęścia pierwszej Komunii.

Działo się to na trzy dni przed Komunią. Filip spędził je w trwodze i niepokoju; nie mógł się odważyć na ten krok tak śmiały i niebezpieczny.

Wreszcie w sam dzień pierwszej Komunii przepędziwszy noc poprzednią we łzach i modlitwie do Najśw. Panny, idzie raniutko do rodziców i rzucając się przed nimi na kolana mówi ze łzami:

— Mój drogi ojcze, moja kochana matko, przychodzę was prosić o błogosławieństwo.

Rodzice osłupieli z podziwu.

— Co się stało? co to ma znaczyć? zapytali.

— Moi drodzy rodzice — odrzekł Filip z uszanowaniem, — proszę was byście mnie pobłogosławili, gdyż będę miał szczęście przystąpić do pierwszej Komunii.

Na te słowa równie wzruszające jak niespodziane rodzice zdumieni spoglądali w milczeniu na syna przed nimi klęczącego; choć nie mieli żadnej religii, jednak zdawało im się, że widzą przed sobą anioła z nieba. Nigdy Filip nie wydawał im się tak miłym i pięknym. Serca ich się rozczuliły, oczy napełniły się łzami. Matka przerywając milczenie, rzekła:

— Drogie dziecię, co ty mówisz? Kogo ty prosisz o błogosławieństwo? Ah! tak, niech cię Bóg błogosławi, abyś był szczęśliwszym jak my!

Ze łzami w oczach uściskali swe dziecko, mówiąc, żeby to było dla nich największem szczęściem, gdyby mogli być świadkami tej uroczystości.

Filip nie posiadając się z radości, postarał się zaraz dla nich o wstęp do tajemnej kaplicy, gdzie byli obecni przy pierwszej Komunii tych dwojga dzieci, a nazajutrz sami po spowiedzi przystąpili do stołu Pańskiego.

Jakaż to radość dla tego kapłana, który się stał narzędziem tego cudu łaski? Tym

kapłanem był zacny biskup, ktorego rewolucya wygnała ze stolicy biskupiej, był nim dawny biskup z Uzes. (Schouppe III. 199).

Napoleon I.

Cesarz Napoleon I. stał na szczycie swej potęgi i chwały. Jednego dnia, będąc w otoczeniu swych jenerałów, słyszał, że sobie przypominają nawzajem najważniejsze chwile życia. Milcząc przysłuchiwał im się na chwilę, a następnie przerywając im nagle zapytał:

— Moi panowie! A wiecie też który dzień jest najpiękniejszy w mojem życiu?

Odpowiedzi różnie wypadły, gdyż w życiu Napoleona było wiele dni w których się okrył sławą. Jedni wspominali bitwę pod Marengo, drudzy pod Austerlic; ci mówili o zwycięztwach w Afryce, tamci pod Wagram, inni znowu twierdzili, że dzień koronacyi na cesarza Francuzów był najpiękniejszym dniem w jego życiu.

— Nikt niezgadł moi panowie, rzekł cesarz; najpiękniejszym dniem w mojem życiu jest dzień pierwszej mojej Komunii!

Odpowiedź tę przyjęto ogólnie uśmiechem niedowierzania. Tylko jeden z jenerałów zamyślił się głęboko i zdawał się być bardzo wzruszony; był to jenerał Drouot (Druo). Napoleon poklepał go po ramieniu i rzekł:

— Bardzo dobrze! Drouot; bardzo dobrze

mój dzielny żołnierzu! Szczęśliwym się czuję, żeś mnie zrozumiał.

I ten mąż, który za dni niesłychanego szczęścia swego, będąc na szczycie swej wielkości i potęgi nie zapomniał o dniu pierwszej swej Komunii, i owszem uważał go za najpiękniejszy i najszczęśliwszy w życiu, nie zapomniał o nim ani za dni upokorzenia i niedoli. Gdy na wygnaniu na wyspie św. Heleny poczuł, że ostatnia chwila jego się zbliża, wspomniał sobie na Boga dziecinnych lat swoich i błagał Go, aby On, co mu błogosławił w dzień pierwszej Komunii, błogosławił mu także w godzinę śmierci. Przed swem skonaniem zgromadził wkoło siebie wszystkich towarzyszy swego wygnania, oświadczył wobec nich, że chce umrzeć na łonie rzymsko-katolickiej religii i przyjął następnie w ich obecności z pobożnością pełną wiary, Sakramenta święte, mieniąc się nieskończenie szczęśliwym, że Bóg w swej miłości dał mu zbawienne nauki przeciwności i czas odpowiedni, aby mógł wglądnąć w siebie i czynić pokutę za swe wykroczenia.

Opowiadają wzruszające rysy odżyłej w nim wiary i rozbudzonej pobożności z czasu jego wygnania. Do nich zaliczyć można następujący:

W pewnem miejscu kąpielowem w Sabaudyi, wezwano francuzkiego biskupa do

umierającej. Była to córka jednego ze sławnych jenerałów za czasów Napoleona I. Umierająca wyznawała tak piękne zasady religijne, że biskup do łez poruszony został.

— Kto ci te zasady wpoił? — zapytał biskup.

— Po Bogu — odrzekła chora — zawdzięczam je cesarzowi Napoleonowi. Bawiłam z moją rodziną na wyspie św. Heleny. Jednego dnia — miałam wtedy dopiero dziesięć lat — rzekł cesarz do mnie: Moje dziecko! W twoim stanie i w twoich stosunkach grozić ci będą później w świecie wielkie niebezpieczeństwa; czyż podołasz im się oprzeć jeżli się nie uzbroisz religią? Lecz kto cię ma w niej pouczyć? Ojciec twój niema żadnej religii, a twoja matka tem mniej. Więc ich obowiązek ja na siebie przyjmę; przyjdź jutro do mnie, ja ci udzielę pierwszej lekcyi. Jakoż dwa razy na tydzień chodziłam z katechizmem do cesarza. Gdym miała lat trzynaście rzekł cesarz:

— No, moje dziecko, jesteś jak mi się zdaje dostatecznie pouczona; teraz jest czas, szczerze o pierwszej Komunii pomyśleć. Postaram się o kapłana z Francyi, który ciebie do Komunii a mnie do śmierci przygotuje. I tak uczynił.

I ten rys godzien wspomnienia:

Pewnego dnia, gdy na czele swych wojsk zwycięzkich ciągnął przez Włochy, obaczył

zakonnika. Spojrzał nań, przypatrzył mu się dobrze, zbliżył się doń ze czcią i uradowany zawołał ku zdziwieniu otoczenia swego i kapłana:

— Ojcze, poznaję cię! Tyś mnie do pierwszej Komunii przygotował, do tego najpiękniejszego dnia w mem życiu!

Chwycił go za rękę i uściskał, a na dowód wdzięczności dał mu dożywotnią pensyę.

(Wackers Gesch. f. Neukom).

Pamiątka pierwszej Komunii.

W jednej wiosce francuzkiej żył pensyonowany kapitan, prawdziwy typ (wzór) żołnierza, prawy, szlachetny, wierny obowiązkom. Do tych przymiotów przyłączyła się żywa i szczera wiara. Jak najpokorniejsze i najposłuszniejsze dziecko poddawał się wszystkim przepisom Kościoła.

— Kościół jest moją matką — zwykł był mawiać — on się ze mną jak z dzieckiem obchodzi; więc go muszę kochać i jemu być posłusznym.

Najbardziej jednak zbudowała wszystkich jego pamięć, jaką zachował o pierwszej Komunii. W sali jadalnej, w której od czasu do czasu proboszcza i kilku przyjaciół z sąsiedztwa przyjmował, wisiał wielki krucyfiks a po obu stronach tegoż dwie ramy; w jedną

z nich był oprawiony patent na kapitana, a w drugą pamiątka pierwszej Komunii.

— To jest, mówił wskazując na patent, zakład wierności, jaką winienem memu królowi — a następnie wskazując na pamiątkę pierwszej Komunii, dodawał:

Ta wyszarzała, dymem poczerniona, potem przesiąkła karta wszędzie mi towarzyszyła. Nosiłem ją na piersiach w obozie, w kasarni dzień i noc i w obliczu nieprzyjaciela. Nieraz silne pokusy na mnie nacierały, myśl o grzechu w różnych zwodniczych kształtach mi się nasuwała; już byłem bliski upadku. W tak niebezpiecznych chwilach natychmiast kładłem ręce na piersi i uczułem tam dobroczynny obraz, który mi najpiękniejszy dzień w życiu przypominał. Złe myśli rozpierzchły się, pobożne postanowienia na ich miejsce wstąpiły i znowu z tym paszportem znajdowałem się na drodze do krainy szczęśliwej wieczności.

O tym obrazie nie zapomniał nawet przed śmiercią; wyraził życzenie, aby mu go w trumnę na serce położono jako ostatnie świadectwo wiary na ziemi i nadziei po za grobem. (Leoblatt, n. 16, 1882).

Pouczająca pierwsza Komunia.

— Jak się masz Anno? — pytał kapłan dwunastoletnią dziewczynkę, której suchoty

czytać można było na twarzy. Miasto ojca miała ojczyma, a od dwu lat miasto matki, macochę. Macocha nigdy się nie modliła, ale zato zawsze była zła. Biedne dziecko miało wiele pracy, a mało co jeść, nie miała nigdy spokojnego, ani wesołego dnia. Nieraz gorzko płakała mówiąc:

— Matko, chodź i weź mnie do siebie!

Anna dostała suchot i leżała na śmiertelnej pościeli. Już dwa miesiące minęły jak się przeniosła z ojczymem i macochą do X. ale nikt o niej nie wiedział, i tylko Aniołowi Stróżowi trzeba tę łaskę przypisać, że razu jednego, jakby przypadkiem, kapłan wszedł w ten dom, gdzie ona mieszkała, i z radością i przestrachem biedną dziewczynę tam zastał.

— Anno, jakże się masz? — zapytał.

— Dobrze, proszę księdza, dobrze — rzekła uprzejmie słabym głosem, z trudnością tylko podnosząc rękę, by ją podać kapłanowi. Trzeba ją było na śmierć przygotować; wyspowiadała się, a po krótkiej nauce o ostatniem namaszczeniu i ten Sakrament przyjęła. Było to 25 Stycznia.

Anna znowu odżyła; smutek ustąpił, cieszyła się na niebo. Nazajutrz kapłan znowu do niej przyszedł; o niejedno miała się go jeszcze zapytać o Zbawicielu i o Aniołach; naraz rzekła:

— Proszę księdza, czy mogę przyjąć Ko-

munię świętą nim umrę? Tak bym bardzo tego pragnęła.

Dlaczegoż byś tak bardzo pragnęła? — zapytał kapłan.

— Bo moja matka tak uczyniła, nim umarła, i powiedziała mi, że to tak pięknie, że to ukochany Zbawiciel.

Wzruszony tą dziecinną prostotą, sądził, że nie należy dłużej zwlekać. Ośm dni trwało przygotowanie, a w uroczystość Matki Boskiej Gromnicznej, miała Anna przyjąć pierwszą Komunię św.

— Chciałbym był — opowiada kapłan dalej — wszystkie dzieci do tej chatki zaprowadzić, do tego łoża słomianego, do tego dziecka tak od ludzi zaniedbanego a od Boga tak hojnie łaskami obdarzonego, aby się nauczyły, jak się mają przygotować do pierwszej Komunii św.

Co dzień wykładał jej kapłan naukę o Najśw. Sakramencie.

— Anno, czy modlisz ty się pobożnie? — zapytał.

Tak jest, modlę się cały dzień, jeżli boleści nie są zbyt wielkie, ale modlę się zawsze tosamo, zresztą nic.

— Cóż ty się modlisz?

— Aby mi Pan Bóg jeszcze do czwartku życia użyczył.

We środę wieczór zamieciono izdebkę czysto i schludnie, posypano podłogę piaskiem;

krucyfiks i świece przyniesiono od sąsiada, ale w ostatniej chwili przypomnieli sobie o białej sukience, a to ich zakłopotało, bo nikt o niej nie myślał, a w tej nędznej sukience łatanej jakoś nie wypadało przyjmować Pana Jezusa. Nauczycielka wpadła na dobrą myśl: zawołała kilka dziewczątek, które także do pierwszej Komunii miały przystąpić, a te uszyły sukienkę białą. Wreszcie zawitał poranek czwartkowy, uroczystość Matki Boskiej Gromnicznej.

X. jest miastem protestanckiem. Kapłan niesie Wiatyk do chorego bez światła, bez służącego, bez komży i stuły. Ale tym razem zrobił kapłan wyjątek. Najpiękniejszą komżę i najdroższą stułę wyszukał i kazał w koszyku zanieść do domu umierającego dziecka.

Anna leżała w śnieżnej sukience, z wieńcem na głowie, oko miała zamglone i gdyby blademi ustami nie szeptała modlitwy, można było ją snadnie za umarłą uważać.

Inne dziewczątka klęczały w koło łoża. Gdy kapłan po Komunii św. modlił się z nią: „Teraz puszczasz sługę Twoją Panie w pokoju“ wszyscy głośno płakali. Wszak to było w tensam dzień, w którym Symeon starzec modlił się w kościele tesame słowa, trzymając dziecię Jezus na swych rękach, wszak Anna także w pokornej swej prostocie jak ten Patryarcha, błagała o łaskę, by jeszcze

przed śmiercią oglądać mogła zbawienie świata.

Śmierć nastąpiła jeszcze tego samego dnia wieczór. Anna zawołała ojczyma i macochę.

— Teraz umieram, — rzekła cichutko — ojcze, matko przebaczcie mi — wszystko, wszystko! W niebie będę się za was modliła, — oto idą Aniołowie — uklęknijcie — jeszcze się razem musimy pomodlić.

Nim skończyli „Ojcze nasz“ — Anna zasnęła, by się tam w górze obudzić.

(Wiener Vbl. für St. u Land.; Frb. Kirchbl. 1885. 17).

Pierwsza Komunia „dziecka Maryi“.

Marya N. z Kantonu Berneńskiego w Szwajcaryi, której rodzice nie byli katolikami, już od najwcześniejszej młodości czuła zawsze pragnienie zostania katoliczką. Udała się z Berna do Lyonu we Francyi, chcąc tam dostać się do obowiązku. Ponieważ od lat dziecięcych czciła gorliwie Matkę Boską, więc i w podróży do Francyi z całego serca poleciła się jej opiece. Jakoż podczas tak długiej podróży nieraz widocznej opieki Maryi doznała. Dwa dni zabawiła w Lyonie. Ale Boska Opatrzność podała jej myśl, aby tu nie zostawała, lecz aby się udała do Awinionu. Jakoż dnia 4 Maja 1867 r. wieczorem stanęła w Awinionie.

Gdy nazajutrz szła przez ulicę, ujrzała kościół i wstąpiła do niego. Spostrzegła statuę N. Panny wspaniale ozdobioną. Właśnie odprawiało się bardzo uroczyście nabożeństwo majowe.

— Zdaje się, rzekła sama do siebie, że w tym kraju bardzo Matkę Boską kochają!

Upadłszy na kolana, prosiła gorąco Najśw. Pannę, aby jej wskazać raczyła kapłana, któryby umiał jej ojczysty język, iżby mu z tem większem zaufaniem swe serce otworzyć i jego nauki pojąć mogła. Modliła się długo i była napełniona pociechą. Podniósłszy się z modlitwy, prosiła dziewczynki co obok niej się modliła, a ta ją zaraz zaprowadziła do najbliższego klasztoru, do „kolegium św. Józefa“. Podziękowawszy jej serdecznie za wyrządzoną przysługę, przyszła do rozmownicy. Tu opowiedziała kapłanowi swe pragnienie. Ten słuchał ją uważnie, dodał jej otuchy i oddał ją do klasztoru „Pań od dobrego Pasterza“. Tu odebrała potrzebną naukę.

W klasztorze przedstawiono ją przełożonej, której opowiedziała to, co należało. Szczerość i swoboda jej opowiadania wywarła na przełożoną silne i miłe wrażenie. Uczuła się szczęśliwą, że Bóg tę drogą duszę w jej opiekę poruczył.

Następnie zapytała ją przełożona, czy już co jadła.

— Nie, odrzekła Marya, ja nic nie chcę; czuję się nasyconą szczęściem mojem. Nie mam matki, bo mnie przed dziesięciu laty odumarła; a dzisiaj dała mi Najśw. Panna drugą matkę. O mateczko! — mówiła dalej wśród łez, — nie prawda, ty mi dasz klucz do raju?

Przełożona dodała jej otuchy i zmusiła ją do posiłku. Następnie zaprowadziła ją na salę rekreacyjną, gdzie Marya musiała zakonnicom opowiadać historyę swego życia.

Skoro spoczęła, rzekła przełożona biorąc ją za rękę:

— A teraz musimy złożyć wizytę panu tego domu, aby cię pobłogosławił.

Marya spojrzała ze zdziwieniem na przełożoną i rzekła:

— Jakto, więc mateczka nie jest panią tego domu?

— Nie, moja córko, panem domu tego jest Pan Jezus Chrystus.

Idąc do kaplicy całowała Marya przełożoną po rękach, podczas gdy łzy radości spływały po jej policzkach.

— O jakże jestem zadowolona! jak dobry jest Pan Bóg dla mnie! — zawołała z radości.

Wstępując do kaplicy rzekła przełożona wskazując na tabernakulum, że tam rzeczywiście Pan Jezus, Syn Maryi się znajduje. Natychmiast więc uklękła i dwie godziny

trwała na gorącej modlitwie. Poczem zapytała ją przełożona, jak się ma?

— O jakże jestem szczęśliwa, że jestem między zakonnicami. Czy to prawda, moja matko, że ja jestem twoją córką, jak mówisz? O jakże cię kocham!

— To mówiąc, całowała jej ręce i łzami je polewała.

Gdy przełożona jej wspomniała, że jest ukochanem dzieckiem Maryi, odrzekła:

— O tak, to prawda, to zupełna prawda, ale ja ją też bardzo kocham!

Nazajutrz rozpoczęła się nauka. Z łatwością pojmowała wszelkie wyjaśnienia. We środę 8 maja przyszła Marya do przełożonej i błagała ją usilnie, aby jeszcze w miesiącu Maryi mogła być przyjęta do Kościoła katolickiego i przystąpić do stołu Pańskiego.

— Moje dziecię — rzekła przełożona — tobie się bardzo spieszy.

— Tak jest, bardzo mi się spieszy — odrzekła Marya płacząc i biorąc ręce przełożonej w swoje ręce.

— Więc ci się u nas przykszy?

— Wcale nie, nie, nie, jestem tu zadowolona — ale jabym chciała jak najprędzej Komunię św. przyjąć.

Boskie drogi są dziwne! Marya miała przeczucie tego, co nastąpić miało.

We czwartek 9 maja, o 4 godzinie po-

południu, oświadczyła przełożonej, że się jej bardzo niedobrze zrobiło. Nazajutrz była już bardzo cierpiąca. Wezwano lekarza, który oświadczył, że choroba jest bardzo niebezpieczna i wezwał przełożoną, aby czasu nie tracić. W sobotę 11 maja 1867 r. przyjętą została na łono Kościoła katolickiego. Niebiańską radość uczuła z powodu tego upragnionego a teraz ziszczonego szczęścia. Dzień 12 maja przeznaczony został na przyjęcie pierwszej Komunii.

Przygotowała się bardzo gorliwie; zatopiona była w myślach o wzniosłym akcie, do którego się tak kwapiła; nieraz z pobożnością i tkliwością przyciskała obraz Ukrzyżowanego do serca i modliła się w głębokiem skupieniu.

Niepodobna opisać szczęścia, jakie objawiała, skoro w niedzielę rano po pierwszy raz Boga swego przyjęła. Przełożona chciała się zbliżyć do jej łóżka, aby jej pomódz przy dziękczynieniu.

— O ja się czuję nadzwyczaj szczęśliwą, odrzekła, proszę mię zostawić sam na sam z moim Bogiem.

Po trzech kwadransach zbliżyła się znowu przełożona i zapytała znowu chorą, co jej P. Jezus w sercu mówił.

Uśmiechając się odpowiedziała:

— Mówił mi, że wkrótce umrę i pójdę do nieba!

W poniedziałek otrzymała Sakrament ostatniego namaszczenia. Ten dzień minął wśród okropnych boleści. W jednej chwili, kiedy miała silne pokusy, zawołała głośno i uroczyście: Odrzekam się czarta i pychy jego, i uczynków jego.

Wśród świętych modłów, przytuliwszy usta do figury ukrzyżowanego Jezusa, umarła. Dusza jej ozdobiona szatą niewinności, nakarmiona niebieskim pokarmem, wzbiła się do Stwórcy swego dnia 14 maja 1867 roku o 7-mej godzinie wieczór.

Sądzę, że się tam modli za tych wszystkich, którzy się przyczynili do jej wiecznego szczęścia, i że ten piękny przykład, który swem życiem, cierpieniem i śmiercią dawała, w sercach tych co ją otaczali, głęboko został wyryty.

(Fischer, Lehrrh. Vorbil. 3. 41.).

Dwie irlandzkie sieroty.

Dwie ubogie irlandzkie dziewczynki, bliźnięta, były sierotami i żyły w ogromnem mieście angielskiem: Londynie. Dlatego też dopiero w 14 roku życia i to podczas missyi nauczyły się katolickiej religii. Skoro misyonarz jednej z nich najgłówniejsze artykuły wiary świętej katolickiej wyjaśnił, dodał w końcu naukę o Przenajświętszym

Sakramencie. Gdy jej powiedział, że nasz Pan i Zbawiciel rzeczywiście i istotnie pod postaciami hostyi świętej jest obecny, zawołała z wielkiem zdziwieniem:

— Czy doprawdy sam ukochany nasz Pan i Zbawca w Najśw. Sakramencie jest przytomny? Ten sam co w niebie króluje?

— Tak jest, moje dziecko — odrzekł kapłan — nasz uwielbienia godny Bóg sam, i gotów jest nawet stać się pokarmem twej biednej duszy!

Widoczne wzruszenie zawładnęło całą jej istotą — zdawało się, jakby była zatopiona w myślach i podziwieniu. Duch św. zapewne w tej chwili napełnił jej duszę wiarą w Najśw. Sakrament. Potem nagle zawołała:

— O jak piękny! o jak wielki! jak niepojęcie wielki i dobrotliwy!

Z podziwieniem patrzał misyonarz na tę duszę, co w ubóstwie i niewiadomości wychowana i wyrosła, jednak tak szybko poznała najgłębszą tajemnicę wiary. Jak tylko jej serce zajęło się miłością Pana Jezusa, natychmiast objawiła najżywsze pragnienie przyjęcia swego Zbawiciela. Nadto rzekła do kapłana:

— Życzyłabym sobie, aby i moja siostra to wszystko usłyszeć i wiedzieć mogła, co ja o Najśw. Sakramencie usłyszałam. Pójdę po nią, a skoro przyjdzie, proszę jej z łaski swej wyłożyć świętą katolicką naukę i po-

wiedzieć, że nasz Pan i Zbawiciel we własnej osobie w Najśw. Sakramencie ołtarza jest obecny, ona się taksamo niezmiernie ucieszy jak ja!

W kilka minut powróciła z siostrą. I ta niemniejszą radością i pobożnością przejęta została; a po kilku dniach klęczały obie przed ołtarzem, aby po pierwszy raz wcielonego Boga, swego Zbawcę i Odkupiciela do kochających serc swych przyjąć.

(Eichsf. Volksb. 1886 n. 16).

Piękne upomnienie.

Członek akademii francuskiej Legouré opowiada:

— Zawołałem mego syna. Było to w dzień po jego pierwszej Komunii świętej. Przyszedł nieco wzruszony, a oblicze jego miało na sobie ten dla mnie miły wyraz czułości, z jaką mnie codzień rano zwykł był witać. Uściskałem go, kazałem mu usiąść, a potem tak mówić zacząłem:

— Moje kochane dziecię, usłyszysz niejedną cierpką krytykę spowiedzi; a jeszcze gwałtowniej napadać będą na Komunię św., szydzić z niej będą ludzie, którzy zapominają o tem, co ten dogmat ma wielkiego i wniosłego, a patrzą tylko na to, co w nim jest niepojęte. Czyż cała ziemia nie jest tajemnicą niezgłębioną? Jeźli rozmyślam nad

prawdziwą obecnością Chrystusa Pana, doznaję największej i najwznioślejszej pociechy duchownej. Nic tak nie wzmacnia duszy, nic nie napełnia takim szacunkiem własnej osoby, jak ta myśl: Ty jesteś uświęconem mieszkaniem Stwórcy twego! Jeżli sama obecność ukochanej osoby zdolna jest zachować nas od błędu, o ileż bardziej będzie to miejsce miało w duszy, która sobie może powiedzieć:

Mój Bóg jest gościem moim! On jest we mnie! On jest moim!

Mój synu, ja widziałem, jak oblicza umierających rozpromieniały się jasnem światłem chrześcijańskiej nadziei, skoro przyjęli świętą Hostyę, widziałem w kościele, jak twarze młodych dziewic, powracających od Komunii jaśniały promieniami żywej wiary! Mój synu! Widziałem twą matkę, jak wśród najboleśniejszych kurczów przez świętą Komunię nagle się uspokoiła. i rozradowała tak, że wśród wielkich swych cierpień się uśmiechała. Musiałbym sam przed sobą zadrżeć, gdyby takie wspomnienia świętej czci we mnie nie wzbudziły.

Co tak jasne promienie rzuca na oblicze ludzkie, może być tylko świętem.

(Eichsf. Volksb. 1883 n. 52).

Św. Jan Berchmans T. J.

Już w dziecinnym wieku objaśniła mu cnotliwa matka tę dziwną tajemnicę, że Pan Jezus, dobry pasterz, nietylko dla tego jest na ołtarzu obecny, abyśmy Mu cześć i uwielbienie oddawali, ale jeszcze bardziej, aby nam się dać za pokarm na żywot wieczny i zadatek chwalebnego zmartwychwstania.

Te słowa napełniły Jana słodyczą i pociechą, która jeszcze bardziej miłość jego ku Zbawicielowi rozpłomieniła. Nie miał gorętszego pragnienia, jak aby przecież raz ów utęskniony dzień nadszedł, w którymby się mógł ze swym Bogiem w Sakramencie miłości połączyć.

Pewnego dnia uroczystego, w którym liczne grono wiernych przystępowało do Stołu Pańskiego, uczuł w sercu niezwykłą chęć aby pragnienie serca swego objawić swemu spowiednikowi i przełożonemu. Ale miał dopiero lat jedenaście, jednak głos wewnętrzny mówił mu, że prośba jego nie będzie daremna, że chwila dlań tak pełna łask i szczęścia już się zbliżyła.

Wkrótce potem stał przed drzwiami swego spowiednika, zapukał, wszedł i rzekł:

— Mój Ojcze! mam wprawdzie dopiero lat jedenaście, ale czyby to nie było dosyć do pierwszej Komunii świętej? Wiem dobrze, że nie zasługuję na taką łaskę, lecz nie

mogę pomimo to ukrywać przed tobą, że me serce pała pragnieniem przyjęcia Zbawiciela w Sakramencie miłości.

Spowiednik pełen Ducha Bożego odrzekł:

— Niczego ci moje dziecię tak nie życzę, jak tego szczęścia, tylko przygotuj się doń przez życie wzorowe i dobrą spowiedź generalną!

— Ja się już przygotowałem, odrzekł zachwycony Jan; w tych dniach całe życie moje szczerze wybadałem i byłbym Ojcu bardzo wdzięczny, gdyby Ojciec wielebny jeszcze dziś wieczór wysłuchał mnie spowiedzi z całego życia.

Skoro to wyrzekł, upadł na kolana, by swą duszę kapłanowi otworzyć. Spowiednik jego, czcigodny Piotr Emmerich, który go przeżył, pisze o tym wypadku:

„Byłem bardzo zdziwiony tą dziecinną pobożnością, nie widziałem nigdy dziecka tak działającego. Wysłuchałem go spowiedzi, ale wysłuchawszy wyznania jego grzechów, jak on je nazywał, musiałem się namęczyć nie mało, chcąc jeden przynajmniej powszedni grzech wyszukać, aby mu udzielić rozgrzeszenia“.

Gdy wreszcie nadszedł dzień upragniony, przyszedł Jan w towarzystwie swych uszczęśliwionych rodziców do kościoła i przyjął po raz pierwszy chleb anielski z rąk swego ojca duchownego.

— W chwili w której Jan Boga swego przyjął — tak pisze dalej ten zacny kapłan — można było wyczytać z oblicza jego to, co się w sercu jego działo. Anielska skromność w postawie ciała, niebieski blask, który jaśniał na jego twarzy, były świadkami uczucia nadzwyczajnego, którem serce jego było przepełnione.

W pobliżu niego klęczeli rodzice i wśród łez ofiarowali Bogu synaczka swego, który raczej do anioła jak do człowieka był podobny.

Odtąd miał zwyczaj co tydzień się spowiadać, aby godnie przystąpić do Komunii świętej, choć tylko co dwa tygodnie i w uroczystości Pana Jezusa i Najśw. Panny do Stołu Pańskiego przystępował. Czynił zaś to według rady swego spowiednika, który był tego przekonania, że w pewnych razach jedna Komunia św. więcej korzyści duchownych przynieść może, jak kiedy indziej wiele Komunij świętych.

Nigdy nie zaniedbywał, pisze dalej tenże kapłan, przed tą najświętszą czynnością przychodzić do mnie i prosić z pokorą o przebaczenie swych błędów. Do Stołu Pańskiego szedł z taką skromnością, pobożnością i uszanowaniem, że zdawało się jakoby był w Bogu zatopiony.

Nic więc dziwnego, że Jan już od najwcześniejszej młodości olbrzymimi krokami

do najwyższej doskonałości zdążał. Był i jest on skończonym wzorem chrześcijańskiej młodzieży w domu, w szkole i w kościele i będzie wiernym pomnikiem i wymownym świadkiem, co godne przyjmowanie Komunii świętej w człowieku zdziałać może.

(Z życia św. Berchmansa).

Wiara dzieci pierwszy raz komunikujących.

Małżonka oberstleitnanta O. z domu baronowa S. w Lowanium mieście belgijskiem już od wielu lat wskutek nerwowej choroby pozbawiona była mowy, a lewa noga jej była zupełnie bezwładna i wyschła; dlatego też musiała wychowanie i naukę swych dzieci zdać zupełnie na męża. Gdy dla córeczki zbliżył się czas pierwszej Komunii, zaprowadził ją ojciec do zakładu sióstr zakonnych, aby wraz z uczennicami przystąpiła do pierwszej Komunii. Już dzień na tę uroczystość przeznaczony był blizko, a przełożona nie znając wcale tej dziewczynki, robiła trudności w spełnieniu życzenia jej ojca. Wszelkie jednak trudności ustąpiły, gdy ojciec prosił, aby córkę w jego obecności wyegzaminowano. Ku wszystkich niemałemu zdziwieniu córeczka pana O. świetnie zdała egzamin, gdyż ojciec sam ją doń przygotował wybornie.

Gdy się tedy przygotowywała do Komunii św., rzekła do matki:

— Droga mamo, poczekaj tylko na dzień pierwszej Komunii mojej, wtenczas zapewne ci Pan Jezus powróci mowę.

Dzień uroczysty nadszedł, córeczka przyjęła Komunię św., podczas gdy matka wskutek choroby w domu zostać musiała. Któż opisze radość całej rodziny, gdy po powrocie córeczki matka zaczyna mówić i dzięki składać Bogu za dwie tak wielkie łaski. Ale noga była jeszcze bezwładną. Syn o dwa lata młodszy bolał bardzo nad cierpieniem matki:

— Matko, rzekł dnia jednego, kiedy i ja także będę mógł przyjąć Komunię świętą, wtedy uproszę ci uzdrowienie twej chorej nogi.

Trzeba dodać, że w tym czasie lekarz oświadczył, iż choroba nogi postąpiła do innych szlachetniejszych organów i że śmierć wkrótce nastąpi.

W kwietniu 1871 roku młody O. przystąpił do pierwszej Komunii św., matkę mimo cierpienia przyniesiono do kościoła. Bezpośrednio przed Komunią, pełna tęsknoty i oczekiwania a bardziej jeszcze żywą ufnością przejęta podnosi się z krzesła i głośno woła:

— O Boże, nie czyń przecież dzieła Twego połowiczo. I w tejże godzinie wysłuchał

Bóg prośbę syna, jak pierwej wysłuchał prośbę córki.

Uzdrowienie pani O. było zupełne i trwałe. Jakże wiele może uzyskać gorąca modlitwa dziecięcia podczas pierwszej Komunii! (Eichsf. Volksb. 1886. 17).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Władysław Długołęcki. T. J.

L. 2576.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.

(L. S.) † *A. Kard. Dunajewski*

Książę-Biskup.

Kraków 22 Czerwca 1892.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

III. Ciało i Krew Pańska.

C. Pierwsza Komunia.

(Ciąg dalszy).

Imelda.

W starym rękopisie jednego klasztoru w Anglii czytamy następujące zdarzenie:

Ten klasztor był wielkiem opactwem w hrabstwie angielskiem, w którem pobożne zakonnice w modlitwie i pracy Panu służyły. Wiele panienek z najzacniejszych rodzin tam się kształciło i wychowywało w pobożności i cnocie chrześciańskiej. Między niemi znajdowała się także Imelda, delikatna i słaba istota, którą siostry z miłości ku Bogu przyjęły i we wszelkiej cnocie wychowywały. Panienka ta już wcześnie okazywała nadzwyczajną miłość i cześć ku Bogu utajonemu w Najśw. Sakramencie i objawiła życzenie, aby mogła z innemi dziećmi przy-

stąpić do stołu Pańskiego; lecz ponieważ była jeszcze zbyt małą, nie pozwolono jej na to.

Tymczasem nastały dla Kościoła złe czasy. Kapłani tylko rzadko i to z narażeniem się na niebezpieczeństwo utraty życia mogli spełniać swe obowiązki. Może nikt nie zasmucił się tak bardzo, jak mała Imelda, która widziała, że najsłodsze jej pragnienie jak sen się rozwiało. W dawnych czasach był gdzieniegdzie zwyczaj, że Ciało Pana Jezusa spoczywało na ołtarzu w cyboryum srebrnem, mającem kształt gołębia. Tak było i w kościele tego klasztoru.

Całemi tedy godzinami klęczała Imelda przed ołtarzem i błagała z dziecinną prostotą:

— Kochany Zbawicielu, każ gołąbkowi zstąpić i zaspokój pragnienie moje!

Z niemałą trwogą widziały zakonnice, że z każdym dniem siły Imeldy nikły, a jednak nie było sposobu zaspokoić pragnienia pobożnego dziecka, gdyż ani jednego kapłana katolickiego nie było w pobliżu.

Jednej pięknej ciepłej nocy letniej klęczała ksieni za filarem w kościele i modliła się. Nagle dały się słyszeć ciche kroki: była to Imelda, która jak tylko mogła najbliżej ołtarza uklękła i podniósłszy oczy i ręce wciąż powtarzała:

— O Panie, każ przecież gołąbkowi zstąpić i zaspokój moje pragnienie!

Ksieni nie chciała przeszkadzać nabożeństwu Imeldy, dla tego zachowała się bardzo cichutko. Nagle dreszcz święty przeszedł po jej ciele, oczom swym wierzyć nie chciała; gołąbek powoli się spuścił i hostyę świętą, jasnym blaskiem otoczoną, na języku Imeldy złożył, a potem powoli na dawne miejsce powrócił.

Dobrotliwy Pan Jezus zaspokoił pragnienie pobożnego dziecka. W kilka dni potem skonała Imelda na rękach Ksieni.

(Tyle rękopis). Eichsf. Volksb. 1884. I8.

Jałmużna w dzień pierwszej Komunii.

W miasteczku L. przystępowały dzieci szkoły ludowej do pierwszej Komunii. Kapłan jak najgorliwiej przygotował ich do tej świętej uroczystości, wyłożył im ważność i znaczenie Najśw. Sakramentu, owoce godnego przyjęcia tego niebieskiego pokarmu, obowiązki, jakie spełniać należy, aby w sobie zachować skutki tego chleba żywota.

— Jeden chłopczyk, tak mówił do nich, przygotował się wraz z wami, kochane dziatki, do Komunii św., chciał się wraz z wami zbliżyć do Stołu Pańskiego, ale choroba go zaskoczyła, tak, że już przed kilku dniami udzieliłem mu Komunię św. jako wiatyk t. j. strawne na drogę wieczności. Wkrótce potem Bóg go powołał do siebie i może teraz,

w tej świętej chwili modli się do Boga za was i za nas wszystkich. Ponieważ jednak nie znamy sądów Bożych, dlatego módlcie się, lube dziatki, módlcie się osobliwie dzisiaj za duszę zmarłego towarzysza, ale módlcie się też i za jego ciężko strapioną matkę, która jest ubogą wdową!

Wasi rodzice doczekali się dziś wielkiej z was pociechy, która im wynagrodzi wszystkie cierpienia, jakie dla was ponieśli, bo powrócicie do waszych domów, nietylko z dobremi postanowieniami poprawy, ale nadto mając w sercach waszych Zbawiciela i źródło łask wszystkich, a biedną wdowę dziś wielka boleść spotyka; bo dziś po południu wynoszą z jej chaty martwe zwłoki jej jedynaka do grobu!

Na te słowa dzieci się rozpłakały. Po południu wszystkie odprowadziły zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku. Wieczór tego samego dnia przyszedł jakiś chłopczyk do smutnej wdowy i stanął przy drzwiach nieśmiało.

— Zapewne przychodzisz Antosiu, rzekła Weronika, wdowa, pocieszyć mnie po stracie mego syna jedynaka. Wszak mój biedny Feliks był twoim przyjacielem.

Antoni był zrazu nieco zmięszany; ale im dłużej mówił, tem bardziej nabierała mowa jego ciepła i życia.

— Feliks był moim przyjacielem, rzekł, dziś rano mówił nam ksiądz proboszcz

o wielkiem szczęściu tych, co pierwszy raz do Komunii św. przystępują i ich rodziców a nadto o wielkim smutku, jaki was, Weroniko spotkał. Gdym się za was i za Feliksa modlił, przyszło mi na myśl: „Twój Zbawiciel obsypuje cię dziś łaską i pociechą cię darzy; czy nie zechciałbyś i ty Jemu małej zrobić przysługi?“ Prosiłem ojca, a on mi pozwolił dać wam 20 marek z mojej skarbonki. Proszę was, przyjmijcie to.

Mówiąc te słowa, wcisnął wdowie złotówkę w rękę. Weronice łzy z oczu trysły.

— Niech cię Bóg błogosławi! moje dziecko, rzekła, oby wspomnienie na pierwszą Komunię, którą uświęciłeś czynem miłosierdzia, jako wierny Anioł Stróż, towarzyszyło ci przez całe życie, oby cię ostrzegło i chroniło od wszelkiego niebezpieczeństwa dusznego.

To życzenie, niestety, nie miało się spełnić. Jak długo Antoś żył pod okiem swych bogobojnych rodziców, był gorliwym chrześcijaninem i sumiennie spełniał swe obowiązki. Nauczył się rzemiosła, został czeladnikiem i poszedł w świat. Tu zaczęły się zrazu chwiać a następnie runęły jego dobre zasady. Antoni stał się rozpustnikiem.

Ciężką chorobą złożonego zawieziono do miejskiego szpitala. Tu wprawdzie powoli ale tem pewniej zbliżała się godzina śmierci. Kapelan, lekarz i Siostry miłosierdzia zwracali jego uwagę na niebezpieczeństwo i na-

kłaniali go, aby się pojednał z Bogiem przez przyjęcie ŚŚ. Sakramentów, ale Antoni na te prośby i upomnienia odpowiadał tylko zuchwalstwem, szyderstwem i przekleństwem.

Wtem odwiedziła chorego jakaś staruszka.

— Czy mnie pan już nie zna, panie Antoni? pytała go drżącym głosem, ja się nazywam Weronika i mieszkam w szpitalu Wczoraj się dowiedziałam, żeś pan chory. Chciałam więc przyjść do pana i jeszcze raz podziękować za tak znaczne wsparcie, jakiegoś mi pan w dniu pierwszej Komunii użyczył. Odtąd codzień za pana się modliłam. Mój biedny Feliks, który w ów dzień został pogrzebany, rodzice zacni pana, którzy już także przenieśli się do wieczności, błagają teraz, jak się spodziewam, u Boskiego tronu za panem!

— Przestań pani! zawołał Antoni, głośno łkając. Potem wyjęknął:

— Dzień mej pierwszej, świętej Komunii! ach, to był śliczny dzień!

Pełen najtkliwszego rozczulenia, które nim zawładnęło, tęsknił chory za świętymi Sakramentami. W kilka godzin po ich przyjęciu umarł wśród oznak wielkiej skruchy i żalu.

(Eichsf. Volksb. 1883. n. 13).

Szczęście dziecka pierwszy raz komunikującego.

List do matki.

Kochana Matko! Jakże Ci zdołam opisać szczęście, jakiego zakosztowałam w dzień pierwszej mej Komunii świętej! Ach tak, ten poranek był najpiękniejszy w mojem życiu, jakżem była szczęśliwą! Czemuż ten dzień tak czysty i słodki nie trwa jeszcze dotąd, ten dzień, który mi Boga mego darował całkowicie, a darował na zawsze, jeśli ja tylko zechcę. O droga matko! jakże szczęśliwą byłam już w przeddzień po świętej spowiedzi, niebieski spokój zawitał do mego serca. Niewinność, ta miła cnota, króluje teraz w mem sercu. O jakże byłam szczęśliwą! Wieczór odwiedziłam jeszcze raz ukochanego Zbawiciela w kościele; byłam sama przed ołtarzem i myślałam o tem, że Pan Bóg w Hostyi świętej nazajutrz mnie nędznemu i słabemu dziecku zupełnie się pragnie darować.

Nazajutrz raniutko prędko wstałam i pobiegłam do kochanego Pana Jezusa do kaplicy. Mszy świętej wysłuchałam z szczególniejszą pobożnością i łzy mi stanęły w oczach, gdy kapłan krótkiemi słowy objaśnił nam szczęście dnia tego. Czas wydawał mi się zbyt długi, nie mogłam się doczekać chwili, w której Pana mego i Boga będę miała w mem sercu. Wreszcie przyszła kolej na

mnie, z najsilniejszem wzruszeniem przystąpiłam do Stołu Pańskiego, i tu z niecierpliwością czekałam przyjścia mego Boga. Wkrótce Go ujrzałam. a gdym się dobrze w sobie skupiła, zaczęłam z Panem Jezusem rozmawiać. Mówiłam z Nim i zdawało mi się, jakobym słyszała słodki głos wewnątrz, który mi mówił: „Tak, moja najmilsza córko, jestem u ciebie na tronie miłości; Aniołowie mój tron otaczają". Co chwilę ocierałam łzy z oczu, łzy słodkie, łzy radości i miłości. Jezus żąda serca mego. Darowałam Mu je na zawsze, na wieki. Modliłam się serdecznie za Ciebie, kochaną matko i za drogiego ojca, polecałam moich duchownych i świeckich nauczycieli świętemu Sercu Jezusa. Byłam wesoła w ciągu dnia, ale ta radość była taka jakaś święta, wszak mój Bóg, źródło wszelkiego pokoju, mieszkał we mnie.

Przy odnowieniu obietnic Chrztu św. wyrzekłam się szatana i grzechów jego i uczynków jego i starałam się tylko nigdy nie stać się niewierną tym obietnicom. Następnie poszłyśmy przed ołtarz N. Panny; krótkie przemówienie o Jej dobroci i łaskawości głęboko się wryło w me serce; złożyłam Jej hołd, podziękowałam za miłość ku mnie i obiecałam Jej wśród łez zostać wiernem dzieckiem Maryi.

Byłam bardzo szczęśliwa, nic mi nie dolegało, należałam zupełnie do mego Boga

i chciałam z Nim na zawsze zostać połączoną. Po wieczornym pacierzu położyłam się na spoczynek myśląc o P. Bogu tak dobrym, a przed zaśnięciem zdało mi się jakobym słyszała miły głos w mem sercu, mówiący: „Śpij, moja najdroższa córko, śpij, ja jestem w twem sercu, cały dwór niebieski czuwa nad tobą“.

Wreszcie usnęłam wzruszona i pełna niebieskiej pociechy, sen był słodki i spokojny, jak mi mój Bóg powiedział. Tak minął ten dzień święty. Jakżebym pragnęła, aby on trwał jeszcze, boć to był najpiękniejszy dzień w mem życiu.

Bądź zdrowa moja najdroższa Matko i przyjm najserdeczniejsze życzenia Twojej kochającej Cię córki

Stan. D.

Aż do grobu niewinny.

Pewien chłopczyk we Francyi imieniem Jerzy, który już od dziecinnych lat odznaczał się pobożnością i niewinnością, z wielką gorliwością przygotowywał się do pierwszej Komunii. Chodził wtenczas do 5 tej klasy.

W dzień pierwszej Komunii, poszedł według zwyczaju onego zakładu do swego nauczyciela, aby mu oznajmić jakie postanowienie powziął po Komunii św.

Było tylko jedno.

— Postanowiłem sobie, rzekł, białą wstążkę, którą wczoraj na szyi miałem, tak długo nosić, aż będę miał kiedyś nieszczęście, ciężki grzech popełnić.

Nauczyciel zdziwiony, chciał mu dać do zrozumienia, że to nie tak łatwa rzecz, takie postanowienie zawsze wykonać.

Chłopczyk jednak stał niewzruszony. Zrazu często zeń szydzono, że codzień nosi wstążkę białą, która go zdobiła w dzień pierwszej Komunii; ale skoro się dowiedzieli o przyczynie, podziwiali go i dali mu spokój.

Tak wyrósł chłopiec na młodzieńca i ukończył z odznaczeniem nauki; zawsze wierny postanowieniu, był pociechą swych rodziców.

Nadszedł rok 1870; wybuchła wojna z Prusami; Jerzy wstąpił do wojska i przydzielony został do regimentu jenerała Charette.

W potyczce pod Mans śmiertelnie został raniony. Kapelan przystąpił doń i pytał, czy sobie życzy spowiadać się.

— Wielebny ojcze, odrzekł młodzian, nie mam nic na sumieniu, coby mnie niepokoiło, gdyż przed dwoma dniami się spowiadałem; pragnę tylko przyjąć Komunię świętą, a potem mam jeszcze jedno życzenie, o którego spełnienie proszę Waszą Wielebność. Obok mnie leży tornistra: w niej znajduje się biała wstęga i różaniec od czasu pierwszej Komunii. Te rzeczy są mi bardzo drogie; proszę je oddać mej matce jako znak mej synow-

skiej miłości. Ona zna tajemnicę mego postanowienia, jakie powziąłem w dniu pierwszej mojej Komunii. Proszę jej powiedzieć, że wstęgi białej nigdy nie splamiłem, chyba teraz krwią moją! (Fischer, Lehrrch Vorb.).

Mały Paulin.

Jak w wielu okolicach, tak i w Saint Corneille zniszczyła francuska rewolucya bojaźń Bożą i cnotę. Bójki i zwady, nieprzyjaźnie, procesa były na porządku dziennym i przechodziły z pokolenia na pokolenie. Młodzież smutny przedstawiała widok: nierząd i rozpusta najgorszego rodzaju. Czwarte przykazanie było prawie nieznane, tak było nogami zdeptane. W niedziele już wczesnym rankiem szynkownie były przepełnione, a po południu wszystkie gospody tańczących tak pełne, że nie mogły wszystkiej młodzieży pomieścić. Wielu z nich żadnej nie robiło różnicy między dniem powszednim a niedzielą.

Gorliwy proboszcz czynił co mógł, aby swe zbłąkane owieczki do Boga nawrócić, ale wszelkie jego usiłowania były daremne. Ta parafia tak nisko upadła, w przeciągu dwudziestu lat zmieniła się do niepoznania.

Teraz tam ludzie w niedzielę nie pracują, ale tem gorliwiej chodzą do kościoła; nieprzyjaźnie, w których całe rodziny przez

długie pokolenia żyły, zupełnie nikły. Niegodziwy lichwiarz, co był biczem całej okolicy, wyniósł się, bo nie robił interesów. Towarzystwo św. Wincentego à Paulo w gminie założone, stara się o potrzeby ubogich, inne zaś stowarzyszenia mają na celu zachowanie i wzrost pobożności i dobrych obyczajów.

Z trzech szynkowni dwie zamknięto, sali tańców tensam koniec zagraża. Wreszcie podczas ostatniego jubileuszu wszystkie niewiasty a z mężczyzn największa część przyjęła SS. Sakramenta.

Któż tę tak dziwną zmianę sprowadził?

Chłopczyk dwunastoletni, którego zwyczajnie „małym Paulinem“ zwano. Podczas przygotowania do pierwszej Komunii odznaczał się widocznie gorliwością i pobożnością. Był on prawdziwie pociechą dla proboszcza, ale i smutkiem go napełniał. Nieraz ze smutkiem mówił do siebie czcigodny kapłan:

— Niestety, Paulin będzie później taki jak inni. Po pierwszej Komunii odwróci się od Kościoła; w kilka miesięcy potem już mnie nie pozdrowi; powoli zacznie kląć i rozpuści się, a w niedziele i święta będzie pracował jak drudzy.

Ale tym razem, Bogu dzięki, proboszcz się omylił. Na krótki czas przed pierwszą Komunią zgromadził Paulin jednego dnia swych towarzyszy i rzekł do nich:

— Moi przyjaciele! Przyszła mi dobra myśl, a jeśli się zgodzicie na jej wykonanie, to i sobie i całej parafii wielką korzyść przyniesiecie.

Oto przyrzeknijmy sobie wzajemnie, że w tym i następnym roku przystąpimy do Komunii wielkanocnej; na drugi rok odnowimy to przyrzeczenie na rok następny i tak dalej na przyszłość. Ci, którzy po nas do pierwszej Komunii przystąpią pójdą za naszym przykładem, a w ten sposób liczba nasza z roku na rok się będzie powiększała. Przez to sprawimy naszemu proboszczowi wielką radość. Możecie sobie wystawić, jaka to dlań smutna rzecz, że ledwie jeden z tych co do pierwszej Komunii przystąpili, a których on z taką pracą przygotowywał, wiernym zostaje Bogu!

Wszyscy towarzysze zgodzili się na wniosek Paulina i dali żądane przyrzeczenie. Niestety, największa ich część wskutek złych przykładów w rodzinie nie dotrzymała słowa. Oprócz Paulina tylko trzej okazali stałość; zachowali w pamięci pierwszą Komunię i przyrzeczenia przy niej dane; regularnie odmawiali modlitwy poranne i wieczorne, chodzili w niedziele i święta na Mszę św. i wogóle spełniali obowiązki, zachowując przykazanie kościelne.

Od czasu do czasu wraz z Paulinem odwiedzali proboszcza.

Gdy ich tenże aż do łez wzruszony ściskał i słodką swoją pociechą nazywał, poczciwi młodzieńcy czuli się dostatecznie nagrodzonymi za usiłowania czynione wśród pokusy i szyderstw złych i oziębłych, aby Bogu wiernymi pozostać.

Zaraz w pierwszym roku przystąpili oprócz Wielkanocy jeszcze trzy razy do Stołu Pańskiego ku zdziwieniu całej parafii.

Podobnież rocznicę pierwszej Komunii obchodzili uroczyście przez przyjęcie ŚŚ. Sakramentów. Już w tym dniu pokazał się skutek ich pięknego przykładu.

Pięciu innych młodzieńców przyłączyło się do ich związku i wiernie w następnym roku dotrzymali słowa. Odtąd szło coraz lepiej. Po pięciu latach pobożne to grono urosło do trzydziestu młodych ludzi, a ich przykład powoli tem silniej działał, że kilku chłopczyków wyrosło na mężów.

Coraz bardziej i starszym ludziom oczy się zaczęły otwierać, bo Paulin i jego sprzymierzeńcy byli to zarazem wyborni synowie, dzielni i słowni robotnicy, uprzejmi i spokojni sąsiedzi, a przytem w towarzystwie weseli i przyjemni.

Coraz silniej działał kwas, który Paulin w parafii zaczynił. Zdarzały się widoczne nawrócenia.

Gdy Paulin i jego towarzysze byli już dojrzałymi mężami, pobrali sobie uczciwe

i pobożne żony i tym sposobem w przeciągu kilku lat utworzyli w parafii blisko 30 iście chrześciańskich rodzin.

Krótko mówiąc, jak niebo od ziemi różni się dzisiejsza parafia od dawniejszej. A to wszystko po Bogu zawdzięczyć trzeba odwadze jednego dziecka, które zrozumiało znaczenie pierwszej Komunii. Paulin dowiódł, czego dokazać może wierność w wypełnianiu religijnych obowiązków, a osobliwie słuchanie Mszy św. i godne przystępowanie do Komunii św.

Oby mu Bóg za to w niebie zapłacił, oby też na ziemi wiele naśladowców znalazł.

(Fischer. s. 43).

Mały Indyanin.

Pod opieką sióstr zakonnych w Berhampore w Indyach rozwijał się jak kwiat róży chłopczyna, któremu na chrzcie świętym dano imię Józef. Zdaje się jakoby Duch święty nadzwyczajną obfitość łask na to dziecko zlać raczył. Skoro chłopczyna jaki mały błąd popełnił, przybiegał czemprędzej do siostry zakonnej i pytał zasmucony:

— Czy teraz Duch święty już nie mieszka w mej duszy?

Gdy splamił sukienkę, znowu przybiegał do siostry i patrząc na nią swemi zasmuconemi, jasnemi oczętami, w których się prze-

bijała niewinność, pytał ją, czy też i serce jego tak jest splamione?

Namiętnie lubiał kwiaty i owoce, a ponieważ słyszał, że Pan Bóg je z miłości ku nam stworzył, często się im przypatrywał i mówił:

— O Ty dobry Boże, Tyś ten kwiatek, ten owoc z miłości ku mnie zrobił; ale i Józio Cię także bardzo będzie kochał, sprawi Ci pociechę i będzie czynił, co się Tobie podoba.

Ranne wstawanie bardzo go wiele kosztowało, ale z miłości ku Bogu i tę ofiarę chętnie z siebie przyniósł. Gdy go zbudzono, pytał:

— Czy lube ptaszki już śpiewały chwałę Bożą?

A gdy mu odpowiadano, że tak, natychmiast wstał i mówił:

Więc i ja pójdę do kochanego Pana Boga i będę go chwalił:

Gdy przechodził koło obrazu Matki Boskiej, zawsze Ją pozdrawiał słowy Archanioła, nazywał się Jej małym Benjaminkiem i na Jej cześć co sobota zadawał sobie jakie umartwienie.

W uroczystość świętego Józefa pierwszy raz przystąpił do świętej spowiedzi. Był to dla niego dzień pełen najwyższej radości.

Nieraz powtarzał:

— O, nigdy, przenigdy już dobrego Pana Boga nie obrażę!

Raz ujrzał mały obrazek, przedstawiający Pana Jezusa w cierniowej koronie i długo mu się przypatrywał; potem prosił siostry, aby i jemu uplotła cierniową koronę, aby za swe grzechy mógł czynić pokutę i Panu Jezusowi podobnym się stać. W uroczystość Matki Boskiej przyjął pierwszą Komunię. Któż zdoła opisać zapał miłości jego serca niewinnego, kto tęsknotę i radość, z jaką się zbliżał do stołu Pańskiego!

Po spowiedzi rzekł do siostry:

— O gdybym mógł wyjąć me serce, abyś mogła obaczyć, czy ono jest całkiem czyste!

Potem ze smutkiem dodał:

— Święty Alojzy omdlał ze skruchy przy spowiedzi. O gdybym i ja miał tak wielką skruchę! Ale Józio umie tylko łzy za grzechy wylewać, ale omdleć z boleści nie może!

Potem obaczyła go siostra klęczącego przed obrazem Pana Jezusa w cierniowej koronie:

— Wiesz, zapytał ją, co mi Pan Jezus powiedział: „Chodź mój Józiu, i wyciągnął ku mnie swe ręce, chodź, ja się cieszę, że mogę wstąpić w twe serce“.

Z niebiańską pobożnością przyjął ten Bogu miły chłopczyna pierwszą Komunię świętą, a miłość jego ku Panu Jezusowi z dnia na

dzień coraz więcej się wzmagała. Józio żyje i rośnie w łasce u Boga i ludzi.

(Kindht. Jesu Hefte 1882).

Anielska dobroć dzieci.

W pewnej miejscowości w Niemczech żyła pobożna rodzina robotnicza. Ponieważ mieszkali daleko od szkoły, a synek ich Franio nie mógł na obiad przychodzić, więc matka dawała mu prócz tęgiego kawałka chleba z masłem jeszcze 5 fenigów, aby sobie za nie kupił owoców, albo mleka, albo co innego. Ale chłopiec składał te pieniądze i chował je bardzo starannie. Matka jednak znalazła kryjówkę. Przestraszyła się niezmiernie, gdy ujrzała tyle fenigów starannie skrytych i zapytała:

— Moje dziecko, przecież tyle pieniędzy nie ukradłeś? Może je nabyłeś niegodziwym sposobem?

— To moje pieniądze, odrzekł Franio, to są te pięć fenigów, które mi dawałaś przez tak długi czas, uskładałem je sobie, na...

— No, naco?

— Chciałem sobie tyle uskładać, abym w dzień pierwszej Komunii mógł wykupić jedno dziecko pogańskie, któreby się tak nazywało jak ja i za mnie się gorąco modliło. Resztę chciałem darować najuboższemu chłopcu, aby i on miał pociechę w dzień

pierwszej Komunii. A potem chciałem prosić księdza proboszcza, aby mi tego chłopca wskazał i aby mi go dał za towarzysza, gdy będziemy w parach szli do Stołu Pańskiego.

Matka płakała z radości. Jakże wiele łask musiał P. Bóg zlać na to dziecko w czasie pierwszej Komunii. Możemy dowieść, że ten chłopczyna dotychczas i rodzicom i ks. proboszczowi i nauczycielom wielką sprawia pociechę, a swemu rodzeństwu i towarzyszom zabawy najlepszym przyświeca przykładem. Są to łaski, których mu Pan Bóg z pewnością dlatego użyczył, że się do tego ważnego aktu tak godnie przygotować usiłował.

* * *

Mały Frydryś dostał od swych bogatych rodziców dukata w złocie. Nie posiadał się z radości. Z rozkoszą oglądał go na wszystkie strony, lecz nagle przyłożył palec do ust jakby się namyślając, zapewne Anioł-Stróż piękną myśl mu poddał, potem biegnie jakby na skrzydłach do rodziców i prosi o pozwolenie, aby tego dukata mógł ukochanemu Dzieciątku Jezus dla biednych dziatek chińskich ofiarować.

Rodzicom stają łzy rozczulenia w oczach, a mały Frydryk biegnie do ks. proboszcza i rozpromieniony radością ofiaruje całe swe bogactwo, aby od Boga otrzymał łaskę, iżby

zawsze wiernym pozostał obietnicom przy pierwszej Komunii uczynionym.

* * *

Z R. przysłały dziewczątka, które do pierwszej Komunii św. przystąpiły piękną sumę pieniężną na dzieło dziecięctwa Jezusa. Dobrowolnie między sobą składkę zrobiły i długo centy swe składały w tym celu, aby wykupić pogańską dziewczynkę i nadać jej imiona Marya Alojzya, gdyż te imiona losemwypadły. Tym datkiem chciały sobie u Pana Boga wyprosić błogosławieństwo Boże do godnej pierwszej Komunii.

Jak piękna jest taka pierwsza Komunia, uświęcona i uświetniona pomnikiem chrześciańskiej miłości, niezapomniana nigdy i pełna zasług na niebo!

(Eichsf. Volksb. 1887. 8).

Helima.

W grudniu roku 1868 przyprowadzono do domu sierot zostającego pod opieką św. Eugeniusza w Algerii ośmioletnią dziewczynkę, na imię Helima ze szczepu Kabylów. Ojciec jej, muzułmanin, zostawszy wdowcem, wskutek głodu panującego wyrzucił ją z domu. Błąkała się tedy wostatniej nędzy, aż ją znaleziono. Wskutek złego obchodzenia się, jakiego doznawała i sposobu życia, jaki pro-

wadziła, złe jej skłonności jeszcze bardziej się rozwinęły. Kradła, była gwałtowna i uparta, a przez to stała się przyczyną wielu kłopotów, jakie sprawiała siostrom zakonnym, które się jej wychowaniem zajmowały.

W jedną niedzielę, kiedy prawie wszystkie siostry były w kościele, zakradła się Helima do kuchni, porwała z garczka mięso i skryła się. Schwytana i ukarana, przez kilka dni ani słówka nie mówiła, była ponura i zagniewana i na wszelkie uprzejme słowa była obojętna. Przełożona rozdzielała figi między sieroty i wszystkie biegły do niej z radością; tylko mała Helima stała zdaleka i wzięła owoce obojętnie bez najmniejszego słowa podzięki. Wzięła ją tedy przełożona na bok, położyła jej rękę poufnie na ramię i z głębi serca miłującego udzieliła jej kilka upomnień macierzyńskich, jakie tylko żywa wiara jej poddać mogła. Opuszczone dziecko spostrzegło po pierwszy raz w życiu, że ją szczerze ktoś miłuje, i zupełnie się zmieniła. Stała się coraz posłuszniejszą i łagodniejszą.

Jeżeli jaki mały błąd popełniła, mawiała jej nauczycielka:

— Idź do drzwi kaplicy, klęknij i proś Zbawiciela w Hostyi utajonego aby ci pokazał, co masz czynić.

Natychmiast poszła i wkrótce wróciła, mówiąc:

— Siostro, P. Jezus powiedział mi: Ty

masz być moją, a jednak znowu byłaś niedobra; teraz nie mogę wnijść do serca twego, patrz, jak ono jest brzydkie. Czyń pierwej pokutę, to ci potem przebaczę.

I zaraz zadała sobie pokutę, a dopiero, gdy ją wypełniła, znowu była wesoła i zadowolona.

— Gdyby wolno było, mawiała nieraz jej nauczycielka, toby trzeba sobie życzyć, aby Helima jaki błąd popełniła, jedynie w tym celu, aby widzieć z jak szczerą skruchą stara się go naprawić.

Wśród tak szczerego starania się o poprawę życia minął dla Helimy czas przygotowania do chrztu św., którego z wielką tęsknotą pragnęła a który 25 stycznia, w dzień nawrócenia św. Pawła otrzymała. Marya, Zofia, Albina były jej imiona chrzestne.

— Chcę zostać świętą, mawiała potem często; aby zaś swój zamiar tem łatwiej wykonać, żądała z przełożoną udać się do domu sierot we Francyi.

— Dobra matko, prosiła, weź mnie ze sobą do Marsylii, abym się tam nauczyła być świętą. Byłaś tak dobrą, żeś mnie do chrztu św. trzymała, choć ja byłam najniegodniejszą; teraz ja muszę przy tobie zostać.

Przybywszy do Marsylii, nie zważając na wspaniałe gmachy i ciekawe rzeczy tego miasta pięknego, zawołała z radością:

— O jakie to szczęście, już nie widzieć żadnych muzułmanów ani pogan!

Ale radość ze spełnienia najgorętszych jej życzeń wkrótce przez chorobę w smutek się obróciła. Niedostatek i nędza jakich doznawała w dzieciństwie, bardzo źle wpływały na wątłe ciało Albiny, tak że nawet największa staranność o jej zdrowie nie mogła jej życia ocalić; siły jej powoli opadały a wkrótce się pokazało, że Albina już żyć nie będzie. Siostry zatem sądziły, że trzeba przyspieszyć dla niej dzień pierwszej Komunii i oświadczyły, że dzień św. Michała Archanioła 29 września został na ten święty akt wyznaczony. Radość jej na tę wieść była tak wielka, że zaledwie chciała sama wierzyć; rzekła: „dziękuję“ ale takim tonem i wzrokiem, że można się było domyślać, co się w jej sercu działo.

W przeddzień oznaczonego dnia, kiedy nadzwyczaj wiele cierpiała, zapytano ją, czy nie chce umrzeć i iść do nieba?

— Nie, odrzekła; jabym chciała zostać jeszcze na ziemi, aby przyjąć Komunię św.

Ależ w niebie będziesz Pana Jezusa na zawsze posiadała.

— To prawda, rzekła; a więc jak Bóg chce!

W sam dzień pierwszej Komunii czuła się silniejszą. Mogła wstać i w swej białej su-

kience być na mszy św. podczas której po pierwszy raz ciało Pana swego pożywała.

Nabożeństwo jej było bardzo tkliwe i długo jeszcze po Komunii zatopiona była w modlitwie. Ale potem musiała się wskutek wielkiego znużenia znowu na swe łoże boleści położyć; z najtkliwszą miłością uściskała siostrę za szyję, dając tym sposobem wyraz swej wdzięczności ku tej, która jej do tego tak pięknego dnia dopomogła.

— Co ci powiedział dzisiaj Zbawiciel ukochany? zapytała ją jedna z sióstr.

Powiedział mi: „Oto patrz, jestem w twem sercu; żądaj odemnie czego chcesz, a dam ci“. On jest moim przyjacielem, dodała z tkliwością, składając ręce na piersiach, jak gdyby chciała skarb swój mocno w sercu zatrzymać.

— Czy idziesz chętnie do nieba? pytała ją inna siostra.

— O, tak, bardzo chętnie!

— Więc nie chcesz powrócić do Afryki, aby odwiedzić biedne dzieci arabskie i kabylskie?

— Ja i do Afryki pójdę, jak Bóg tak chce!

— Ale co wolisz: czy pójść do nieba, czy powrócić do Afryki?

O, daleko bardziej wolę pójść do nieba!

— Ależ biedne dzieci arabskie i kabylskie!

— No, to się za nie będę w niebie modliła!

Cały następnie dzień w cichej spędziła modlitwie. Modliła się za swych biednych rodaków, którzy nie mają prawdziwej wiary i Pana Jezusa nie znają; modliła się za kapłanów, którzy ją nauczali, za siostry, które ją tak kochały, ale najbardziej za arcybiskupa, któremu szczęście dnia tego i całego życia swego zawdzięczała.

Arcybiskup przybył za tydzień do klasztoru, aby Albinie, która w uroczystość Różańca św. powtórnie Komunię św. przyjęła, udzielić Sakramentu bierzmowania. Odtąd śmierć Helimy spiesznie się zbliżała. W piątek pragnęła jeszcze raz obaczyć przełożoną.

— Albino, czy poznajesz mnie? czy słyszysz? zapytała przełożona już konającą — Pożegnaj się zemną; patrz, P. Jezus i N. Panna przychodzą, by cię wziąść do nieba: pocałuj krzyż!

Ostatni promyk życia zajaśniał na obliczu Helimy; poruszyła ustami, chcąc dać odpowiedź i przycisnęła usta swe do krzyża. Było to jej ostatnie poruszenie. Mając usta przytulone do znaku zbawienia, oddała Bogu duszę!

Jedna z sierot, dziecko trzyletnie, stała przy oknie i wpatrywała się w jeden punkt pochmurnego nieba, przez który widać było firmament.

— Tędy, zawołała z radością, poszła Albina do nieba i dodała z dziecinną prostotą: o, teraz trzeba mówić:

„Święta Albino, módl się za nami“. (Spielmann. Rund um Afrika Keller).

Pierwsza Komunia umierającego dziecka podczas Mszy pastuszkowej.

Było to w Londynie, stołecznem mieście Anglii, we wilię Bożego Narodzenia późnym wieczorem. Mała Irlandka spieszyła wśród strasznego wichru, kryjąc we fałdach nędznej sukienki swój towar: kilka paczek zapałek. W tym dniu tylko kilka krajcarów zarobiła; więc okrutna matka srodze ją wybiła i pomimo łez na ulicę wygnała. Zaledwie siedm lat wieku liczyła, a nic prócz nędzy nie zaznała. Ale Bóg, ojciec ubogich, spojrzał na Norę — tak się nazywała dziewczynka — choć o Nim nic nie wiedziała. Gdy tak nie wiedząc nawet dokąd spieszyła, ujrzała nagle wielkie drzwi, które skoro się otworzyły, strumień światła i ciepła na ciemną ulicę wylewały. Z trwogą wśliznęła się z kilkoma nowoprzybyłymi. Był to kościół; ludzie byli ubodzy jak Nora i wiele dzieci między nimi. To jej dodało otuchy i odwagi.

Zaledwie wstąpiła, zaczął się śpiew: i to taki śpiew, że ją wprawiał w zdziwienie; jeszcze nigdy coś tak pięknego nie słyszała.

Następnie wyszedł ksiądz. Wszystkich oczy nań się zwróciły; przemawiał do dzieci. Nora nie wiedziała nic o niebie, ale łaska chrztu św. drzemała nieznana w jej niewinnej duszy, a Jezus, ten Bóg maluczkich, zwrócił się ku tak opuszczonej, i pojmowała wszystko i brała sobie do serca, co kapłan mówił. Pierwszy to raz słyszała o tym, który ją stworzył, co ją ukochał aż do śmierci, który za nią i za wszystkich ludzi cierpiał i który ją chciał mieć kiedyś przy sobie w swym blasku i w nieskończonych radościach. Zamyślona słuchała Nora i uwierzyła w tę przedziwną historyę Boskiej miłości. I gdy potem znowu wzniosły śpiew się rozpoczął, gdy słodka woń kadzidła rozlała się po kościele, gdy kapłan udzielał błogosławieństwa N. Sakramentem i wszystkich oblicza się pochyliły w głębokiej pokorze i pobożności, uczuła Nora, że coś niewypowiedzianie świętego wokoło niej się dzieje. A na dworze wciąż lało i huczało. Biedne opuszczone dziecko zastało, powróciwszy, matkę we śnie pogrążoną. Zziębła położyła się na podłogę. Czuła się nadzwyczaj szczęśliwą! W jasnem niebie, wszak o tem już teraz wiedziała, był jeden, który ją serdecznie miłował.

W następny dzień a potem codzień chodziła Nora do ukochanego kościoła. Swój towar sprzedała prędko przy drzwiach kościoła, gdzie poczciwi ludzie nad nią się li-

towali. Z kościoła szła wraz z innemi dziećmi do szkoły Sióstr miłosierdzia, a wkrótce przyszedł dzień, w którym z wielką skruchą i żalem do pierwszej spowiedzi przystąpiła.

* * *

Tydzień po tygodniu mijał a siostra Brygitta, nauczycielka, nie widziała w szkole małej gorliwej Nory, którą tak bardzo ukochała. Co się z nią stać mogło? Wskutek złego obchodzenia się matki zachorowała, ale nigdy najmniejsza skarga nie wyszła z ust jej. Śmierć szybkim krokiem się zbliżała, ale Nora nie obawiała się śmierci; wszak dla niej śmierć była tylko podróżą do nieba, do słodkiego dzieciątka Jezus, do ukochanej matki Boskiej, do ślicznych Aniołów i Świętych, a zarazem końcem wszelkich cierpień, które jej ciało zniszczyły.

Zbliżało się Boże Narodzenie z wszystkiemi tak pięknemi uroczystościami. We wszystkich rodzinach było pełno radości; dziatki tuliły się z wdzięcznością do matek i biegały koło św. drzewka, które im przedstawiało drzewo żywota, a na którem było pełno owoców nie zakazanych.

Lecz któż w tym dniu pomyślał o Norze? Jezus przyjaciel dzieci, stawszy się dzieckiem, i dla Nory przygotował podarunek w dzień swych urodzin.

Znowu wilia Bożego Narodzenia nadeszła.

Siostra Brygitta chcąc spełnić uczynek miłosierdzia, przybyła do ubogiej chatki i usłyszała głos płaczliwy:

— Mamo, zamknij drzwi, mnie tak zimno!

Siostra Brygitta zbliżyła się do otwartych drzwi i rzuciła wzrokiem do zimnej, ubogiej izby. I natychmiast poznała swą małą Irlandkę na nędznym barłogu leżącą. Była istotnie już bliska śmierci, ale szczęście i radość dodały jej sił i z całą tkliwością małemi swemi rączkami objęła Siostrę za szyję.

Następnie po pierwszy raz w życiu opowiedziała swe długie cierpienia i wewnętrzne pociechy. Gdy matka wróciła, prosiła ją Siostra Brygitta, aby pozwoliła Norę przenieść do ochronki. Tam ją przyjęto, jako podarunek od dzieciątka Jezus. Tutaj uczuła się nad wszelki wyraz szczęśliwą. Kapłan, który ją spowiadał, przyszedł by jej udzielić ostatnich pociech naszej św. religii.

Nora czyniła sobie gorzkie wyrzuty, że nie była dość cierpliwą w chorobie i to był jej największy grzech, jak wśród łez przed siostrą Brygittą się skarżyła.

— Biedna matka moja! rzekła, jakżebym sobie życzyła, aby była dobrą! Widzi ksiądz proboszcz, ona nic a nic o tem nie wie, co ksiądz proboszcz mówił nam na kazaniu!

Kapłan udzielił jej Ostatniego Namaszczenia, ale Msza pastuszkowa o północy jeszcze większe szczęście miała jej zgotować.

Dwunasta w nocy wybiła; otworzono okno wychodzące na kaplicę. Chora dziewczynka po raz ostatni na ziemi słuchała Mszy św. i pięknych śpiewów. Gdy wkońcu Siostry i sieroty przystępowały do Komunii św., przyszedł kapłan i przyniół Norze po pierwszy i ostatni raz Pana Jezusa, który w tej nocy i do żłóbka i do serca biednego dziecka zstąpił.

Wśród łez najczystszej miłości przyjęła Komunię św. i zatopiła się całkowicie w modlitwie. Wkrótce jednak spostrzeżono, że godzina śmierci wybiła, ale konanie było lekkie. Od czasu do czasu tylko westchnęła: Jezus! Marya, albo: O moja biedna matko!

Dano znak na ranną Mszę św. Konając usiadła na łóżeczku, otworzyła oczy, nadziemska radość na jej twarzy się odzwierciedliła; potem opadła na poduszkę.

W tej chwili wziął P. Jezus Norę do siebie. (Annales du Saint Sacrement 4. Jahr).

Pierwsza Komunia Savio Domenika.

W ojczyźnie Savio Domenika, we Włoszech, jest zwyczaj, że dzieci w jedenastym albo dwunastym roku życia przystępują do pierwszej Komunii. Z Domenikiem jednak z powodu jego osobliwszej pobożności nadzwyczajny wyjątek zrobiono, przypuszczając go

już w siódmym roku życia do pierwszej Komunii.

Ale też dokładność i sumienność jego przygotowania na ten ważny dzień, pobożność, z jaką następnie przystąpił do Stołu Pańskiego i postanowienia, jakie wtenczas powziął, są najwymowniejszym dowodem, że się na nim nie zawiedziono, i że pomimo swego delikatnego wieku lepsze pojęcie miał o świętej tej czynności, jak niejeden w wieku późnym. Jak zaś głęboko przejęty był znaczeniem pierwszej Komunii i z jak wybornem usposobieniem i nabożeństwem ukochanego Zbawiciela po pierwszy raz do niewinnego serca swego przyjął, pokazuje się z następujących postanowień, które w dzień pierwszej Komunii spisał na karteczce, którą w ulubionej swej książeczce do modlenia schował a którą często odczytywał.

Na tej karteczce było napisano:

„Pamiątka pierwszej mojej Komunii w r. 1849, gdym ja, Domeniko Savio, miał siedm lat".

„Będę się bardzo często spowiadał i komunikował, ile razy mi mój spowiednik pozwoli".

„Niedziele i święta sumiennie będę święcił".

„Moją radością będą Jezus i Marya".

„Raczej umrzeć, jak zgrzeszyć".

Dalsze życie Domenika okazuje, że dotrzymał swych postanowień i że to dlań było

szczęściem. Czy nie sądzisz, moje dziecię, czytając tą książeczkę, że i dla ciebie szczęście doczesne i wieczne od tego zawisło, w jaki sposób przyjmiesz pierwszą Komunię i jak sumiennym będziesz w wykonaniu postanowień w dzień pierwszej Komunii powziętych?

Stosuj się do tych uwag, gotując się do pierwszej Komunii, a mianowicie dotrzymaj obietnic, które w owej uroczystej chwili Panu Bogu uczynisz.

(Savio Domeniko. Obraz życia pobożnego chłopca z ludu naszych czasów. Innsbruk. Księg. związk. 1886. Keller).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Władysław Długołęcki. T. J.

L. 2803.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.
(L. S.)
Kraków 7 Lipca 1892.

† *A. Kard. Dunajewski*
Książę-Biskup.

W Krakowie, w drukarni „Czasu" pod zarz. J. Łakocińskiego
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

III. Ciało i Krew Pańska.

C. Pierwsza Komunia.

(Ciąg dalszy).

Mały Jaś.

Błogosławieni, którzy prześladowanie cierpią dla sprawiedliwości, albowiem ich jest królestwo niebieskie. Te słowa Boskiego Zbawiciela są źródłem siły dla prześladowanych, a mianowicie jeśli prześladowanemi są dzieci.

Było to w roku 1870 wkrótce po zaczęciu oblężenia Paryża, kiedy dziecko o bladem obliczu i trwożliwem spojrzeniu, ale pełne słodyczy i skromności przedstawiono księdzu katechecie, Delmasowi, aby je wpisał w poczet tych dzieci, co mają pierwszą Komunię przyjąć.

— Wielebny księże dobrodzieju — rzekł

poczciwy robotnik — przyprowadziłem małego, grzecznego chłopaka, matka jego prosiła mnie o to; nazywa się Jan Chrzciciel.

Biedny Jaś tylko skrycie, bez wiedzy swego ojca mógł przyjść, gdyż ten będąc wolnomyślnym, niechciał nic wiedzieć o wpływie religii na swego syna.

Ksiądz Delmas, na którego Jaś szczególniejsze zrobił wrażenie, zapytał go:

— Czyś chodził na katechizm?

— Nie, nigdy.

— A czemu nie, moje drogie dziecko?

— Bo mój ojciec nie pozwolił! — Zwiesił głowę, a na jego obliczu malował się głęboki smutek.

— Ale ty Jasiu, chcesz chodzić, nie prawda?

Jaś podniósł głowę i odpowiedział mile się uśmiechając, pełen zapału:

— O, rozumie się, że chcę!

— Gdzie chodzisz do szkoły?

— Do protestanckiej, proszę księdza proboszcza.

— Gdzie mieszkasz?

— Zaraz koło szkoły „Braci szkolnych“.

— Czemuż ty biegasz aż na koniec miasta, kiedy masz szkołę w sąsiedztwie?

— Bo mój ojciec nie chce, abym chodził do „Braci szkolnych“.

Jaś słuchał katechizmu z podziwienia godną uwagą; było to pierwszy raz w życiu jego. Modlitwy odprawiał z gorącością anio-

ła. Gdy odchodził, obiecał że przyjdzie znowu, ale nie przyszedł. Ojciec, dowiedziawszy się o tem, zbił go nielitościwie i strzegł go starannie jak więźnia.

Pomimo to pobożna matka udzielała mu pokryjomu katechizmu tak doskonale, że wszelkie starania protestantów, aby go od wiary katolickiej odwieść, spełzły na niczem. Jedyną troską jaką zacna matka miała, była obawa, że na tej drodze syn nie dostąpi pierwszej Komunii. Ale gorliwość księdza Delmas uwolniła ją od tej troski; zgodzono się na to, że Jaś wyspowiada się pod nieobecność ojca. I tak się stało.

— Gdym o godzinie oznaczonej przyszedł — opowiada ks. Delmas — odrzekł chłopczyna na me powitanie wśród łez radości: — O jak ksiądz jest dobry, a ja jakże jestem szczęśliwy, iż się mogę przygotować do pierwszej Komunii. W ciasnej kuchence wyspowiadał się Jaś z anielskiem skupieniem i przez całą godzinę budował mnie żywością swej wiary i gorącością swego nabożeństwa. Gdym go odchodząc pobłogosławił, ucałował moją rękę i jakby się domyślał jakiegoś przypadku, rzekł:

— Mój ojcze, proszę mi przyrzec, że cokolwiek się stanie, ksiądz nie dopuści, bym umarł bez Komunii św.

Wtenczas nie zrozumiałem znaczenia tych słów. Wprawdzie rysy jego twarzy nosiły

na sobie ślady osłabienia, głos jego był cichy i wszystko świadczyło, jak wiele on wewnętrznie cierpiał w tem przymusowem położeniu, w jakiem dla religii z woli ojca się znajdował. Ale nic nie rokowało bliskiej śmierci. Zobowiązałem się do wszystkiego, czego pragnął.

We dwa dni potem, widziałem jego matkę już raniutko w kościele, ale więcej zasmuconą jak kiedykolwiek.

Ojciec znowu obił i skatował syna, który od tego czasu gorączką trawiony leżał w łóżku. Jakimże sposobem dowiedział się ojciec o Jasia spowiedzi? Oto, jak mi opowiedziała matka, w tensam dzień jakiś uczeń protestanckiej szkoły przeniósł się na mieszkanie do tegosamego domu. Tym sposobem szpiegowano Jasia na każdym kroku.

— W jakiż sposób mój Jaś przyjmie Komunię św.? pytałem strapioną matkę.

— Ja tylko jeden sposób widzę: Na pierwszem piętrze naszego domu mieszka bardzo pobożna pani, która mego Jasia bardzo lubi. U tej pani mógłby ks. dobrodziej go zastać jeśli to uważa za stósowne.

— Jakże często będzie mógł Jaś tam przychodzić, aby się nie narażać na nowe niebezpieczeństwo?

— Nie można naturalnie liczyć na zbyt częste odwiedziny, trzeba tę sprawę za jednym razem załatwić, a to tem bardziej, że Jaś

już bardzo jest osłabiony, a te przykre zajścia mogłyby go życia pozbawić.

— Proszę się na mnie spuścić, odpowiedziałem płaczącej matce, proszę mi tylko dać znać, a ja natychmiast przyjdę i dam Jasiowi pierwszą Komunię, gdyż on na to bardzo zasługuje. Przytem dałem matce różaniec dla Jasia. Dowiedziawszy się o tej umowie, rozradował się Jaś niezmiernie; oblicze jego znowu nabrało wyrazu łagodnej wesołości; zdrowie jego zdawało się polepszać. I matka nowej odwagi nabrała — gdy nagle nowa burza się zerwała i wszystkie widoki zniszczyła.

Raz wieczór powrócił ojciec Jasia z szynkowni i rzucił się z wściekłością na śpiącego syna. Wyrywa mu z rąk różaniec, targa go w kawałki, rzuca o ziemię i depce nogami. Jaś budzi się i lekkie wydaje westchnienie. Matka, która mu na pomoc przybiegła, usłyszała jak cichutko szeptał te słowa:

— Mój dobrotliwy Jezu! wszystko z miłości ku Tobie, gdyż Ty mi się całkowicie chcesz darować. To wzruszenie do reszty złamało siły dziecka biednego. Gorączka silna powróciła tak, że następującego dnia Jaś ledwo z łóżka mógł powstać. Matka dała mi znać o stanie zdrowia ukochanego jedynaka. Natychmiast wziąłem N. Sakrament i udałem się do owej pobożnej pani na pierwsze piętro, która swój skromny pokoik zamie-

niła na wspaniałą kaplicę. Klęcząc, ze złożonemi rękami czekał Jaś na kapłana. Zdało się, że się modli tak gorąco jak Serafin. Głęboko się pochylił i wśród łez obfitych przywitał Boga ukrytego i pocieszyciela malutkich i cierpiących w tej małej świątyni i przyjął go do serca swego; nieustannie płynące łzy radości i wdzięczności zwilżały jego blade policzki. I matka płakała i kapłan do głębi był poruszony. Po chwili cichej modlitwy zmówił Jaś krótką, ale serdeczną modlitwę za ojca, za matkę i za swych przyjaciół. Potem, tak kończy ks. Delmas, uściskałem jeszcze raz to ukochane dziecko, a opuszczając je, niezmiernie się radowałem, bo mi się zdawało, żem widział pięknego Anioła, modlącego się w swej rajskiej komnacie.

Ośm dni po pierwszej Komunii, zasnął Jaś w Panu. Po krótkiem ale bolesnem wygnaniu na tej łez dolinie, prawdziwa ojczyzna przyjęła małego męczennika, gdzie ani łzy, ani jęku, ani skargi niema; poszedł do królestwa pokoju i wiecznego szczęścia.

(Sendbote d. gött. H. Jesu 1885).

Pierwsza Komunia w więzieniu.

Było to w czasie rewolucyi francuzkiej 1793 roku. Miałam wtenczas zaledwie lat

dwanaście, opowiadała baronowa Belle-Isle w roku 1856 w małem kółku przyjaciół. Ojciec mój poszedł do wojska Condeusza, a matkę i mnie powierzył opiece starego sługi. Ukryte w małym domku w Paryżu, wiodłyśmy życie samotne, spodziewając się, że sobie nas nikt nie przypomni wśród tak wielkich rozruchów, na jakie Paryż był w tenczas wystawiony.

Pewnej nocy ktoś przyszedł i szukał mej matki. Niewiem jaki łotr tak był bez serca, że ją jako żonę emigranta (wychodźcy) zdradził; dosyć że ją bez litości zawleczono do więzienia, nie dając jej nawet czasu do pożegnania się ze mną. Ja tymczasem spałam i dopiero na drugi dzień się dowiedziałam, żem nieszczęśliwą matkę moją na zawsze utraciła. Jednak za staraniem naszego starego sługi udało mi się dowiedzieć, gdzie się znajdowała.

Wtrącono ją do więzienia zwanego „opactwem“. Od tej chwili jedną tylko myśl, jedno życzenie miałam, by się dostać do więzienia. Co dzień chodziłam w tę okropną okolicę, trwożliwym wzrokiem szukając miejsca, gdzie moja matka się znajdowała. Stanąwszy przed więzieniem, tysiączne pocałunki jej ręką posyłałam i mało co nawet tych murów nie całowałam, które ją przed memi oczami zasłaniały.

Stary Piotr wymyślił wreszcie sposób wpro-

wadzenia mnie do „opactwa“. Naprzód zawiódł mnie do żony dozorcy więziennego, która miała córkę w mojem wieku. Zaraześmy się zaprzyjaźniły, a ponieważ ją kochałam i codzień z nią się bawiłam, zyskałam zaufanie jej matki.

Jednego dnia tedy ośmieliłam się wśród łez ją uwiadomić, że moja nieszczęśliwa matka w tem więzieniu jęczy i że tylko od niej zależy, abym się z moją matką widzieć mogła.

Z początku robiła trudności, ale wreszcie zgodziła się i obiecała mi postarać się o to, abym się z moją matką widzieć mogła.

Nie zdołam opowiedzieć wzruszenia, boleści i uczucia rozkoszy zmięszanej z boleścią, jakie miotały mą duszą, gdym się ujrzała w objęciach mej nieszczęśliwej matki! Przytuliła mię do serca, nie mówiąc ani słowa, a ja ją serdecznie całowałam, oblicze jej łzami swemi polewając. Nawet żona dozorcy więzienia odwracała się, aby nie zdradzić wzruszenia, jakie uczuła. I to było przyczyną że nam obiecała umożliwić i następne odwiedziny. I dotrzymała słowa.

W sukni jej córki mogłam wychodzić i przychodzić na galeryę więźniów, a gdym już była na galeryi, prowadziła poczciwa kobieta moją matkę do pokoiku blizko sali dla chorych, gdzieśmy bez świadków wi-

dzieć się i mówić mogły; w ten sposób dwa razy na tydzień chodziłam do matki.

Jednego dnia rzekła mi matka głosem, boleścią zdławionym:

— Moja droga Maryniu, wkrótce musimy się rozłączyć na zawsze. Wczoraj był u mnie komisarz z oznajmieniem, że muszę stanąć przed sądem; a sąd, ty wiesz, znaczy tyle co wyrok śmierci.

— Serce moje mało nie pękło na te słowa. — To mówiąc baronowa płakała jak dziecko; potem tak dalej mówiła: — Nigdy nie zapomnę tego dnia. Zdało mi się ciągle, że widzę mą matkę, że słyszę te straszne słowa. Skoro się nieco uspokoiła, rzekła: „Jedną z największych pociech, moje najdroższe dziecko, byłoby, gdybym cię mogła widzieć przyjmującą pierwszą Komunię św. Gdyś była jeszcze małą, modliłam się do N. Panny Maryi, aby i ciebie i mnie aż do tego dnia uroczystego przy życiu zachować raczyła. I bądź przekonaną Maryniu, że spokojnie umrę, jeśli obaczę, żeś się z Bogiem w tym Najświętszym Sakramencie połączyła. Wczoraj przyszła mi ta myśl: Znam czcigodnego starca, kanonika przy kościele Panny Maryi w Paryżu, który nie musiał wyjechać z Paryża. Mieszkał na ulicy Massillon w małym domku nie daleko katedry i nazywał się Monsignor Carrou. Sędziwy jego wiek jako też i cielesne cierpienia sprawiły może, że

nań nie uważano. Powiedz naszemu poczciwemu Piotrowi, aby się dowiedział, czy ks. Carrou jeszcze żyje, a jeżeli go, jak sądzę, nie wydalono z kraju, odwiedź go moja córko, powiedz mu jak się nazywasz, opowiedz mu o mojem smutnem położeniu i proś go w mem imieniu o łaskę, aby ci pozwolił przyjąć pierwszą Komunię, nim umrę. Potem czyniła inne uwagi i polecenia i wyraziła niepłonną nadzieję, że jej zamiar się uda.

Choć wykonanie tego zamiaru na pierwszy rzut oka było bardzo trudne, to jednak wzmocniona nadzieją, czyniła wszystko co mogła, aby mnie do pierwszej Komunii przygotować. Przygotowanie to trwało długo i napełniło me serce niebiańską rozkoszą.

Gdy nasz Piotr przyszedł, opowiedziałam mu co zaszło, a wieczór już byliśmy u pobożnego kapłana. Mr. Carrou miał wtenczas lat 80, ale słysząc moje opowiadanie, odmłodniał i łzy popłynęły z jego oczu. Gdym skończyła, rzekł:

— Tak jest, moja córko, ja znałem twoją nieszczęśliwą matkę. Była to święta na ziemi, dlatego nie mogę i nie chcę odmówić jej gorącej prośbie. Spodziewam się, że cię twoja matka należycie przygotowała i że jesteś godną przystąpić do Stołu Pańskiego. Zresztą żyjemy teraz w nadzwyczajnych okolicznościach. Wróciliśmy do czasów ka-

takomb [1]), musimy zatem postępować jak pierwsi chrześcijanie. Zaraz teraz odprawisz spowiedź, a jutro raniutko powrócisz.

O północy urządził w swym pokoju mały ołtarz i odziany w święte szaty odprawił najświętszą ofiarę.

Nazajutrz przyszłam znowu z Piotrem do sędziwego kapłana. Ten oświadczył mi, że odprawił Mszę św. na intencyę mej matki i że jeszcze dwie Hostye konsekrował, a potem powiedział mi tonem łagodnym ale stanowczym:

— Chcę ci powierzyć najdroższy skarb, byś go zaniosła twej matce, moja córko. Jak kapłani pierwszych wieków używali młodych chłopaków, odznaczających się pobożnością i skromnością do posyłania N. Sakramentu męczennikom, tak ty dziś zaniesiesz twej matce najświętsze Ciało P. Jezusa jako wiatyk na podróż, która ją czeka. Weź więc, niewinne dziecię, ten święty zadatek, idź do więzienia i tam przyjmij pierwszą Komunię przy twej biednej matce, która wraz z tobą będzie komunikowała. Ponieważ ja osobiście nie mogę jej przynieść tej pociechy, miej ty to szczęście a Bóg niech cię strzeże!

---

[1]) Katakomby, są to podziemia, w których chrześcianie kryli się przed prześladowaniem pogan i tam Mszy św. i kazania słuchali, tam się spowiadali, Komunię św. przyjmowali i inne obrzęda św. spełniali; tam też chowali męczenników i innych wiernych.

Udzieliwszy mi błogosławieństwa, podał mi N. Sakrament starannie owinięty, który ja z najgłębszem uszanowaniem schowałam na piersiach. Jakże mam opisać moje uczucia, gdym tak Jezusa w Najśw. Sakramencie wzięła i na mem sercu ukryła! — Już więcej jak 60 lat minęło, a jednak ile razy myślę o tej chwili, jestem niewymownie wzruszona. Szłam bez najmniejszej bojaźni, nieustannie się modląc. Zdawało mi się, jak gdyby moja dusza śpiewała pieśń chwały Jezusowi wraz z aniołami, którzy mi towarzyszyli.

Żona dozorcy więzienia natychmiast zaprowadziła mnie do izby, gdzie czekała moja matka i zostawiła nas samych. Potem rozpłakałam się słodkiemi łzami, i opowiedziałam matce o poselstwie jakie mi powierzył ks. Carron (Karru). Natychmiast padła matka na kolana i zdawała się być w zachwyceniu Mówiła słowa Boskie, jakich potem nigdy przez całe życie nie słyszałam. Jej wiara, serce macierzyńskie i miłość napełniały ją niebieskiemi uczuciami. Złożyłyśmy ze czcią święte Hostye na stoliku i modliłyśmy się przez dość długi czas. Potem kazała mi odmawiać modlitwy, które od dziecinnych lat z nią często mówiłam, a gdyśmy je wśród łez i jęków skończyły, wzięła święte Hostye w swe ręce i wpatrując się w Baranka Bożego, polecała Mu moją i swoją duszę na

całą wieczność. Wreszcie podała mi Komunię świętą, a potem sama przyjęła P. Jezusa.

Gdym nazajutrz przyszła do więzienia, by matkę odwiedzić, wzbroniła mi żona dozorcy przystępu, mówiąc, że przyszedł surowy rozkaz, by nikomu przystępu nie dozwalać. Uwierzyłam jej i powiedziałam, że na drugi tydzień znowu przyjdę.

Wierny nasz Piotr zaprowadził mnie zaraz do domu kanonika, z którym po cichu rozmawiał. Pełen głębokiego smutku wziął mnie sędziwy kapłan za rękę, zaprowadził mnie do okna, potem wskazał ręką do nieba i rzekł do mnie te uroczyste słowa, które mi wszystko wyjawiły:

— Moja córko, twoja matka jest teraz w niebie; tylko tam ją kiedyś obaczysz!

Odtąd nie opuściłam żadnego dnia w którym bym w modlitwach moich nie pamiętała o mej matce.

(Fischer. Lehrrh. Vorb. 7 Bändch. 33).

Mały Indyanin.

W Indyach, jak nam opowiadają sprawozdania misyjne, miało miejsce następujące zdarzenie:

W samotnej chacie wieśniaczej w stacyi misyjnej św. Piotra i Pawła, leżał dwunasto-

letni chłopczyk, ciężką złożony chorobą. Już od kilku lat cierpiał; uparta choroba nie chciała ustąpić, wskutek czego tylko skóra i kości na nim zostały. Nie jedna łza zrosiła jego policzki, kiedy samotny leżał na rogóźie, podczas gdy wszyscy pracowali w polu, i niejedną modlitwę gorącą zasłał do nieba prosząc o polepszenie. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że chłopczyna ten smucił się tylko z powodu choroby ciała. Nie, łzy jego miały inną przyczynę. Wszyscy jego zdrowi towarzysze znajdowali się w tym czasie na stacyi misyjnej i gotowali się do pierwszej Komunii. Gdyby był zdrów, toby mógł brać udział w nauce, a tak był i od nauki i od przyjęcia Najśw. Sakramentu wykluczony, choć się tak bardzo na tę uroczystość cieszył. Prosił więc ojca, aby się udał do stacyi misyjnej i poprosił jakiego kapłana, aby przyjechał i przygotował go do św. Komunii. Ojciec pojechał, ale z niczem wrócił, bo żaden kapłan na tyle czasu nie miał aby przyjechać, tylko oświadczono ojcu, aby syn jeszcze rok poczekał. Pobożny chłopiec strasznie posmutniał. Płacząc rzewliwie, leżał aż do nocy; potem zmówił pacierz wieczorny. Skończywszy modlitwę, wyciągnął ręce, podniósł głowę i z wyrazem pełnym tkliwości rzekł wznosząc oczy ku niebu:

— O Najświętsza Matko Boska, moja matko ukochana, teraz Ty mi dopomóż!

Zmęczony natężeniem przy modlitwie, opadł na poduszkę i zasnął twardym snem. Nazajutrz był spokojny i wesoły i prosił ojca o katechizm, którego odtąd ani w dzień ani w nocy z rąk nie wypuszczał. Jakiś dziwny spokój uroczysty w nim zapanował, a obawa rodziców, aby bardziej nie osłabł, nie spełniła się. Już się nie skarżył, że nie miał szczęścia wraz z innymi przystąpić do pierwszej Komunii.

Razu jednego, może dziesięć dni przed przewodnią niedzielą, objął ojca za szyję i do ucha szepnął mu prosząc, by go w przewodnią niedzielę zawiózł do stacyi misyjnej.

— Z największą radością spełnię twoje życzenie, ale musisz aż do tego czasu lepiej się mieć jak dzisiaj — odrzekł ojciec.

— Ja będę dość silnym, by módz pojechać — zapewniał synek z wyrazem niewzruszonego przekonania. Ojciec zaś cieszył się myślą, że jego dziecko przynajmniej widokiem pierwszej Komunii swych rówieśników się rozweseli.

Przewodnia niedziela przyszła. Syn tyle był silnym, że można było puścić się z nim w podróż; o północy wyruszyli z domu i przyjechali rano do stacyi. Jakąż radością napełniło się serce chłopczyny, gdy ujrzał cisnących się doń swych rówieśników, w najpiękniejsze suknie ubranych do pierwszej Komunii! — a jakże zdziwił się ojciec, gdy

chłopczyna oświadczył, że i on chce pierwszą Komunię przyjąć.

— Bądź spokojny synu — rzekł — nie wolno przyjmować Ciała Pańskiego bez przygotowania, a tyś jeszcze nie chodził na naukę!

— Ja umiem wszystko i tak jestem przygotowany jak i drudzy — zapewniał chłopczyna — proszę księdza katechety, niech mnie wypyta, a ja na wszystkie pytania odpowiem.

Ksiądz katecheta przyszedł, nietyle aby go wypytać, ale żeby go uspokoić. Ale chłopczyna zaraz powiedział:

— Proszę księdza katechety mnie wypytać; ja także jestem przygotowany do pierwszej Komunii.

Uśmiechając się, zadał mu ksiądz katecheta pytanie z katechizmu. Jakże się zdumiał, gdy chłopczyk płynnie i z wyrazem najdoskonalszego zrozumienia na pytanie odpowiedział; zapytał go o znaczenie wielkiej tajemnicy Sakramentu Ołtarza, a chłopczyk odpowiedział jak najlepiej. Pytał wreszcie i badał jego przygotowanie i przekonał się, że dusza tego dziecka lepiej i doskonalej jest przygotowana jak tych wszystkich, których on sam przysposabiał.

— Czy mogę więc także przyjąć Komunię św., mój Ojcze? — zapytał chłopczyna,

podczas gdy w oczach jego jaśniała radość niezachwianej nadziei.

— I owszem moje dziecko, — rzekł kapłan — tylko się wyspowiadaj, a potem wraz z towarzyszami dostaniesz Komunię świętą.

Wyspowiadawszy się, z największą pobożnością przystąpił wraz z drugimi do Stołu Pańskiego.

— Po południu przyszedł ks. katechety wraz z innymi misyonarzami do chłopczyna i jego ojca. Pytali go, jakim sposobem tak doskonale był przygotowany do Komunii św. On zaś opowiedział im co następuje:

— Gdym w moim wielkim smutku wreszcie wezwał pomocy Najświętszej Panny, zasnąłem i we śnie ujrzałem Matkę Boską. Usiadła sobie na krześle przy mojem łóżku, przeżegnała mnie krzyżem św. pomodliła się ze mną i zaczęła mnie uczyć. Co noc przychodziła i udzielała mi nauki. Zadawała mi pytania z katechizmu, i tak długo powtarzała mi odpowiedzi ażem się nauczył. Opowiedziała mi, jak P. Jezus ustanowił Najśw. Sakrament i jak kapłan to samo czyni, co P. Jezus czynił w ostatniej wieczerzy; powiedziała mi, jak trzeba P. Jezusa w Najśw. Sakramencie uwielbiać i czcić, zachęcała mnie, upominała i nauczała, jak się mam przygotować do przyjęcia Komunii św. Gdym się umęczył, podnosiła mi głowę; jeźlim cze-

go nie zrozumiał, to powtórzyła; jeźli mi szło ciężko, kładła swą rękę na mą głowę i pocieszała mnie. Tak było co noc; ja dobrze uważałem, w dzień nad tem myślałem, powtarzałem sobie i wszystko robiłem, do czego mnie Matka Boska upominała. Także z katechizmu się uczyłem i tym sposobem mogłem przyjąć pierwszą Komunię. A Matkę Boską póki życia kochać i chwalić będę, za to, że się mną tak gorliwie zajęła.

(Jesus kommt. s. 18 Dülmen).

„Pozwólcie dziateczkom przychodzić do mnie".

Dźwięczny, uroczysty śpiew słychać było w szkole. Były to dzieci przygotowujące się do pierwszej Komunii, które uczyły się pieśni zaczynającej się od słów P. Jezusa: „Pozwólcie dziateczkom przychodzić do mnie". Każde słowo tej pieśni słychać było w ubogiej izdebce, gdzie przed wysokim barczystym mężczyzną stała staruszka, ręce załamując i płacząc.

— Miejcie litość nad duszą niewinną — poszlijcie ją gdzie indziej.

— Nie! właśnie dla siebie ją zachowam, rzekł mężczyzna. Moje gospodarstwo także potrzebuje ludzi, a Marysia bardzo będzie dobra. Już dosyć długo musiałem być opiekunem za darmo, teraz, gdy mogę mieć ko-

rzyść z dziewczyny, chcę korzystać z mego prawa.

Biedna kobieta zaczęła szlochać.

— Dla miłości Bożej, dajcie się wzruszyć! błagała. Czyż ma niewinna Marysia, najlepsze dziecko w całej parafii, za kilka lat marnie zginąć? Czyż wy jako opiekun nie boicie się grzechu i strasznej przed Bogiem odpowiedzialności?

— Co tam odpowiedzialność i grzech! — wrzasnął rozgniewany gospodarz. — Już dosyć gadania! Mój dom jest uczciwy; ja także tam żyję i znam swoje obowiązki. W poniedziałek po przewodniej niedzieli przyjdzie Marysia do mnie jako kelnerka i basta!

Trzasnął drzwiami i poszedł.

Nieutulona w żalu kobieta wyciągnęła obie ręce ku niebu i rzekła:

— O Boże, dozwól jej raczej umrzeć, jak wejść w ten dom! W imieniu jej matki nieboszczki proszę Cię o to!

Marysia tymczasem siedziała w szkole i z wytężoną uwagą słuchała nauki kapłana, który ostatnich kilka dni przed Komunią z osobliwszą gorliwością przygotowywał dzieci do tego tak ważnego i świętego aktu.

— Niewinność — mówił — jest najdroższym skarbem i źródłem cnoty i wesela: Zachowajcie niewinność dziecięcą a nigdy wam nie będzie zbywało ani na miłości ani na nadziei, ani na weselu. Czystemu czło-

wiekowi zawsze się szczęście uśmiecha, Bóg w nim mieszka, a niebo jest jego dziedzictwem. Czystość jest najdroższym klejnotem, który zdobi człowieka. Tę cnotę Pan Jezus ceni wyżej jak inne; ona jest lilią w ogrodzie Kościoła. O dziatki, zostańcie czystemi, grzecznemi i niewinnemi i przyrzeknijcie raczej umrzeć, jak co złego popełnić.

Tak upominał kapłan dziatki. Oczy ich pełne wyrazu świadczyły, że ziarno na miękką i pulchną glebę padło. Osobliwie zaś Marysia aż do głębi była przejętą.

Choć miała dopiero lat 14, nie miała ani ojca ani matki. Pewnego dnia oddano ją starej kobiecie, by ją pielęgnowała; u tej więc wyrosła, a niestrudzonej staranności jej trzeba zawdzięczyć, że Marysia przezwyciężywszy upór i skłonność do zmysłowości, stała się najlepszą uczennicą. Za kilka dni miała się przenieść do gospody swego opiekuna, a tym sposobem usunąć się z pod troskliwych rąk swej przybranej matki. Co to znaczyło dla młodej dziewczyny, wiedział każdy, kto znał miasteczko. O złych mowach i przykładach, jakie słyszeć i widzieć musiała, i o niebezpieczeństwie jakie jej groziło, nie myślał łakomy szynkarz, gdyż dawno już poczucie złego był stracił, podobnie jak większa część jego gości.

W kilka minut po szkole powróciła Marysia do domu. Ani jej przez myśl nie prze-

szło, jakie nieszczęście ją ma spotkać, a poczciwa staruszka postanowiła sobie, ani słówkiem nie wspominać jej o niczem przed pierwszą Komunią, aby dzień ten spędziła bez smutku; dopiero nazajutrz po Komunii chciała jej całą rzecz wyjawić. Tymczasem postanowiła sobie modlić się z całego serca, aby ta sprawa inny obrót wzięła.

— Czy pozwoli mi babcia jeszcze pójść do kościoła? prosiła Marysia. Chciałabym się jeszcze pomodlić, bo jutro spowiedź generalna.

I owszem, moje dziecię, idź i módl się gorąco za siebie.

Nazajutrz po południu — była to sobota — spowiadała się, a w niedzielę miała przystąpić do pierwszej Komunii. W sobotę było parno i duszno, słońce przypiekało mocno. A na niebie czarne chmury się gromadziły, burza groziła.

— O jakąż radość mam w sercu! Jakże mi lekko! zawołała.

Zciemniło się nagle! Błysło — grom uderzył a potem ulewa nastąpiła. Drzwi się otworzyły, a żona szynkarza nagle wpadła z wielkim parasolem.

— Maryś, biegnij czemprędzej do lasu, mąż mój poszedł do lasu bez parasola! spiesz się!

Szybko pobiegła Marysia pomimo ulewy

do lasu. Nawet gradem zaczęło sypać. Za pół godziny była w lesie — pot strumieniem spływał jej po czole.

— Bogu dzięki, że przychodzisz poczciwa Marysiu! — zawołał szynkarz, który się ukrył w gęstwinie; — do lasu biegłaś, ale naząd nie pójdzie tak prędko, ja nie mogę tak szybko biegać.

Szli tedy powoli. Tymczasem powietrze się bardzo oziębiło. Marysia spocona drżała od zimna. Wtem wiatr silny zerwał szynkarzowi kapelusz i rzucił go do rwącego strumienia. Marysia zdjęła czemprędzej chustkę z szyi i podała ją opiekunowi, by sobie głowę obwiązał, — wszak tu nikt nie widzi — mówiła — a pode wsią zdejmiecie.

— Tyś mądre i dobre dziecko — rzekł opiekun uradowany, wziął chustkę i obwiązał sobie nią głowę. Oziębiło się jeszcze bardziej, już deszcz zaczął się w śnieg zamieniać. Marysia pobladła i drżała od zimna. Przedtem się zgrzała, teraz musiała iść krok za krokiem obok opiekuna wśród mroźnego wiatru.

Nareszcie po trzech kwadransach byli we wsi. Marysia spiesznie pobiegła do babki. Blada i drżąca od zimna stanęła przed babką, tak iż ta się przelękła.

— Prędko napij się herbaty i połóż się, rzekła.

Nazajutrz w przewodnią niedzielę zabłysło

słońce wesoło a Marysia już raniutko wstała i długo się modliła, nie mogąc się doczekać chwili, kiedy P. Jezus do jej serca zawita.

— Dziecko, jak ty blado wyglądasz — zawołała babka zakłopotana.

— O babciu, mnie tak lekko i dobrze, jak gdybym szła do nieba!

Poszły do kościoła. Wszyscy spostrzegli, że Marysia, tak kwitnąca i zdrowa, dziś tak blada i prawie niebieskie ma usta. Ale gdy przystąpiła do Komunii św. nagle jej oblicze się zarumieniło i zapłonęło miłością.

Lecz popołudniu już nie przyszła do kościoła. Strasznej febry dostała. Nazajutrz oświadczył lekarz, że Marysia żyć nie będzie.

Staruszka łzawe oko podniosła ku niebu.

— Mój Boże! jeźli ją tak chcesz ocalić od niebezpieczeństwa — niech się dzieje wola Twoja — szeptała.

Marysia majaczyła w gorączce. Nagle obudziła się, spojrzała na babkę i zapytała.

— Babciu, czy ja muszę umierać?

— Czemu, dziecię?

— Bo ja tak myślę — odrzekło dziecko — Patrz kochana babciu, teraz bym się wcale nie bała śmierci. Gdyby ks. proboszcz przyszedł i powiedział: Jeszcze dziś musisz umrzeć, tobym odpowiedziała: Bardzo, bardzo chętnie, jeźli tak P. Bóg chce. Takby mi szło lekko, nic się nie boję. Wszak P. Jezus jest tam w niebie, a skoro umrę, zaraz do Niego pój-

dę. O, Jego się nie boję, nie, cieszyłabym się, gdybym Go mogła zaraz obaczyć, a Onby mnie musiał do swego nieba wprowadzić. O, wtenczasbym go zawsze, zawsze kochała.

— A więc, dziecko słuchaj, ty musisz umierać.

— Czy doprawdy? Czy istotnie tak jest? Zapytała Marysia rumieniąc się z radości.

Złożyła ręce i rzekła:

— Kiedy tak, to idźcie zaraz do księdza proboszcza, aby mnie zaopatrzył.

Marysia przyjęła Ostatnie Namaszczenie spokojnie i z radością. Potem usnęła i we śnie spiewała pieśń dzieci, przystępujących do pierwszej Komunii.

— Babciu, rzekła zbudziwszy się.

— Co, moje dziecko?

— Powiedz im, niech tę pieśń śpiewają na moim pogrzebie.

— Dobrze, powiem.

— A ksiądz proboszcz niech o tem ma kazanie; ja z nieba będę słuchała co on mówi.

Oblicze Marysi zajaśniało — wyciągła ramiona. — O babciu, jak pięknie! jak pięknie! — zawołała głosem złamanym.

Opuściła ręce, głowa jej zwisła na bok, Marysia umarła.

Po dwu dniach niesiono Marysię do grobu.

Sześć uczennic w bieli niosło trumnę — a gdy ją spuszczano do grobu, z piersi niewinnych dziatek zabrzmiała pieśń:

Dopuśćcie dzieteczkom przychodzić do mnie,
Bo ich jest Królestwo niebieskie.

(D. Christ. Pilger 18, 1886).

Pierwsza Komunia małżonki przy łożu konającego męża.

W roku 1823 żył w B. pewien hrabia ze Szwecyi z żoną, która była niemką. Mieli córkę na imię Aleksandrę. Wszyscy byli protestantami. Roku 1831 umarł ojciec Aleksandry. Śmierć ta była powodem, że matka z córką udały się do Włoch i przez niejaki czas mieszkały w Rzymie.

Tu zaznajomiły się matka i córka z wielu szlachetnemi rodzinami, osobliwie z rodziną hrabiów La Ferronays (Ferone) z Francyi. Wszyscy członkowie tej rodziny, począwszy od ojca, aż do najmłodszego dziecka, byli to ludzie niezwykli, dzielni katolicy, jakich mało, tak, że pewien biskup o nich powiedział: „To sami święci“. W tych tedy kołach poznała Aleksandra religię katolicką, o której dotychczas bardzo mylne miała wyobrażenia, ukochała ją, i nieraz czuła w swem sercu gorące pragnienie zostania katoliczką.

Jeden z synów hrabiego Ferronays, na imię Albert, który spostrzegł tęsknotę Aleksandry i nieraz z nią o religii katolickiej rozmawiał, spełnił czyn miłości iście chrześciańskiej. Pewnego dnia, roku 1832 wdział na się raniutko szaty pielgrzyma i obszedł siedm głównych kościołów rzymskich i błagał serdecznie o nawrócenie Aleksandry. Modlitwę jego wysłuchał P. Bóg, ale w czasie, w którym Albert się tego nie spodziewał.

W roku 1834 ożenił się z Aleksandrą i wobec arcybiskupa z N. uczynił uroczyste przyrzeczenie, że wszystkie dzieci z tego małżeństwa pochodzące, wychowane będą w katolickiej religii. Aleksandra była już w sercu katoliczką, ale jeszcze nie miała dość odwagi, aby publicznie przejść na łono katolickiego Kościoła.

Niedługo po ślubie, zaczął Albert pluć krwią. Choroba nagle się pogarszała. Przestrach Aleksandry był wielki, ale nie mniejsze było i jej zdanie się na wolę Bożą. Choroba z dnia na dzień się wzmagała, i przybrała charakter gwałtowny, że lekarz oświadczył, iż śmierć jest nieunikniona.

Wtem Aleksandra mocno postanowiła zostać katoliczką, aby w razie, gdy jej mąż ostatnią Komunię przyjmie, ona mogła pierwszą Komunię przyjąć, aby w wierności, miłości i religii była jedno z mężem.

Gruntownie wyuczyła się katechizmu, a

ponieważ mąż życzył sobie udać się do Paryża, pojechali tamże oboje roku 1836. Dnia 29 maja tegoż roku, złożyła Aleksandra w obecności Alberta i całej jego rodziny katolickie wyznanie wiary przed proboszczem swej parafii. Ostatnie i jedyne życzenie Alberta się spełniło. Bóg wysłuchał jego modlitwy. Stan jego zdrowia pogorszył się w następnych dniach tak dalece, że każdej chwili można było śmierci się spodziewać.

Arcybiskup Paryża udzielił pozwolenia, aby Mszę św. można w pokoju Alberta i to zaraz po północy odprawić, aby chory naczczo mógł przyjąć wiatyk. Tak się też stało 5 czerwca.

Tu więc w północnej ciszy, przy łożu śmiertelnem swego małżonka, przyjęła Aleksandra pierwszą Komunię, podczas gdy on przyjmował ostatnią.

Kilka dni potem, czysta dusza Alberta poszła do Boga.

Od śmierci Alberta oddała się Aleksandra wyłącznie Bogu. Jeszcze młoda, w świetnych warunkach wychowana, pełna wdzięku i piękności, przywdziała żałobę i usunęła się do czcigodnych Pań od św. Tomasza z Willanowy w Paryżu. Tu miała małe mieszkanko, z którego tylko do kościoła i do ubogich wychodziła i nikogo nie przyjmowała oprócz dwu przyjaciółek. Wszystko rozdała ubogim,

stawszy się sama ubogą tak, że w ostatniej swej chorobie, gdy nawet niezbędnych rzeczy jej brakło, sama musiała przyjąć jałmużnę przyjaciółek i w ten sposób z Panem i mistrzem swoim Jezusem dobrowolnie ubóstwo dzieliła.

Umarła w Lutym r. 1848. Była to osoba wielkiego serca! Pragnienie czynienia dobrze pożerało ją. Bóg widocznie jej pracom błogosławił, na którego chwałę poświęciła całe życie i jak pierwszą tak i ostatnią Komunię przyjęła z zapałem i pobożnością, mając niepłonną nadzieję, że się wkrótce z mężem swym w niebie połączy.

(Fischer „Lerrch. Vorb". 3 t. s. 45).

Ludwika.

Przed 12 laty umarła w Tyrolu dziewczynka na imię Ludwika. Tylko sześć lat żyła na świecie, a jednak przed śmiercią przyjęła pierwszą Komunię. Oto co o niej opowiada jej nauczycielka:

Gdy była jeszcze zdrowa, słyszała, że dorośli ludzie mogą przystępować do Komunii św. i że przez Komunię Dzieciątko Jezus z swem bóstwem i człowieczeństwem, tak jak króluje w niebie, do naszego serca wstępuje. Już wtenczas pytała nieraz co i jak trzeba czynić, gdy się przyjmuje Najśw.

Sakrament, i prosiła matkę, aby ją jeszcze częściej brała ze sobą rano do kościoła, żeby mogła widzieć, jak ludzie komunikują; nawet próbowała w domu ustami i językiem pytając, czy tak należy czynić przy Komunii. A teraz, gdy była chora i mniej mogła wychodzić, jeszcze większą tęsknotę i pragnienie, miała przyjąć Komunię św. i nieraz pytała, jak długo będzie musiała czekać, aż będzie miała szczęście, po pierwszy raz przyjąć P. Jezusa do serca swego.

— Nieprawda kochana matko, mówiła, że wtedy dostanę białą sukienkę? nie dla mnie ani dla ludzi, lecz z miłości ku Jezusowi, bo On jest Najwyższy, który do mnie przychodzi. Ludwisia widocznie spadała z ciała — a choć nie mogła ukryć, że cierpi wiele, to jednak nie narzekała. Gdy ją żałowano, zawsze mówiła:

— Ja chcę cierpieć, ja chętnie cierpię; Pan Jezus także i jeszcze więcej cierpiał.

Lekarze nie mogli poznać jej właściwej choroby, a nakoniec radzili zmianę powietrza. Choć Ludwisia była bardzo chora, to cieszyła się jednak serdecznie nadzieją, że w drodze do S., dokąd ją miano zawieźć, wiele kwiatków narwie i dla Matki Boskiej piękne bukiety i wianki uwije, jak to czyniła gdy była zdrową. Ale nadzieja ją zawiodła, gdyż musiała bardzo spokojnie leżeć na wozie, a gdy przybyła na miejsce

przeznaczone, pokazało się, że powietrze było za ostre, a choroba coraz prędsze czyniła postępy. Wkrótce się przekonano, że o powrocie do zdrowia ani myśleć; udzielono jej przeto przez wzgląd na rozwinięcie jej dnia 25 lipca Ostatnie Namaszczenie, poczem w lekki sen popadła.

Skoro się ocknęła, prosiła o kapłana. Na pytanie, czegoby od księdza żądała, odrzekła:

— Chciałabym dostać ukochanego Zbawiciela, bo bez drogiego Jezusa nie mogę umrzeć!

Zaproszono tedy zacnego dziekana z S., który też natychmiast przybył i pytał małą Ludwisię, czego sobie życzy. Poczciwe dziecko złożyło ręce i rzekło:

— O, proszę mi przynieść drogie Dzieciątko Jezus.

— Tak!? — odrzekł ksiądz dziekan — czy takie pod szkłem, czy w kołysce usłanej kwiatkami?

Ludwisia się wypatrzyła wzrokiem zdziwionym i rzekła:

— Nie, nie, ja proszę o Dzieciątko Jezus z kościoła, które dla nas na świat przyszło tyle cierpiało i na krzyżu umarło, aby nas zbawić. O proszę mi je dać, i nie dozwolić mi umrzeć bez przyjęcia Go do serca mego.

Takiej prośbie dziecka nie mógł kapłan odmówić; pytał i egzaminował Ludwisię przez niejaki czas, a w końcu rzekł:

— Temu dziecku musimy Zbawiciela przynieść, choć jeszcze niema lat odpowiednich. Ona wszystko tak dobrze wie i rozumie, jak gdyby już od wielu lat się uczyła i w dojrzałym wieku była.

I jeszcze w tym samym dniu odprawiwszy spowiedź, przyjęła Najśw. Sakrament jako wiatyk. Jakież to szczęście dla Ludwisi! Z nadmiaru radości zapomniała o wszystkich swych cierpieniach; a co łaska Boża w niej w tej chwili zdziałała, poznać można z tego co następuje: Rozpromieniona radością rzekła wkrótce po Komunii:

— O teraz niech się dzieje co chce, ja się niczego nie boję!

Gdy jeszcze tej samej nocy straszna burza powstała, zapytała swą piastunkę:

— Czy się boicie? Chodźcie tylko do mnie, tu się wam pewnie nic złego nie stanie. O, ja mam teraz ukochane Dzieciątko Jezus, i nie boję się niczego.

Gdy się cierpienia wzmagały tak, że mimowoli krzyknąć musiała, zaraz mawiała:

— Ja chcę przecież cierpieć; o tak, ja chcę cierpieć; ukochany Zbawiciel, którego mam u siebie, daleko więcej cierpiał.

Jeszcze dziesięć dni żyła Ludwisia po pierwszej Komunii. Umarła jak mała Święta 5 Sierpnia 1873 roku.

(Schutzengel n. 7, 1886).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Władysław Długołęcki. T. J.

L. 3045.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.

(L. S.)

Kraków 20 Lipca 1892.

† *A. Kard. Dunajewski*
Książę-Biskup.

W Krakowie, w drukarni „Czasu" pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

III. Ciało i Krew Pańska.

C. Pierwsza Komunia.

(Ciąg dalszy).

Pierwsza Komunia w Paryżu pod dozorem Komuny.

Przytaczamy z „Pielgrzyma“ (Pelerin) zdarzenie, które sam proboszcz od św. Tomasza opowiada.

Ten parafialny kościół należał pierwej do OO. Dominikanów. Dawny ich klasztor zamieniono w kasarnię i umieszczono tam komitet wojskowy. W tych okolicznościach zostawali wierni pod bardzo niebezpiecznym i groźnym dozorem. Co dzień obawiano się zrabowania i zamknięcia kościoła.

Zbliżał się dzień 4 maja, w którym dzieci miały przystąpić do pierwszej Komunii. Po dojrzałej rozwadze osądził proboszcz, że nie należy dzieciom odmawiać największego

szczęścia tego, gdyż nie wiedział, czy podług nowych praw szkolnych będzie mógł jeszcze kiedy dzieci zgromadzić. Grożące niebezpieczeństwo przyczyniło się jednak wiele do dobrego przygotowania. Dziewczęta przybyły jak zwykle w białych sukienkach i wstąpiły bocznemi drzwiami do kościoła; chłopcy weszli zwyczajnemi drzwiami. Zaledwie święta czynność się zaczęła, gdy zgraja komunardów wpadła zbrojnie do kościoła i ustawiła się w samym środku nawy ku największemu przerażeniu obecnych. „Co to będzie?“ pytali jedni drugich i już bali się, czy nie będzie trzeba uciekać. Ale nad wszelkie spodziewanie dzicy ci mężowie stali cicho i poważnie.

— Ci zbłąkani ludzie — opowiada proboszcz dalej — których namiętność ze wszystkich dzielnic miasta zegnała, na widok tej pobożnej rzeszy, przejęci zostali uczuciami sobie nieznanemi, a podniosła i święta uroczystość, przedstawiająca się ich oczom, przykuła ich do miejsca. Nabożny śpiew i gorliwa modlitwa niewinnych dzieci, poważna postawa ich rodziców, święta godność kapłanów, Msza święta i całego zgromadzenia zachowanie wywarły nieprzeparty wpływ na serca tych pustych ludzi. Dowódca tej zgrai, nie mogąc dłużej zapanować nad swemi uczuciami, zawołał na głos:

— Obywatele! jak to pięknie!

Zachęcony i ośmielony tym wykrzykiem jeden z mężczyzn, rzekł do dowódcy, że corocznej procesyi dzieci przez plac św. Tomasza, która w dzień pierwszej Komunii zawsze się odbywała, w tym roku nie było. Gdy dowódca o przyczynę zapytał, że może im proboszcz nie ufał, odrzekł zapytany, że to była tylko ostrożność, aby tak święta uroczystość nie doznała jakiej przeszkody. Na to dowódca:

— Jabym był i najmniejszemu nieporządkowi zapobiegł.

— Popołudniu będzie także zgromadzenie, a jeźli pan chcesz, to poproszę proboszcza, aby zapowiedział procesyę i powiem mu, że pan się o porządek postara, rzekł ów mężczyzna.

— Ja ręczę, odrzekł dowódca, nikt się nie odważy przeszkodzić procesyi.

Gdym tę wiadomość otrzymał, opowiada dalej proboszcz, kazałem temu poczciwcowi podziękować i powiedzieć mu, że o pewnej godzinie wyruszy procesya. Nigdy pierwsza Komunia nie odbyła się z taką pobożnością i zbudowaniem, jak w tym smutnym czasie. Dzieci zgromadziły się na nieszpory i z największą radością dowiedziały się, że procesya się odbędzie. Główne drzwi wychodzące na wielki plac, a zamknięte od czasu panowania komuny, zostały otwarte. Dwaj kapłani w komżach rozpoczęli pochód. Dowódca

już ich oczekiwał i rozkazał ludziom swoim, aby byli w pogotowiu. Skoro ujrzał dwu kapłanów, dał znak. Komunardzi stanęli w porządku przy wejściu od ulicy św. Tomasza i przy drzwiach kościelnych. Potem zakomenderował dowódca: — Prezentuj broń! Tym honorem wojskowym na publicznym placu i otoczona tym wojskiem straszliwym, przyjęta została procesya dzieci. Następnie postępowała poważnie i uroczyście bez najmniejszej przeszkody i powróciła w ten sam sposób z głośną modlitwą na ustach, do kościoła. Jakiś posłaniec konny, udający się do komitetu, chciał środkiem procesyi przejechać i w tym celu spiął konia ostrogami. Dowódca zawołał: — Tędy nie wolno! — Ale jeździec zdawał się nie zważać na to. Więc dowódca chwycił czemprędzej konia za uzdę, poprowadził go wzdłuż procesyi aż do ujścia ulicy św. Tomasza i rzekł spokojnie: — Tędy droga, mój przyjacielu!

Można sobie łatwo wystawić, jakie wrażenie uczyniło to zdarzenie na kapłanów, rodziców i dzieci. O niczem innem tego dnia wieczór nie mówiono. Był to dzień prawdziwie piękny a radość nieopisana. Lecz zbyteczną radość bardzośmy wielką boleścią okupili.

Nazajutrz posłałem posłańca do tych ludzi, którzy przynajmniej teraz tak wspaniałomyślnymi się pokazali, i kazałem ich za-

pytać, kiedy ich będę mógł zastać razem zgromadzonych.

— Wczorajszej kompanii już tu niema, odesłano ją wczoraj wieczór na wały, — odpowiedziano.

— A gdzież można zastać jego dowódcę?

— Tego już więcej nie obaczycie, dziś rano kulką w łeb dostał.

Ta wiadomość jak piorun nas przeraziła. Jak się później dowiedziałem, zastrzelono tego dzielnego człowieka w kasarni św. Tomasza. Mamy niepłonną nadzieję, że Bóg temu zacnemu mężowi, który tak dzielnie bronił czci Bożej i tak heroicznej wiary złożył dowód, udzielił łaski szczęśliwej śmierci. I owszem z całą pewnością twierdzić można, że Bóg w swem miłosierdziu uczynił go uczestnikiem palmy męczeńskiej, gdyż dla czci Bożej życie oddać musiał w ofierze.

(Roczniki dziecięctwa Jezusa 1882).

Pierwsza Komunia dzieci szwajcarskich na francuzkiej ziemi.

Dnia 4 czerwca 1874 roku, w samą uroczystość Bożego Ciała odbyła się w Delle we Francyi, dla dwu szwajcarskich parafij Puntrut i Boncourt wzniosła uroczystość. Katolickie dzieci tych dwu parafij otrzymały pierwszą Komunię od swych wygnanych proboszczów.

O ósmej godzinie z rana nadjechał do Delle osobny pociąg z Puntrut, wioząc około 500 osób, a z Boncourt taką samą liczbę. Kościół w Delle odświętnie przystrojony przepełniony był wiernymi. Dzieci mające przyjąć pierwszą Komunię, w liczbie stu sześćdziesięciu w uroczystej procesyi przybyły o godzinie 9 do kościoła. Zaczęła się Msza św. Po Ewangelii wstąpił na ambonę kanonik Hornstein i miał kazanie. Całe zgromadzenie wybuchło głośnym płaczem, gdy kapłan mówił te słowa:

— Szwajcaryo, ojczyzno moja! gdzie się podziała ta tak sławiona wolność twoja? My, twoi synowie, twoje dzieci, musimy do obcego kraju uciekać, aby Boga swego przyjąć i Mszy św. wysłuchać! Szwajcaryo, ojczyzno moja, którą miłuję, kiedyż staniesz się znowu wzorowym krajem wolności, ziemią Wilhelma Tella! Kiedyż przestaną nasi prześladowcy znieważać ciebie w oczach całego świata?

Po kazaniu ogłosił tenże kanonik, że Ojciec święty udziela im swego apostolskiego błogosławieństwa i przeczytał następujące pismo Monsignora Nardi:

— Ojciec święty rozrzewniony waszą prośbą, którą mu przedłożyłem, udziela katolickim dzieciom z Puntrut i Boncourt, które 4 czerwca pierwszą Komunię św. od swych wygnanych pasterzy otrzymają, jak niemniej

i tym zacnym katolikom, kapłanom i świeckim, którzy na tej ceremonii będą obecni, z całego serca apostolskiego błogosławieństwa. Niech te drogie dzieci przy tej świętej czynności nie zapomną wznieść swych niewinnych serc ku Bogu i uprosić u Niego potrzebną pomoc dla swych rodzin, dla ojczyzny, dla zacnych kapłanów, dla swego mężnego biskupa i dla Ojca świętego. Niech się modlą te drogie dziatki, aby Pan Bóg cierpieniom swego Kościoła po tak długiem i strasznem prześladowaniu, które powszechnem nazwać można, prędki koniec położyć raczył.

Po odczytaniu tego pisma i po Komunii kapłańskiej przystąpiły dziatki do pierwszej Komunii. Każdy proboszcz udzielał Komunii swoim owieczkom. Całe zgromadzenie głośno płakało widząc, że dziatki szwajcarskie klęczą w kościele francuskim, aby z rąk swych wygnanych pasterzy przyjąć Boga swego, uchodząc przed podłym najemnikiem, którego im władza świecka za pasterza narzucić chciała, aby im wiarę ich ojców z serc wyrwać.

(Mainzer Kath. Volksb. 1874 n. 36 z Kellera).

Pierwsza Komunia dwu jeńców wojennych.

Nie bez wzruszenia i współczucia patrzymy co rok na dziatki przystępujące do pierw-

szej Komunii. Już od dawna i dzieci i rodzice cieszą się i gotują do tego dnia „który Pan uczynił“.

Dla niektórych chrześcian dzień ten bardzo późno przychodzi — a wtedy nabiera nieopisanego uroku radości i rozczulenia.

Takie szczęście spotkało dwu francuzkich jeńców po wojnie prusko-francuzkiej roku 1870—71 w Jngolstadzie w Bawaryi.

Pewnego dnia powracał kapelan wojskowy z kościoła Panny Maryi, gdzie słuchał francuzkich jeńców spowiedzi wielkanocnej. Wtem przystąpił doń jeniec francuzki i zapytał nieśmiało:

— Czy i ja mogę się wyspowiadać?

— I owszem, przyjdź pan jutro o 9-tej do kościoła, tam pan zastaniesz wielu kamratów, którzy się także spowiadają. Albo może pan wolisz zaraz teraz zemną pójść?

— Ale ja się jeszcze nigdy nie spowiadałem — rzekł Francuz. — Ja nie wiem jak się to robi. Ja nawet czytać nie umiem.

Co tu począć? Kapelan zapisał sobie imię i nazwisko Francuza i kasarnię w której stał.

— Dobrze, — rzekł potem, ja się postaram o naukę i resztę. Tymczasem dziękuję panu, żeś do mnie przemówił.

Między jeńcami znajdował się także przyszły kapłan, który swą sutannę na mundur zamienić i wraz z drugimi kampanię odbyć

musiał. Tego właśnie spotkał kapelan i prosił go, aby owego Francuza wyuczył katechizmu i do spowiedzi przygotował. Ten kleryk w mundurze czuł się szczęśliwym, że swego rodaka mógł uczyć i do ŚŚ. Sakramentów przygotować. Jeniec nazywał się Ludwik Nagot i miał lat 24.

W Paryżu z ubogich rodziców urodzony, wcześnie już stracił ojca. Matka posyłała małego Ludwika do szkoły, ale on nie mógł obojętnie patrzyć, jak matka cierpiała nędzę i zamiast do szkoły chodził do powrożnika, któremu za skromne wynagrodzenie koło obracał. W sobotę wieczór był szczęśliwy jak Krezus. Przyniósł 3 franki do domu i położył je matce ukradkiem do szkatułki. Gdy ta odkryła ten figiel dziecięcej miłości, ukarała ośmioletniego chłopca surowo; wolała raczej żyć w nędzy, jak dozwolić, aby jej dziecko bez nauki wzrastało. Lecz niestety, ta matka wcześnie umarła.

Ludwik wyuczył się później pozłotnictwa i wyrósł, w świątek i piątek pracując w Paryżu, owej sławnej stolicy cywilizacyi, nie mogąc korzystać ze skarbów łask Bożych w Kościele złożonych, gdyż ani religii, ani czytać ani pisać nie umiał.

Siedmio-miesięczna niewola w Jngolstadt miała mu w widokach Opatrzności posłużyć do tego aby to co zaniedbał, według sił odzyskał. Uczył się gorliwie i niczego tak nie

pragnął jak przed powrotem do Francyi przyjąć święte Sakramenta.

— Teraz albo nigdy — mówił, bo gdy znowu będę w Paryżu, ja dobrze wiem, to nic z tego nie będzie.

Dnia 15 Kwietnia przyszła wreszcie upragniona chwila. W kościele klasztoru Gnadenthal przystąpił Ludwik, trzymając w ręce świecę gorejącą, pięknie kwiatami ozdobioną, do ołtarza.

Kapelan podał mu Ciało Pana naszego Jezusa Chrystusa, podczas gdy pobożny śpiew zakonnic jak chór Anielski po kościele się rozlegał.

Szczęśliwa niewola, która do tak łask pełnej wolności synów Bożych prowadzi.

* * *

Jednego poranku zwrócił lekarz wojskowy uwagę tego samego kapelana na chorego, który miał rodzaj wrzodu na szyi. Ropienie się zmniejszało, ale lekarz oświadczył, że ono wnika do wnętrza i może wkrótce koniec życia sprowadzić.

Kapelan poszedł do chorego. Był to młody, piękny żołnierz od marynarki z wielkiemi jasnemi oczyma, który nawet nie domyślał się żadnego niebezpieczeństwa. Aby jednak załatwić sprawę sumienia, trzeba go było o niebezpieczeństwie uwiadomić.

Bez ulęknienia słuchał, że lekarz nie jest

bez obawy; zarazem się domyślał, co kapelan zamierzał.

— Jakże chętnie wyspowiadałbym się, — rzekł, ale księże proboszczu, ja się jeszcze nigdy w życiu ani spowiadałem, ani komunikowałem. Jakże to zrobimy?

— Mój kochany przyjacielu, wszak jesteś pan ochrzczony, jesteś katolikiem?

— Tak jest — odpowiedział i tak dalej mówił: — Ja także do szkoły chodziłem i na naukę religii, ale gdy moi towarzysze szli do pierwszej spowiedzi, ja właśnie zachorowałem. I znowu zachorowałem gdy oni przystępowali do pierwszej Komunii. Następnie poszedłem do sklepu, ale tem samem nie chodziłem ani na Mszę św. ani na kazanie; modliłem się jednakże i za pomocą książek religijnych wyuczyłem się prawd wiary. Chętniebym umarł, gdybym tylko miał szczęście przed śmiercią przyjąć ŚŚ. Sakramenta.

— Szczęśliwy młodzieńcze, powiadam panu, Bóg miłościwy chce panu koniecznie tę radość sprawić. Przygotuj się pan dziś spokojnie; jutro tu znowu przyjdę, a gdy się pan przy mej pomocy wyspowiadasz, podam panu pierwszą Komunię św.

Dał mu jeszcze medalik Matki Boskiej i poszedł.

Jakże pięknie odbyło się wszystko nazajutrz! Chory wzbudzał najczulsze akty wiary, miłości, nadziei i żalu za grzechy. Z najgo-

rętszą pobożnością przyjął Sakrament Pokuty, pierwszą i ostatnią Komunię i Ostatnie Namaszczenie.

Potem z szczerą wdzięcznością uścisnął kapelanowi rękę i płakał z radości.

Któż był szczęśliwszy: czy chory czy kapłan?

Jeszcze dwa tygodnie cierpiał wśród ciągłej modlitwy i wesołego zgadzania się z wolą Bożą, aż naraz prawie niepostrzeżenie, zasnął w Panu.

Dubois (Dyboá) — tak się nazywał ów młodzian — już tu na ziemi nie widział swej rodziny, ale zostawił jej pociechę od Pana: *Kto pożywa Ciało moje i pije Krew moją, ten ma żywot wieczny, a ja go wskrzeszę w ostateczny dzień.*

(Fischer. Lehrr. Vorb. 4 T. 55 Keller).

Piewsza Komunia hrabiego Paryża.

Gdy Ludwik Filip wskutek rewolucyi roku 1848 tron swój utracił, żył ze swą małżonką we willi koło Londynu i poświęcił się całkowicie staraniu o swą rodzinę, a osobliwie wychowaniu swego wnuczka: hrabiego Paryża. Skoro tylko tenże doszedł do wieku, w którym po pierwszy raz do Komunii św. mógł przystąpić, zgromadzili się wszyscy członkowie królewskiej rodziny, aby młodemu księciu dać zrozumieć ważność i świę-

tość dnia tego; a dzień w którym to się stało, był dniem świętej radości dla całej familii.

Matka hrabiego, acz protestantka, opisuje tę uroczystość w następujący sposób:

— Dnia 20 lipca 1850 udaliśmy się wszyscy wraz z królem Ludwikiem Filipem i królową, w otoczeniu całej rodziny i licznych wiernych przyjaciół o 8 godzinie do małej francuzkiej kaplicy w Londynie.

U stóp ołtarza, między królem i mną, miał hrabia swe miejsce; przed nim stał klęcznik na którym była gorejąca świeca.

Na lewem ramieniu nosił na znak swej niewinności białą wstęgę. Przede Mszą św., miał doń katecheta, ksiądz Guelles równie piękną jak wzruszającą przemowę, potem odprawił biskup Londynu Dr. Wiseman, Mszę św. Bezpośrednio przed Komunią przemówił doń i biskup bardzo pięknie i podniośle, poczem ks. Guelles poprowadził swego ucznia a mojego kochanego syna do ołtarza. Klęknął i przyjął Ciało Pańskie z czcią i skupieniem ducha, które podnosiło duszę do Boga. Potem obróciło się ukochane dziecko do mnie, i nigdy w mem życiu nie zapomnę tego nieopisanego spojrzenia, jakie na mnie rzucił. Jeszcze raz zwrócił się biskup doń z przemową, potem skończyła się Msza św., a my do głębi poruszeni opuściliśmy kaplicę.

Pobożność i święta powaga w całej po-

stawie jego się objawiała. Wszyscy obecni przejęci byli do głębi a nawet sędziwy król rzekł, że to jest najpiękniejszy dzień w jego życiu. W południe odczytał hrabia u stóp ołtarza odnowienie przysięgi Chrztu św. Następnie powróciliśmy do domu, pełni wdzięczności ku Bogu, który dzieci tak kocha i błogosławi. (Keller. Erst. Kom. str. 172).

Pierwsza Komunia księcia Burgundyi.

Skoro sławny Biskup Fenelon, księcia Burgundyi, swego ucznia uznał za dość roztropnego i dostatecznie przygotowanego, aby mógł ŚŚ. Sakramenta z taką wiarą i pobożnością przyjąć, jakich się Kościół domaga: poprowadził go do pierwszej Komunii.

Znaleziono w jego pismach szkic przemowy, którą miał przy tej sposobności a która była tak piękna i wzniosła, że mogła w młodem i pobożnem sercu długie i niezatarte wspomnienie zostawić. W chwili gdy książe Burgundyi przystąpił do ołtarza, przemówił doń biskup w te słowa:

Przyszedł nareszcie, łaskawy Panie, ten tak dawno upragniony i z tęsknotą oczekiwany dzień, który bez wątpienia o reszcie dni twego życia aż do śmierci rozstrzygającym będzie. Zbawiciel twój przychodzi do ciebie pod postaciami najzwyklejszej potrawy, aby nakarmić twą duszę, jak chleb co-

dzień twe ciało karmi; On ci się wyda tylko jako mała cząstka zwyczajnego chleba, ale w nim jest moc Boga ukryta, a wiara twa już Go tam znajdzie. Powiedz zatem do Niego, jak niegdyś Izajasz mówił: *Prawdziwie Ty jesteś Bóg ukryty.* Tak jest; On jest Bogiem z miłości ukrytym; On ukrywa swą wspaniałość, aby nasze słabe oczy nie były olśnione, a my tem poufalej mogli przystąpić. Tu znajdziesz ukrytą mannę, która w sobie zawiera rozmaity smak cnót niebieskich; tu pożywać będziesz chleb nadprzyrodzony; nie w ciebie, śmiertelnego człowieka On się zamieni, ale ty się przekształcisz, aby się stać żywym członkiem Zbawiciela. Niech wiara i miłość da ci zakosztować daru Bożego: *Skosztujcie i obaczcie, jako słodki jest Pan.*

Ceremonia ta zbudowała cały dwór a w sercu księcia Burgundyi zostawiła głębokie wrażenie najtkliwszej i najszczerszej pobożności.

W późniejszem życiu szukał w częstem używaniu N. Sakramentów pociechy i siły, które książętom jeszcze bardziej są potrzebne jak prostym ludziom, aby znieść wszelki trud i wszelkie ciosy, jakie się bardzo często pod zasłoną ziemskiej wielkości ukrywają.

Równocześni dziejopisarze opowiadają, że co dwa tygodnie komunikował z taką pobożnością i pokorą, że wszystkich, co byli tego świadkami napełniał podziwieniem; no-

sił wtenczas zawsze suknię zakonu Ducha św., chcąc przez to temu Bogu, którego miał przyjąć, w uroczysty sposób swą cześć oddać. Ale te zewnętrzne oznaki pobożności byłyby wszelką wartość straciły, gdyby się nie były stały szczęśliwymi dowodami wewnętrznej przemiany, jaką religia w sercu tego młodego księcia zdziałała.

Przemiana zaś ta była tak widoczna, że cały dwór ją spostrzegał, a pani de Maintenon sama mówiła:

— Od czasu pierwszej Komunii księcia Burgundyi uważaliśmy, jak powoli znikały błędy, które w dziecinnych latach jego dawały powód do obawy, co będzie w późniejszym wieku. Postępy jego w cnocie stawały się co rok widoczniejsze. Zrazu był on przedmiotem podziwu nawet dla najwystępniejszych. Nie przestaje zadawać sobie gwałtu, aby swe błędy zupełnie wykorzenić. Pobożność jego tak go przekształciła, że z gniewliwego dziecka stał się umiarkowanym, łagodnym i uprzejmym mężem, możnaby sądzić, że to jest jego naturalne usposobienie, i że cnota jest mu wrodzona.

Tak to Komunia działała codzień w sercu księcia cuda, które tych wszystkich w podziw wprawiały, co go w młodych latach znali. Nie widziano w nim już owego przez gniewliwość i popędliwość straszliwego dziecka; pobożność nadała wszystkim jego cno-

tom, wszystkim jego słowom łagodności i powabu. (Dr. Herbst Expb. 2 H. 395).

Z życia ks. Segura.

Już jako student w Paryżu był ks. de Segur członkiem towarzystwa św. Wincentego a Paulo. Pełniąc obowiązek swego powołania poszedł raz do szpitala Necker.

— Idź pan do Nr. 39, prosiła Siostra Miłosierdzia, tam leży młody człowiek mający około 33 lat, ma suchoty w najwyższym stopniu, za trzy dni z pewnością umrze. Robiłam, com tylko mogła, alem nic nie wskórała; nawet kapelan domowy nic nie pomógł. Prawdopodobnie i pana nie przyjmie; nie trzeba jednak niczego zaniedbać, wszak tu idzie o ocalenie biednej duszy.

— Ach Boże! dobra Siostro, rzekł student, jeśli mnie wygoni, to pójdę; dla mnie to rzecz obojętna i nie wiele mi zaszkodzi. Niech tylko Siostra zmówi jedno „Zdrowaś Marya“ za tego biedaka, gdy będę z nim rozmawiał.

Potem szedł de Segur od łóżka do łóżka i przyszedł także do nr. 39. Choremu śmierć wypisana była na obliczu. Był okropnie wychudły, a czarne oczy dziwnie płonęły. Gdy ten miłosierny Samarytanin doń się zbliżył, spojrzał nań chory dziko, nie mówiąc ani

słowa. Zapytany jak się ma, nic nie odpowiedział.

— Czy pan bardzo cierpi w tej chwili? Czy mogę panu przynieść jaką ulgę?

Ani słowa odpowiedzi. Spojrzenia chorego stawały się coraz groźniejsze, a de Segur przygotował się już na wybuch gniewu i zniewagę. Wtem Boska Opatrzność podała mu myśl. Zapytał żywo i półgłosem:

— Czyś pan godnie przyjął pierwszą Komunię?

Słowo to jak iskra elektryczna podziałało. Chory lekko się poruszył, oblicze jego przybrało inny wyraz, a usta wyszeptały:

— Tak jest, mój panie!

— Więc dobrze, mój panie, zapytał znowu de Segur, czyś pan nie był wtenczas nad wszelki wyraz szczęśliwy?

— O tak, wyjęknął chory, a dwie wielkie łzy popłynęły po policzkach.

— A dlaczegożeś pan był wtenczas tak szczęśliwy? Czy nie dla tego, żeś pan był czystym, niewinnym, bogobojnym i dobrym chrześcianinem? To szczęście może jeszcze powrócić; Bóg się nie zmienił!

Głośne łkanie było odpowiedzią na te słowa gorliwego studenta.

— Nie prawda, zapytał tenże, pan się chcesz spowiadać?

— I owszem, odrzekł chory głosem silnym, serdecznie ściskając go za rękę.

Pouczywszy i upomniawszy go jeszcze, opuścił de Segur szpital, a kapelan dokończył dzieła miłosierdzia duchownego, które tamten był rozpoczął.

(Życie Monsignora G. de Segur, Mainz. Keller).

Niegodna pierwsza Komunia.

Amerykański misyonarz opowiada następującemi słowy o strasznej śmierci nieszczęśliwego człowieka, który świętokradzką pierwszą Komunię przyjął:

W przedostatnim roku pobytu mego w Ameryce, zawołano jednego z moich współbraci do chorego. Człowiek ten, już dosyć podeszły, żył w zupełnej obojętności względem swych obowiązków religijnych. Chociaż z natury nie był skłonny do melancholii, zawsze jednak był pochmurny i smutny. Na dobrach doczesnych wcale mu nie zbywało; posiadał majątek ziemski i liczną służbę, a stosunki familijne były tego rodzaju, że mógł żyć w szczęściu i zadowolnieniu. A jednak był niezadowolony i nieszczęśliwy; wystarczyło dwa razy go obaczyć, aby się przekonać, że jakaś wielka troska cięży mu na duszy. Skoro tylko zachorował, cnotliwa jego rodzina natychmiast uwiadomiła o tem misyonarza. Ten powrócił właśnie z podróży do dzikich; ale chociaż znużony pracą

i podróżą, natychmiast udaje się do domu chorego. Tu wszyscy radują się z jego przybycia i spodziewają się, że choremu skuteczną przyniesie pociechę. Chory, dowiedziawszy się o przybyciu kapłana, zgadza się na jego przyjęcie i na rozmowę z tymże. Co było treścią tej rozmowy? Bóg sam to wie. Dosyć, ze trwała dość długo. — Wreszcie odchodzi kapłan i wkrótce powraca z Najśw. Sakramentem, jako zadatkiem zmartwychwstania i życia wiecznego.

Ujrzawszy swego Boga, zawołał chory nagle straszliwym głosem:

— To mój sędzia!

Misyonarz stara się go uspokoić — ale nadaremnie!

— Ja zgrzeszyłem, mówi dalej chory, zdradziłem krew niewinną; moja pierwsza Komunia była niegodna!

To rzekłszy, zasłonił twarz i ukrył się, drżąc okropnie, pod kołdrę. Odkrywając go, kapłan chce doń mówić, ale on już nie żyje! umarł w rozpaczy. Gdzie jego biedna dusza? Co za śmierć! co za wieczność! Oto skutki niegodnej Komunii. A jednak największą zbrodnię popełnił ten nieszczęśliwy przez to, że jak Judasz zwątpił o miłosierdziu Jezusa, które przecież zawsze większe jest jak nasze nieprawości.

(Keller. Altar-Sakr. 417).

Koniec straszny zepsutego chłopca.

Pewien chłopiec, którego Emilem nazwiemy, otrzymał od zacnej swej matki wyborne wykształcenie; owocem tego było, że Emil, jak długo pozostawał w domu, był cnotliwym i porządnym chłopakiem. Mając lat dziesięć, oddany został do jednego z zakładów w Paryżu. Z nim równocześnie wstąpili tamże dwaj inni uczniowie, z których jeden w równym był wieku, a drugi o rok starszy. Emil zaprzyjaźnił się wkrótce z nimi, gdyż ci swem uprzejmem i przyjacielskiem postępowaniem umieli go do siebie przywiązać. Biedny chłopiec nie domyślał się zrazu, że wpadł w ręce dwu niegodziwców, a później — niestety — nie chciał już zrywać tych więzów, w które go złe ich towarzystwo usidłało. Tym sposobem zupełnie stracił niewinność a z nią i słodki spokój serca; czego jeszcze brakło do zupełnego zepsucia, dokończyły złe książki, których żli jego przyjaciele mu dostarczali. Już na pierwsze wakacye powrócił do domu, ale jakże daleko inny od tego, co był przed rokiem!

Rodzice życzyli sobie, aby przyjął pierwszą Komunię. Emil przystaje, aby matkę zadowolnić, ale czyni to niechętnie. Przygotowuje się wraz z innymi i zdaje się nawet jak gdyby się pozbywał niektórych błędów;

ale to wszystko było tylko pozorne, to była obłuda. Spowiada się, ale zataja ciężkie grzechy. — Oto pierwsze świętokradztwo! Komunikuje — oto drugie świętokradztwo! Oszukani rodzice posyłają go nazad do zakładu. Tu jednak okazał Emil tak smutną zmianę, że wkrótce nietylko dla nauczycieli, ale nawet dla współuczniów stał się nieznośnym. Używano próśb, gróźb i nawet dotkliwych kar, ale Emil stawał się coraz gorszym. Nareszcie doprowadził do tego swą przewrotnością, że go nauczyciel na kilka godzin kazał zamknąć do osobnej izby. Dano mu książki, papier i wszystko co było potrzebne do napisania zadania.

Po upływie tych kilku godzin, udał się nauczyciel do Emila i zapukał — niema odpowiedzi; otwiera — i widzi Emila powieszonego! Wystawcie sobie przestrach i przerażenie biednego nauczyciela na taki widok. Na stole miasto zadania leżał rodzaj testamentu, który sam spisał a w którym swe zasady wyjawił; zasady godne bezbożnika, bluźniercy, potępieńca.

Taki był koniec dziecka nieszczęśliwego, które umarło jak Judasz, skoro jak Judasz zgrzeszyło. (Keller Alt. Sakr. 419).

Niegodna Komunia i jej skutki.

Pewien chłopiec, który się gotował do pierwszej Komunii, dał nieraz proboszczowi

swojemu powód do obawy — która jak się później okazało, nie była bez powodu.

Chłopak ten w późniejszych latach poszedł na bezdroża i dla swych zbrodni stał się postrachem całej okolicy. Przez długi czas udawało mu się uchodzić przed ramieniem ludzkiej sprawiedliwości, ale w końcu schwytano go za skrytobójstwo i skazano na śmierć.

Dowiedziawszy się o tem jego dawny proboszcz, natychmiast udał się w drogę w nadziei, że będzie mógł zdziczałe serce tego złoczyńcy do Boga nawrócić i przygotować go do szczęśliwej śmierci. Przychodzi więc do więzienia, rzuca się w objęcia swego parafianina i mówi, że przyszedł, aby go w jego smutnem położeniu pocieszyć.

Ujrzawszy swego proboszcza, zalewa się zbrodniarz łzami i łkając woła:

— Czy to doprawdy mój ksiądz proboszcz? Jakto, ksiądz proboszcz o mnie nie zapomniał, o mnie nędzniku, który jego serce tyle razy zgryzotą i zmartwieniem napełniłem? Ksiądz proboszcz był tak dobry dla mnie, a jam był tak niewdzięczny! Ach, jest czas w mojem życiu, o którym nigdy nie mogę zapomnieć, bo on był dla mnie tak pełen grozy i doprowadził mnie dotąd, gdzie mnie ksiądz proboszcz teraz widzi: a tym jest czas pierwszej Komunii. Ksiądz proboszcz czynił wszystko, aby mnie godnie przygotować, a ja czyniłem wszystko, aby ją źle od-

prawić i biada mi! aż nadto mi się udało! O ja nieszczęśliwy! Proszę iść odemnie! ja nie zasługuję na to szczęście, aby ksiądz proboszcz na mnie patrzał!

— Uspokój się mój synu — rzekł proboszcz — Bóg sam do ciebie mnie posyła, aby cię przycisnąć do swego ojcowskiego serca i dać ci pokój sumienia. Przezemnie ofiaruje ci Bóg przebaczenie; więc użyj biedny, marnotrawny synu, ostatnich godzin życia, aby przez szczerą i pełną skruchy spowiedź, z Panem swoim się pojednać.

— Ach, czy ksiądz proboszcz doprawdy sądzi, że Bóg się jeszcze nademną zmiłuje i przebaczy mi moją niegodną pierwszą Komunię?

— Z pewnością mój synu; to tylko od ciebie zależy. A więc zaraz teraz zacznijmy!

I skazaniec z najżywszą skruchą odprawił spowiedź z całego życia; na końcu zapewnił, że chętnie przyjmuje śmierć jako pokutę swej niegodnej pierwszej Komunii, która się stała źródłem wszystkich jego nieprawości. W końcu dodał:

— Księże proboszczu, proszę mi wyświadczyć miłosierny uczynek i powiedzieć moim dzieciom, żeby, jeśli chcą uniknąć losu swego nieszczęśliwego ojca, starali się godnie przystąpić do pierwszej Komunii.

Dokąd doprowadziła tego nieszczęśliwego pierwsza Komunia niegodnie przyjęta! Do

morderstwa. I cóż w tem dziwnego? Nic. Jakże szatan obejdzie się z tym, który tak niegodnie z Najwyższym się obchodzi, jako czyni ten, co świętokradzko przyjmuje Komunię? który nie zadowolony z tego, iż sam się oddaje w moc księcia ciemności, jeszcze i z Panem i Bogiem swoim czyni tosamo? jakaż przepaść grzechu jest tak głęboka, aby taki niegodziwiec w nią się nie mógł rzucić?

(Wackers Gesch. für Erstkom. Keller).

Z życia W. O. Olivaint.

Było to w lipcu 1863 roku, gdy sławnego Ojca Olivaint, później męczennika paryzkiej komuny, zawołano spiesznie do osobistości bardzo cenionej, która była bliską skonania. Choroba trwała już długo, ale chory był zatwardziały, tak iż mało sobie robiono nadziei, aby się zmienił. Nikt z otoczenia nie ważył się dotąd ani słówkiem wspomnieć o kapłanie, o Kościele albo o religii w jego obecności, aby nie wywołać gwałtownego zajścia.

Dzieci i wnuki chorego spełniali wprawdzie obowiązki religii, ale nie należeli do najgorliwszych.

Pogrążeni w wirze zmysłowych przyjemności i zabaw światowych, w obliczu śmierci porzucili ziemskie myśli i poważniej myśleć

zaczęli. Prócz tego mieli serce dobre i przywiązanie i miłość ku choremu i czuli się nieszczęśliwymi, że ich ojciec i dziad tak jest uparty, i najmniejszej wzmianki o religii nie chce cierpieć.

Jedna tylko osoba zdawała się być wolną od tej troski niepokojącej, a tą był brat chorego. Pan ten był wprawdzie wiekiem podeszły, ale zachował czerstwość i siły młodzieńcze; miał przytem bystry rozum i serce zacne. A jednak i on tracił natychmiast swoją uprzejmość podobnie jak i brat jego chory, skoro tylko najmniejszą kwestyę religijną poruszono. Ba, nawet zdaje się, czuwał nad swym chorym bratem, aby w niwecz obrócić wszelkie usiłowania skierowane ku jego nawróceniu.

Tymczasem wszystko zápowiadało śmierć bliską, czas ulatywał, dłużej czekać było niepodobieństwem. Każdy dzień mógł być ostatnim, a każdy z krewnych począł odczuwać niepokój sumienia, na myśl, że przez ociąganie może się stać winnym złej śmierci chorego. Trza więc było szybko działać.

Jedna z córek chorego, pani C. idzie do ojca i prosi, aby mogła z nim sam na sam pomówić.

Starzec zezwala ze zwykłą uprzejmością i dobrocią.

— Kochany ojcze! — zaczyna pani C. — Przecieżeś mi nigdy nie sprawił przykrości,

ale dzisiaj sprawiasz, że wszyscy jesteśmy niepocieszeni. Dziś rano pragnąłeś swe dzieci pobłogosławić, nim umrzesz, a ty sam nie chcesz błogosławieństwa Bożego? A jednak tylko Bóg ma prawo, dać ci błogosławieństwo, a ty sam tylko w imieniu Bożem dzieci twe możesz błogosławić! Wszak ty nas tak kochasz, więc też nie opieraj się dłużej naszej tkliwej miłości i uczyń koniec naszemu zmartwieniu! Wszakże przez całe życie byłeś surowym wykonawcą prawa słowem i czynem!

Jak sobie to wytłumaczyć, że te proste słowa wzruszyć zdołały tak twarde serce? Nie inaczej, jak, że łaska Boża tego środka użyła, dość, że lody przełamane zostały.

— Więc dobrze — rzekł; — ale poszlij mi po rektora z Vaugirard (Wożirar); słyszałem, zdaje się od mego brata, że to jest bardzo wykształcony człowiek.

Po dłuższej rozmowie z ks. Olivaint, spełnił chory jak najakuratniej wszystkie obowiązki katolika i ze skupieniem i pobożnością przyjął święte Sakramenta.

W dwa dni potem skonał, pobłogosławiwszy swe dzieci; umierając trzymał jedną ręką brata, a drugą ściskał rękę nowego swego przyjaciela ks. Olivaint, który go Bogu i niebu pozyskał. W kilka dni potem odebrał ks. Olivaint następujący list:

— Kochany, czcigodny Ojcze! Nawróciłeś

mego brata w ostatnich godzinach życia jego. Dziesięć minut przed śmiercią rzekł do mnie samego cichuteńko: „Posłuchaj tego kapłana; on mówi prawdę; miałem niesłuszność, żem uczynił tak jak ty; dzięki jego staraniom, umieram zadowolony“.

Muszę Ci wyznać, czcigodny Ojcze, że brat mój był rozkoszą mego życia, a jednak są rzeczy, których mu nigdy nie powiedziałem. W sprawach religii nie myślał on zupełnie tak, jak ja; nie chciał wprawdzie chodzić do kościoła, ale wierzył w Boga i Jemu przypisywał wszystkie dary i zalety, przymioty ciała i duszy, zachowanie godności, męztwo i prawość, którym przez całe życie wiernym pozostał. Co się mnie tyczy, to zawsze wierzyłem we wszystkie nauki Kościoła, ale żadnej nie wykonywałem. Ja więc winniejszym jestem jak mój brat. Byłem dobrym żołnierzem, ale nigdy nie miałem odwagi objawić komu pewnych tajemnic, które chciałem ze sobą wziąść do grobu. Ale od czasu tak pięknej i spokojnej śmierci mego brata, wiele cierpiałem, i proszę czcigodnego Ojca o pomoc i cierpliwość miłości, abym ten tajemniczy wstręt mógł zwyciężyć, który całe me życie zatruł.

Ojciec Olivaint odpisał mu:

— Proszę mnie z łaski swej odwiedzić w poniedziałek rano i liczyć na wszelkie usługi.

W poniedziałek jednak otrzymał ojciec Olivaint miasto gościa oczekiwanego następujący list:

— Czcigodny Ojcze! Jestem zanadto trwożliwy; nie mogę Ojca odwiedzić, wolę raczej pisemnie Ojcu opowiedzieć to, co już dawno chętniebym był powiedział: Mojem najpierwszem i największem nieszczęściem było to, żem pierwszą Komunię niegodnie przyjął.

W przeddzień owego dnia pierwszej Komunii, o którym bez zgrozy pomyśleć nie zdołam, popełniłem grzech ciężkiego, zbrodniczego nieposłuszeństwa, który także jednego z moich towarzyszy o zgubę przyprawił.

Obaśmy się przelękli grożącej nam kary i skutków naszego wykroczenia i postanowiliśmy nic o tem nie mówić. Mam teraz lat 78, Czcigodny Ojcze, a wstydzę się, gdy sobie wspomnę, żem w 12 roku życia przystąpił do Stołu Pańskiego wraz z moim towarzyszem, mając w sercu grzech zatajony, chociaż nas najserdeczniej zachęcano do szczerości. Owładnęła mną pogarda samego siebie, która się stała katuszą całego życia mego.

W dwa lata później zrobiliśmy obaj przejażdżkę po stawie; przypadkiem czółno się przewróciło i obaj wpadliśmy do wody. Szybka pomoc ocaliła nas od śmierci, ale towarzysz mój nie długo żył po tym wypadku.

Umarł we trzy godziny z wyrzutem, który mi gorzko się uśmiechając uczynił:

— Nasza pierwsza Komunia!

Jam został przy życiu, aby dźwigać ciężar tej śmierci. Owe ostatnie słowa jak ogniste pismo wyryły się w mem sercu! Straszne to wspomnienie ani na chwilę mnie nie opuściło. Widzę to dziecko we wszystkich myślach moich. Ilem razy chciał się rozweselić i rozerwać, tyle razy przychodziło, aby mi wzbronić pociechy. Szukałem samotności i wolałem sam pozostać, chciałem uniknąć wszelkiego przywiązania, wszelkiej przyjaźni, aby nikt nie miał udziału w męczarni, którą przechodziłem. Sądziłem, że moja trwoga, moje zamięszanie, byłyby zdradziły przed memi dziećmi moją hańbę i wyrzuty sumienia. Jakież spojrzenia pogardy i niechęci byłbym ściągnął na siebie! Tylko brata mego, którego namiętnie kochałem, starałem się oszukać, aby sobie jego szacunek zaskarbić. Gdybym musiał sądzić, że on może czytać w głębi mego nędznego serca, to śmierć byłaby pewnem następstwem tak okropnego odkrycia.

Chociaż mej winy w żaden sposób zapomnieć nie mogłem, chociaż wszelkie usiłowania w tym celu zostały bez skutku, byłaby mi przynajmniej została nadzieja przebaczenia, gdybym się był starał zasłużyć na nie przez szczerą spowiedź; ale nie

miałem odwagi, a przytem cieszyłem się — powszechnym szacunkiem! Tylko ja sam musiałem go sobie zaprzeczyć. Znałem i spełniałem obowiązki względem każdego — wyjąwszy względem samego siebie. Teraz zaś, gdy mój brat umarł — a umarł w błędzie, w którym go przez całe życie zostawiłem, gdy dotknąłem tej ręki, którą on Tobie Ojcze podał, teraz jestem jeszcze nieszczęśliwszy.

Czcigodny Ojcze! teraz Ci wszystko powiedziałem, raz przecież wstąpiłem na drogę prawdy, aż dotąd nią szedłem i głowę mą pochyliłem — teraz proszę mi przyjść w pomoc abym ją mógł znowu podnieść.

Kto miał szczęście znać Ojca Olivaint, z jego mów lub pism, ten tylko zdoła sobie wystawić wrażenie, jakie ten list na nim wywarł. Nie wiemy, co nań odpowiedział, ale następujący list dowodzi, że umiał poruszyć i podnieść owo złamane, nieszczęśliwe serce.

List ten brzmi:

Wielebny Ojcze! Wszyscy aniołowie nieba i ziemi nie mogą więcej tkliwości, więcej miłości i pociechy udzielić jak Ty! Chciałbym być w twoim wieku, a wtenczas zostałbym Jezuitą, aby mieć władzę i prawo umarłych wskrzeszać i tym dać pomoc i szczęście, którzyby go bez Ciebie nigdy nie byli doznali.

Życzę sobie, aby się po mojej śmierci dowiedziano, jak, dzięki Twym szlachetnym staraniom, milosnemu zaparciu się, dzięki Twej porywającej wymowie i sercu tak wylanemu, grzesznik aż nadto wielki, nauczył się znać i czuć słodką pociechę skruchy... Dzięki, mój ukochany Ojcze! wieczne dzięki!

Listy te, podług ostatniej woli piszącego, który tak późno, ale tak szczęśliwie za pierwszą niegodną Komunię odpokutował, dopiero po jego śmierci 1 czerwca 1871 roku w Paryżu drukiem ogłoszone zostały.

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Teodozy Sozański T. J.

L. 3296.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.

(L. S.) † *A. Kard. Dunajewski*

Książę-Biskup.

Kraków 6 Sierpnia 1892.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

III. Ciało i Krew Pańska.

C. Komunia.

(Dokończenie).

Przestroga dla komunikujących.

Wiedeń. Przed kilku laty prowadzono w L. dzieci do pierwszej Komunii świętej. Między niemi był także chłopak, który przez swą anielską powierzchowność i skromność uwagę wszystkich na siebie zwracał.

Opuśćmy teraz to święte miejsce i udajmy się na inne. Tam całkiem inny obraz oczom się naszym przedstawia. W gospodzie siedzi grono młodych ludzi około stołu, krzycząc i hałasując. Ślady nieumiarkowania widać na ich twarzach, zepsute ich serca poznać po mowie. Między nimi spostrzegamy młodzieńca, który zdaje się rej wodzić między nimi. Bezwstydnemi mowami, bezbożnem szyderstwem ze wszystkiego co święte, przewyższa wszystkich. — A ja wam mówię — zawołał wresz-

cie: niech wszystkich popów d.... porwą; gdyby odemnie zależało, wszystkich bym powywieszał na suchej gałęzi.

Jeszcze raz niech czytelnik ze mną idzie; poprowadzę go teraz do ciemnego lasu. Kilku mężczyzn stoi w milczeniu na około drzewa; starają się wisielca, co sam się powiesił, od stryczka uwolnić.

— Jakie życie, taka śmierć, zauważył jeden z nich, skoro go na wóz włożyli i z nim odjechali. Nie chcemy tu przytaczać szczegółów tej strasznej zbrodni, sprawimy się krótko.

Ten wisielec i ów młodzieniec co bluźnił imieniowi Bożemu, i ów skromny chłopczyk, który tak pobożnie przystępował do pierwszej Komunii, był jedną i tąsamą osobą. A przemiana tak bolesna dokonała się w przeciągu lat sześciu. Sześć lat wystarczyło, aby z anielskiego chłopczyka uczynić szatana. Jak to być może? zapyta czytelnik. A jednak to, cośmy opowiedzieli, nie jest ani bajką, ani wynalazkiem wyobraźni, ale prawdziwem zdarzeniem.

Rodzice tę nieostrożność popełnili, że go dali na naukę do majstra, który wprawdzie w swem rzemiośle był dzielny, ale o religię i Pana Boga wcale się nie troszczył. Czeladnicy zupełnie byli podobni do majstra. W warsztacie utracił chłopiec ów powoli wiarę i cnotę, grzązł coraz głębiej, aż wresz

cie porwał za stryczek i położył koniec występnemu życiu.

(Kath. Kirchbl. 1882 n. 16 Keller).

Wieczorna Komunia żołnierza.

Przed kilku tygodniami przyszedł żołnierz o siódmej godzinie wieczór do kapelana wojskowego i prosił o Komunię św.

Kapłan zdziwiony, zrobił mu uwagę, że chcąc Komunię św. przyjąć, musi być naczczo i kazał mu przyjść nazajutrz rano.

— Księże proboszczu — rzekł żołnierz — ja już od wczorajszego dnia nic w ustach nie miałem. Dziś cały dzień byłem zatrudniony w kasarni, bo nasz regiment jutro do dnia „rukuje“; tym sposobem dopiero teraz czas znalazłem, aby do księdza proboszcza przyjść i o Komunię św. prosić. Kapelan wzruszony i zbudowany tą odpowiedzią, poszedł z żołnierzem do kościoła i udzielił mu Komunii św. o którą tenże z tak żywą wiarą i gorącem pragnieniem prosił.

(Eichsf, Volksb. 1885 n. 55).

Wróg Komunii.

— Znałem, opowiada Kassyan, pobożną i anielską czystością obdarzoną duszę; wskutek swej niezrównanej pokory i straży nieustannej nad zmysłami, wyjednała sobie u Boga dar nadludzkiej czystości. Jak piękne

zwierciadło, dusza ta była zawsze czysta i jasna, ani najlżejsza plamka nie skalała blasku tego pięknego zwierciadła, w którem Bóg chętnie się przeglądał. Jej szczęściem, jej niebem na ziemi było: w sobotę i niedzielę przyjmować Komunię św.

Zazdroszcząc piękności tej duszy i tryumfu Jezusa, uwziął się anioł ciemności na zgubę tego zakonnika i aby celu swego tem pewniej dopiąć, wstrzymywał go od chleba mocnych, od chleba żywota. W przeddzień Komunii nawiedzał go strasznemi walkami, poddawał mu tysiączne przykre myśli i poplątał mu pomimo dzielnego oporu i niezwyciężonej odwagi, tak dalece sumienie, że z uszanowania dla dziewiczego chleba nie chciał się do stołu Pańskiego przybliżyć.

Żył tak przez niejaki czas w smutku, bez pociechy i odwagi i nie ważył się nawet wzroku swego podnieść do chleba anielskiego. Jednego dnia olśniony światłem niebieskiem, poszedł do przełożonego i odsłonił mu stan swej duszy.

Przełożony, człowiek dzielny i w kierownictwie dusz doświadczony, bez trudności poznał, że owe walki pochodzą ze złości i zazdrości szatana, który tę duszę tak Bogu miłą tym sposobem chce zgubić, że ją od łaski Komunii św. odciąga, której i dla swych cnót i dla oporu pokusom jest godna. Rozkazał mu zatem, aby temi napaściami po-

gardzał i nie trwożył się szatańskiemi podstępami i pomimo pokus w dni regułą przepisane do Stołu Pańskiego przystępował.

Usłuchał, a Jezus chcąc jego posłuszeństwo nagrodzić i objawić mu potęgę swego Ciała dziewiczego, nakazał burzom pokus uciszyć się, a pokój Boży napełnił jego duszę niebieską rozkoszą, która mu w N. Sakramencie niebo na ziemi znaleść pozwoliła. (Huguet. Andacht z k. Euchar. Keller).

Pragnienie Komunii św.

Gdy kilkadziesiąt lat temu w Austryi cholera się srożyła i wiele ofiar porywała, zachorował też pewien młodzieniec 15-letni w M. i już był bliskim śmierci.

Kapłana, który tego samego dnia od jednego chorego do drugiego spieszył, gdy chciał wracać na plebanię, zawrócono z drogi i proszono, by poszedł do tego młodzieńca.

— Bardzo pragnie przyjąć Komunię św., mówiono. I mówiono prawdę. Radość chorego, gdy kapłan przyszedł z Panem Jezusem, była nie do opisania; oczy jego zabłysły, ręce się złożyły do modlitwy pomimo niezmiernych boleści, na piersiach, podniósł się na łożku i oddał cześć N. Sakramentowi, i w głos dziękował, że ksiądz i do niego przyszedł. Ale napady cholery tak prędko się powtarzały, że najprzód trza było temu

biedakowi tylko Sakramentu Pokuty i Ostatniego Namaszczenia udzielić.

Chory na ciężką próbę był wystawiony. Komunii św. dla ciągłych prawie wymiotów nie mógł przyjąć. Ale zawołał:

— Proszę księdza dobrodzieja mnie nie opuszczać, proszę Zbawiciela odemnie nie odnosić, proszę przy mnie zostać.

Kapłan byłby go i tak nie opuścił, ale to gorące pragnienie chorego, który pomimo wszystkich swych boleści i cierpień szczęśliwym się czuł, że „jego Zbawiciel u niego został, a pokój jego stał się tabernakulum“, chwyciło za serce zacnego kapłana, tak, że tem chętniej u chorego pozostał, pocieszał go, wspierał i niejedną przysługę miłości mu wyrządził, do której poczciwa, słabowita, łzami zalana matka nie była zdolna.

Jeszcze więcej jak dwie godziny trwały straszne napady choroby — chory patrzał to na Najśw. Hostyę, to na kapłana i był cierpliwy i cichy jak baranek. Wreszcie około 11 godziny w nocy uspokoił się nieco; tęsknota jego zaspokojona została; mógł Komunię św. bez niebezpieczeństwa i natężenia przyjąć i przyjął ją z rzadką pobożnością, którą uczucie wdzięczności ku Jezusowi jeszcze spotęgowało.

Już nie miał odtąd żadnych napadów i nie umarł; najmilszy Zbawiciel uzdrowił gorącego czciciela swego.

Ledwie wyzdrowiał, musiał opuścić matkę. W rok potem, odwiedził ją i kapłana, który go zaopatrzył i pocieszał. Wdzięczność jego była tak serdeczna, że kapłanowi łzy z oczu płynęły. Kto może na pobożną i wdzięczną duszę bez wzruszenia patrzeć! Kapłan dał mu na drogę zbawienną naukę a młodzieniec obiecał, że te nauki wiernie zachowa.

(Fischer s. 61 III B. Keller).

Pomoc w potrzebie.

Ojciec Dominik Mesens, kapłan zakonu św. Franciszka a zarazem proboszcz w Castroville w Texas (Ameryka), odmawiał jednego poranku po Mszy św. brewiarz, gdy jeździec w mocnym galopie zbliżał się do jego mieszkania.

— Musi mu być bardzo pilno — pomyślał kapłan i przystąpił do okna. Koń właśnie stanął pod oknem, jeździec zsiadł z konia, a ujrzawszy kapłana, rzekł:

— Księże proboszczu, moja żona kona, proszę się spieszyć, co koń wyskoczy, choćby miał paść, ja księdzu dam innego; ale bez ostatniej pociechy niech moja żona nie umiera.

Ten, co to mówił, był człowiekiem zacnym i szanowanym; nie można sobie było lepszego katolika pomyśleć.

— Wróć pan, panie Brockfield, zaraz za panem pojadę, niech pana Bóg błogosławi i pociesza pańską żonę.

— Nawzajem! odrzekł ze łzami w oczach, ale proszę jechać przez sitowie na Riverfeld, tamtędy bliżej.

Po tych słowach spiął konia i znikł w kierunku, w którym przybył.

W tem sitowiu kilka panter (rodzaj tygrysa) miało swe łożysko i tam miałem z niemi się zaznajomić. Pantera nie jest u nas zwierzęciem szkodliwem, jeśli ją się nie drażni; jednak trzeba się mieć na baczności, zwłaszcza jeźli głodna i w większej liczbie. Nadto wałęsali się tamtędy Indyanie.

Zaledwie farmer odjechał, kazałem Tomaszowi, słudze kościelnemu osiodłać konia. Gdym z kościoła niosąc N. Sakrament wyszedł, już mój konik czekał osiodłany, grzebiąc nogą z niecierpliwości. Wziąłem broń i wskoczyłem na koń. Konik obrócił się głową ku mnie, jakby chciał zapytać, czy ma spieszyć. Dałem mu kawałek cukru, a to było znakiem pośpiechu i jak strzała popędził. Katolicy robotnicy klękali, gdym pędził koło nich, a ja im udzielałem błogosławieństwa. Pędząc tak całą godzinę ostrym galopem przez łąki, dojechałem do owego miejsca, gdziem miał skręcić do sitowia. Jechałem może jakie pół godziny, gdy mój kasztan zaczął się niepokoić i pokazywał po sobie, że zwietrzył jakieś drapieżne zwierzę. Powoli stąpał naprzód, a ja wyjąłem rewolwer i byłem w pogotowiu.

Nagle koń ani rusz naprzód; spiąłem go ostrogami — koń rzucił się naprzód jak strzała — ujrzałem o jakie 30 kroków dwie pantery; leżały tuż obok siebie wsparte na przednich łapach, gotowe do skoku. Ściągnąłem lejce, koń stanął. Ostrożnie wyjąłem strzelbę, bo na tę odległość strzał rewolwerowy nie pewny. Pantery leżały podczas tego całkiem spokojnie i nieruchomo nawet wtenczas, gdym kurek odwodził, zdawało się, że czekają tylko na wyzwanie, aby potem na mnie się rzucić.

Biada mi, gdyby moja kula nie trafiła, co bardzo łatwo stać się mogło, gdyż mój koń przelękły nie mógł ustać spokojnie. Wreszcie wziąłem kapsułkę z N. Sakramentem w lewą rękę, w prawą rewolwer i spiąłem konia ostrogami, mając zamiar tylko wtenczas strzelić, gdyby się na mnie pantery rzucić chciały. Pantery jednak, które się tego widocznie nie spodziewały, wróciły do sitowia a ja mimo nich popędziłem.

Teraz zajęła mnie myśl, czy też chorą jeszcze przy życiu zastanę. Koń mój niesie mnie jak strzała przez rowy i haszcze; w Texas, nietylko trza być dobrym księdzem, ale także i dobrym jeźdźcem, jeśli się nie ma ochoty karku skręcić; bo w Texas są mieszkania farmerów czasem o 20 lub 30 mil angielskich oddalone od siebie i od miasta, a często życie księdza i chorego

zależy od tego, czy ksiądz jest dobrym jeźdźcem. Uniknąwszy tych niebezpieczeństw przybyłem nad rzekę, którą miałem przepłynąć. Koń mój był całkiem spocony i musiałem się obawiać, aby mi nie ustał, gdyby spocony wszedł w wodę. Ale co było robić? Przepłynąłem szczęśliwie rzekę, i chciałem znowu galopem się puścić, ale nie udało się — koń zmęczony długą podróżą, tylko powoli naprzód postępował.

Tak dojechałem do małego wzgórka z którego ujrzałem mieszkanie farmera, jeszcze 2 mile angielskie odległe; zaledwie stanąłem na górce, gdy jeździec szybko się do mnie zbliżał i chustką znak mi dawał. Bolesna myśl mi przyszła, że biedna kobieta umarła, a moje staranie było daremne. Ale parobek wołał:

— Proszę się spieszyć księże proboszczu!

Koń mój, jakby rozumiał te słowa, dobył ostatka swych sił. Kobieta żyła jeszcze, a ujrzawszy mnie rozradowała się bardzo, że może jeszcze przyjąć Pana Jezusa; przyjęła wszystkie Sakramenta z nadzwyczajną pobożnością — potem za kilka minut skonała.

Farmer płakał gorzko, ale miał tę pociechę wielką, że widział żonę opatrzoną ŚŚ. Sakramentami. Koń mój padł nie żywy, farmer kazał ze swej stajni wyprowadzić 24 konie, abym sobie za mego wiernego kasztanka innego wybrał.

(Der christ. Pilger n. 10 1886, Keller).

D. Msza święta.

O Mszy św. mówiliśmy już przy III przykazaniu Boskiem i przy II przykazaniu kościelnem. Dlatego w tem miejscu tylko kilka przykładów przytoczymy.

Obecność Boska.

Jest to niestety smutnym faktem, że bardzo wielu Chrześcijan bez należytego nabożeństwa i uszanowania na Mszy św. się zachowują. Ich postawa i zachowanie się wcale nie pozwalają wnosić, że się znajdują przed tronem nieskończonego majestatu; a jednak nawet niewierny czuje w obecności naszego Boga na ołtarzu ukrytego, dreszcz tajemniczej przytomności Stwórcy swego, który go zmusza uklęknąć i ukorzyć się przed nieznanym sobie Bogiem. Za dowód niech posłuży następujące opowiadanie nawróconego Turka:

— Jako członek poselstwa naszego sułtana, na dworze jednego panującego, przebywałem przez niejaki czas w Rzymie. Na jednej z przechadzek szedłem obok bramy kościoła św. Piotra i dla zabicia czasu wstąpiłem do tego wspaniałego domu Bożego. Zrazu nie mogłem we Mszy, która się właśnie rozpoczęła, zasmakować, bo mi się jakoby jaka dziecinna zabawka wydawała. Kapłani chodzili z jednej strony ołtarza na drugą, kadzili kadzielnicami i czynili roz

maite ukłony. Krótko mówiąc — niepodobało mi się. Ale im dalej czynność święta postępowała, tem żywiej owładało mną uczucie, jakiego aż dotąd nie znałem. Czy to postawa modlącego się tłumu na mnie tak głębokie czyniła wrażenie? Nagle usłyszałem głos małego dzwonka; nastała cisza głęboka, nawet ci, co byli najbardziej roztargnieni i nieuważni upadli na kolana, schylili głowy i bili się w piersi.

Wtem wpadły mi na myśl, sam niewiem jak, owe słowa Pisma św.:

— Mojżeszu, zdejm obuwie, bo miejsce na którem stoisz, święte jest.

W jednej chwili upadłem na kolana i połączyłem moją modlitwę z modlitwą wiernej rzeszy. Cóż to było, co na mnie w owej chwili tak potężnie podziałało? Nie słyszałem ani śpiewu czarującego, ani kazania porywającego; tylko uroczysta cisza była w około mnie, przerywana dźwiękiem małego dzwonka. „Cóż to było, co do mnie tak potężnie przemawiało?“ zapytałem nazajutrz katolickiego kapłana.

— To była obecność Boska, mój synu, odrzekł tenże głosem pełnym głębokiego uszanowania; Bóg sam był, choć przed twemi oczyma ukryty, na owym ołtarzu obecny, choć głosu Jego cielesnemi uszami nie słyszałeś. On mówił do twego rozumu i do twego serca. On cię wezwał, abyś otworzył

oczy i myślał. On ci się kazał domyślać, że na owym ołtarzu coś wzniosłego się odbywa, czego ani ty, ani zebrana rzesza nie mogła spostrzedz, a jednak w to wierzyła niewzruszenie.

Czułem w głębi serca prawdę tych słów, ale duch mój uparty burzył się mocno przeciw tej prawdzie; wreszcie łaska zwyciężyła, a ja zażyłem szczęścia, z milionami katolików pobożnych, Bogu pod postacią chleba ukrytemu moją cześć oddać.

Czyżby to było możliwie, na Mszy św. bez pobożności i uczciwości być przytomnym, gdybyśmy pamiętali, że Syn Boży we własnej osobie obecny jest na ołtarzu i ofiarę swą krzyżową ponownie przedstawia?

(Eichsf. Volksb. 1884 n. 4).

Heroiczna wiara Irlandczyków.

Hrabia Montalambert, który przez dłuższy czas po Irlandyi podróżował, niejedną piękną rzecz napisał o narodzie tego kraju, który cywilizacya europejska prześladowała, zdradziła, zapomniała, o narodzie, który tylko swą wiarą żył i za całą swą spuściznę tylko groby i wiarę swych przodków zachował. Sławny ten pisarz niechaj sam opowie wrażenia jakich doznał, gdy tych tak godnych naszego współczucia Chrześcijan odwiedzał.

— Często, pisze, wchodząc do miasta irlandzkiego w niedzielę, widziałem ulice zapełnione robotnikami, którzy w różnych kierunkach klęczeli, albo wszyscy oczy swe zwracali ku niskim drzwiom i nieznacznemu chodnikowi, który prowadził do katolickiej kaplicy, która w czasach prześladowania, kiedy spełnianie obowiązków religii uchodziło za zbrodnię „zdrady stanu“, po za domami była zbudowana. Ogromna rzesza, która do tej ciasnej i ukrytej kapliczki wcisnąć się usiłowała, zamknęła dwu trzecim częściom przystęp; ale oni wiedzieli, że Msza św. się odprawia i dlatego klęczeli na sąsiednich ulicach, aby swą intencyę połączyć z intencyą kapłana. Bardzo często wciskałem się między nich i uważałem to zdziwienie, z jakiem na obcego mężczyznę, który nie był ubogim, jak oni, a jednak maczał palce w święconej wodzie i przed ołtarzem uklękał.

Nigdy nie zapomnę pierwszej Mszy św., której słuchałem w wiejskiej kaplicy. Jednego dnia przybyłem do stóp wzgórza zarosłego gęstym lasem jodeł i dębów. Zsiadłem z konia i wstępowałem na pagórek. Zaledwie kilka kroków zrobiłem, gdy zauważyłem mężczyznę który klęczał pod jodłą; wkrótce obaczyłem wielu innych w tej samej klęczącej postawie. Im wyżej wstępowałem, tem bardziej rosła liczba klęczących

włościan. Wreszcie na szczycie pagórka ujrzałem zabudowanie w kształcie krzyża z kamieni źle spojonych, słomą pokryte. Na około klęczała rzesza wielka silnych, barczystych mężczyzn z gołą głową pomimo deszczu, który lał jak z cebra i pomimo błota. Była to katolicka kaplica w Blarney; kapłan odprawiał Mszę św. Ja przyszedłem w czasie podniesienia N. Hostyi — cała pobożna rzesza pochyliła czoło ku ziemi. Starałem się wnijść pod dach ciasnej kaplicy, która napełniona była modlącymi się. Nigdzie nie było ani krzesła, ani ozdoby, ani nawet podłogi. Słyszałem, jak kapłan mówił po irlandzku, że w ten a ten dzień, aby swym parafianom drogę skrócić, do tej a do tej chaty przyjdzie, która wtenczas stanie się domem Bożym, że tam udzielać będzie pokarmu niebieskiego między swe dziatki. Msza św. wkrótce się skończyła; kapłan siadł na koń i odjechał; wtenczas wszyscy powstali. Jedni, jako podróżni wyrobnicy, z kosą na ramieniu poszli do najbliższej słomianej chaty, aby tam się pokrzepić, inni niosąc swe żony na plecach, poszli do swych odległych mieszkań.

Wielu zostało jeszcze, aby się dłużej pomodlić do Pana swego, klęcząc w błocie na tem miejscu, które sobie ten wierny naród w czasie prześladowania wyszukał.

A to wszystko dzieje się nie pod jasnem

czystem i błękitnem niebem włoskiem, w owej atmostferze, gdzie nabożeństwo prawie rozkoszą jest — lecz pod pochmurnem, wilgotnem i zimnem niebem wysp brytańskich, zdala od wszelkich wdzięków sztuk pięknych, obok fabryki lub kuźni.

Podróżny, który to widział, ukląkł także wraz z tymi ubogimi chrześcijanami i powstał z sercem pełnem świętej dumy i szczęścia na myśl, że i on do tej religii należy, która nie umiera, która przeżyła krwawe walki reformacyi i straszne prześladowania ostatnich stuleci i która w chwili, w której niewiara grób jej gotuje z pośpiechem, znowu powstaje w pustyniach Irlandyi i Ameryki, wolna i uboga jak w swej kolebce.

(Huguet. Andacht z h. Euch. 168).

Z życia św. Wincentego à Paulo.

Św. Wincenty a Paulo gotował się z wielkiem skupieniem do Mszy św. i używał na to sporo czasu, nie dając się od tego odwieść mnóstwem swych zajęć: także często się spowiadał przedemną. Jeden ze spowiedników św. Wincentego takie o nim złożył świadectwo: Miałem tę pociechę, żem był jego spowiednikiem podczas pobytu jego w Paryżu; z tego powodu poznałem dokładnie świętość i doskonałość jego duszy, która nawet cienia grzechu cierpieć nie mogła.

Wymawiał wszystkie słowa Mszy św. bardzo wyraźnie i tak nabożnie i serdecznie, że dobrze można było poznać, jak jego serce wraz z ustami mówi. To wzbudzało w obecnych bardzo pobożne uczucia. Czytał dosyć głośno, głos jego był przyjemny, jego postawa niewymuszona i pobożna, poruszenia ani zbyt prędkie, ani zbyt powolne, odpowiednie do świętej czynności.

Głównie przytem zauważono w nim dwie rzeczy, które rzadko w jednej osobie spotkać można: głęboką pokorę i powagę majestatyczną w postawie. Dlatego też wniknął zupełnie w ducha Jezusowego, który do tej ofiary dwie całkiem różne własności przynosi: ofiary i ofiarnika. Ze względu na pierwszą własność upokarzał się Wincenty wewnątrz jako zbrodniarz winien śmierci przed swoim sędzią, cały był trwogą widocznie przejęty i mówił: *Confiteor* i słowa *In spiritu humilitatis et in animo contrito:* W duchu pokory i sercem skruszonem, *Nobis quoque peccatoribus* i nam też grzesznikom, *Domine, non sum dignus :* Panie nie jestem godzien i podobne słowa z najgorętszą skruchą i najgłębszą pokorą. Jako ofiarnik zaś składał z całym Kościołem Bogu modlitwy i uwielbienia a zarazem zasługi i osobę ofiarowanego Jezusa. Czynił to w duchu pełnym pobożności, uszanowania i miłości ku Bogu.

— Nie dość jest — mówił raz do swoich

kapłanów, żebyśmy Mszę św. odprawiali; powinniśmy tę ofiarę z największem, na jakie się tylko zdobyć możemy, nabożeństwem sprawować, starając się za pomocą łaski Jego ile możności Jezusowi Chrystusowi stać podobnymi w spełnianiu ofiary, którą On ze siebie Ojcu Przedwiecznemu uczynił. Starajmy się zatem Mszę św. w tymsamym duchu, w którym Jezus swoją ofiarę spełnił, i tak doskonale odprawiać, jak tylko nasza nędzna natura na to pozwoli.

Jeden z najdawniejszych członków jego kongregacyi zauważył, że nabożeństwo św. Wincentego przy odprawianiu Mszy św. jest całkiem niezwykłe i że osobliwie wtenczas się objawia, jeźli wymawia słowa Chrystusa; wymawiał je tak tkliwie i z tak gorącą miłością, że i nabożeństwo słuchających podnosił. Słyszano, jak kilkakrotnie osoby które go nie znały, wysłuchawszy jego Mszy, pełne podziwu mówiły: to musi być święty, a inne mówiły, że im się zdało, jakoby anioła przy ołtarzu widziały.

Zauważono też, że gdy w Ewangelii czytał słowa Jezusa: *Amen, Amen, dico vobis* Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, największą na nie zwracał uwagę, w tem przekonaniu, że tu idzie o rzecz tajemniczą i bardzo ważną; objawiał przez tkliwszy i pobożniejszy wyraz głosu bezwarunkowe poddanie się swego rozumu i serca. Zdało się

jakoby myśl Pisma św. jako dziecię mleko macierzyńskie wysał, by nią duszę swą nakarmić i wzmocnić. Zdało się tedy, że przy wszystkich swoich czynnościach i słowach napełniony był duchem Jezusa.

Gdy się obracał do ludu, czynił to z obliczem skromnem i wesołem; rozkładając ręce i wyciągając ramiona, okazywał niejako rozszerzenie serca i tęsknotę, aby Jezus w każdym z obecnych był przytomny.

Ponieważ Mszę św. jako punkt środkowy chrześcijańskiego nabożeństwa i najgodniejsze ćwiczenie pobożności kapłanów uważał, nigdy Mszy św. nie opuszczał, wyjąwszy trzy dni pierwsze rocznych rekolekcyi. Nie dosyć mu było codzień Mszę św. odprawiać, miał też pobożny zwyczaj innym kapłanom do Mszy św. służyć. Czynił to pomimo nawału pracy, nawet w późnej starości, gdy miał więcej jak 75 lat i z powodu bólu w nodze, bez laski nie mógł chodzić i tylko z trudnością mógł przyklękać. W tym to sędziwym wieku i w tym ułomnym stanie widziano tego pierwszego generała kongregacyi misyonarzy, jak z najgłębszem uszanowaniem i pobożnością, wszystkich budującą, do Mszy św. służył.

Zalecał klerykom swej kongregacyi, aby nigdy nie dali świeckiemu służyć do Mszy św. jeżli są obecni, ale żeby wdziali komżę i sami służyli. „Bo, mawiał, świeccy tylko

w razie potrzeby mają do tego prawo, to hańba dla duchownego, który otrzymał święcenia do służby ołtarza, jeśli tacy, którzy tego charakteru nie posiadają, jego służbę pełnią". (Z P. Hugueta Eucharistia. Keller).

O. Bonawentura.

W czasie rewolucyi francuzkiej, gdy wszystkie zakony męzkie i żeńskie porozpędzano, żył w Nimes pobożny mnich kartuzyański, na imię Bonawentura. Pewnego dnia rozmawiał o wielkiem szczęściu jakiegoby doznał, gdyby go schwytano i na śmierć skazano: gdy siostra jego, gorliwa zakonnica, przyszła go odwiedzić.

W sam czas przychodzisz, rzekł O. Bonawentura, mówimy o przedmiocie, który twą gorliwość ożywi.

— Zapewnie mówicie o więzieniu i śmierci t. j. o tem wszystkiem, co mnie może zasmucić, odrzekła.

— Małej wiary niewiasto, odparł, czyżbyś się smuciła, gdyby jeden z twych braci został męczennikiem Chrystusa? Patrz, jedno cięcie tu — pokazując na szyję — i w tej chwili jestem w niebie.

Trwożliwa siostra przelękła się i łzami się zalała.

— Uspokój się, rzekł święty mnich, daleko mi do tego, abym na taką śmierć zasłu-

żył, a ty sama czujesz się także niegodną, być siostrą męczennika.

Później schwytano obydwoje i wtrącono do więzienia.

— O bracie — zawołała siostra głosem przenikliwym — przecież cię jeszcze raz widzę!

Bonawentura wzruszony wzniósł oczy ku niebu i odpowiedział jej:

— Siostro! gdzie się podziała twoja wiara? Przestań wylewać łzy, niegodne chrześcijanki! Jeżli nasz Boski Mistrz tak nas umiłował, że nas w cierpieniu swem, czyni sobie podobnymi, czyż nam siostro godzi się uskarżać na te oznaki Jego nieskończonego miłosierdzia? Z pewnością my na tę wielką łaskę nie zasługujemy. Oblubienico Jezusa gdzie twoje męztwo? Czyż wiara nas nie uczy, że nie będziemy kuszeni nad siły?

Te słowa przywróciły spokój w duszy zakonnicy i poddały ją na zawsze woli Bożej.

Bonawenturę zawołano przed komitet rewolucyjny.

— Czyś spełniał czynności kapłana? zapytano go.

— Tak jest, spełniałem i gotów byłbym na nowo je spełniać, gdybym był wolny.

Jako fanatyka wtrącono go zaraz do więzienia, gdzie kilku mnichów jego zakonu siedziało.

Jeden z nich, skoro go ujrzał na tem miej-

scu boleści, bardzo został wzruszony. Bonawentura mu zaś rzekł z wyrzutem:

— Coś ty za człowiek? Czyż nie wiesz, że zboże musi być zmielone, aby cel swój i przeznaczenie osiągło?

Bonawentura znowu stawiony przed sąd, skromnością i odwagą przypominał pierwszych męczenników. Po zwykłych zapytaniach o imię i nazwisko, wiek, stan, rzekł prezydent:

— Czy dawno już spełniałeś czynności kapłańskie?

— Jeszcze wczoraj wieczór — odrzekł pobożny kartuz.

— Jakie czynności spełniałeś?

— Słuchałem spowiedzi, chrzciłem i innych Sakramentów udzielałem, byłem nawet tak szczęśliwy, żem mógł także Mszę św. odprawiać.

— Czy nie znasz prawa, które ci pod karą śmierci zakazuje spełniać urząd kapłański?

— Znałem prawo ludzkie, ale sądziłem, że przedewszystkiem mam obowiązek być posłusznym prawu Bożemu.

Prezydent z gniewem zawołał:

— Zasłużył na śmierć.

Za chwilę przeczytano mu wyrok. Słuchał go z wyrazem tak pełnym uszanowania i poddania się, że wszyscy obecni zdumieli się i łzami się zalali.

Skoro wyrok przeczytano, dał znak Bo-

nawentura, że chce przemówić, chciał jeszcze głosić Ewangelię. Prezydent pozwolił mu mówić, do niego więc skierował swe słowa; był to bowiem kapłan-odstępca.

— Sługo Chrystusa Jezusa, na jakiemże to trybunale siedzisz? Czyż się nie boisz, żeby na ciebie nie spadło tyle krwi niewinnej, którą każesz przelewać? Jakaż to sprzeczność! Według twego stanu, powinieneś był codzień przy ołtarzu pić Krew Baranka bez skazy, a dziś wszystka krew ludzka nie może twego pragnienia ugasić? Ale wiedz, że wkrótce umrzesz i to śmiercią, która cię uczyni przedmiotem zgrozy i przekleństwa ludu.

Tak się też stało.

Gdy święty mnich usłyszał zgiełk i spostrzegł, że go chcą porwać na śmierć, złożył, jak niegdyś św. Cypryan z Kartaginy, suknię i obuwie, mówiąc, że mu przystoi z pokorą iść na śmierć. Odtąd zachował najściślejsze milczenie i tylko z niebem obcował; już nie wiedział co się wkoło niego działo; wyraz oblicza jego, na którem żywa wiara i spokój duszy tak pięknie się odbijały, zwiastował, że dusza jego już nie przebywa na ziemi, lecz w krainie niebieskiej.

Tak spełnił ten pobożny kartuz swoje męczeństwo za to, iż się ważył Mszę św. odprawiać. (Huguet. Andacht z hl. Euch.).

Msza za umarłych.

Oto zdarzenie zaświadczone przez zacnego kapłana dyecezyi Bruges, który się o niem dowiedział z pierwszego źródła:

Dnia 13 października 1849 umarła w Ardoye, we Flandryi Eugenia W..., żona Jana W.., w wieku lat 52. Była to niewiasta pobożna, dobroczynna, czyniąca jałmużny z hojnością odpowiednią do majątku. Aż do końca życia miała wielkie nabożeństwo do Najśw. Panny i pościła na jej cześć w środę i sobotę. Choć prowadzenie się jej nie było wolne od małych błędów powszednich, było jednak budujące a nawet wzorowe.

Służąca, imieniem Barbara V.. wieku 28 lat, dziewica cnotliwa i pełna poswięcenia, która pielęgnowała Eugenię w jej ostatniej chorobie, służyła nadal u wdowca p. Jana W...

Około trzy tygodnie po swej śmierci, pokazała się zmarła swej służącej. Była północ. Barbara spała twardo, gdy usłyszała, że ją ktoś wyraźnie po imieniu trzykroć zawołał. Budzi się natychmiast, staje na równe nogi i widzi swą panią Eugenię W.. w odzieniu codziennem, siedzącą na krawędzi jej łóżka. Na ten widok, dziwna rzecz, choć zdziwiona, Barbara się nie przelękła i zachowała przytomność umysłu.

Zmarła rzekła do niej: Barbaro!

— Czego sobie życzysz, Eugenio, zapytała służąca.

— Weź grabki małe do liścia, które znasz i usuń kupę piasku, który jest w małym pokoiku; tam pod tym piaskiem są pieniądze; weź je i każ za nie odprawić Msze św. po dwa franki na moją intencyę, bo jeszcze jestem w czyścowych mękach.

— Dobrze, Eugenio, — odrzekła Barbara, a widzenie w tej chwili znikło.

Służąca zawsze spokojna, zasnęła i spała mocno aż do rana. Zbudziwszy się, sądziła zrazu, że się stała igraszką złudzenia sennego; ale przecież tak była przytomną i widziała swoją panią w tak jasnej i żywej postaci, słyszała z jej ust wskazówki tak dokładne, że nie mogła sobie nie powiedzieć: tak się przecież nie śni, widziałam moją panią w jej własnej osobie, ona mi się pokazała, ona sama do mnie mówiła; to nie sen, to prawda.

Idzie więc i bierze wskazane grabie, odgartuje piasek i wkrótce wyjmuje woreczek, zawierający 500 franków. W tych okolicznościach sądziła Barbara, że ma obowiązek poradzić się. Poszła tedy do proboszcza, czcigodnego ks. R... opowiedziała mu wszystko co zaszło, i jako zmarła żądała, aby były odprawione Msze św. po 2 franki. Ksiądz odpowiedział, że trzeba te Msze odprawić, lecz że należy, aby się pan Jan W... na to

zgodził, i aby rozporządził temi pieniędzmi. Jan W... najchętniej się na to zgodził, a Msze św. zostały odprawione.

We dwa miesiące po pierwszem zjawieniu, Barbarę znowu ktoś zbudził o północy. Tym razem pokój jaśniał żywem światłem, a pani jej Eugenia, piękna i świeża jak za lat młodych, odziana w szatę olśniewającej białości, stała przed nią i spoglądając na nią bardzo mile i uśmiechając się rzekła głosem jasnym i wyraźnym:

— Barbaro, dziękuję ci, już jestem uwolniona.

Rzekłszy to znikła — pokój wrócił do dawnej ciemności, a poczciwa służąca dziwiąc się temu, co dopiero widziała, opływała w radość niepojętą. To zjawienie się uczyniło najżywsze wrażenie na jej duszę i aż dotąd zachowała o niem najmilsze wspomnienie.

(Schouppe. Instr. relig. Tom III, 233).

KONIEC TOMU IV.

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Teodozy Sozański T J.

L. 3546a).

POZWALAMY DRUKOWAĆ.

(L. S.) † *A. Kard. Dunajewski*

Książę-Biskup.

Kraków 30 Sierpnia 1892.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.

Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

Spis rzeczy tomu czwartego.

Dwa przykazania miłości.

Pierwsze przykazanie miłości.

	Str.
Eucharyst i Marya	1
Święty Aleksy	4

Drugie przykazanie miłości.

Uczciwy człowiek a chrześcijanin	11
Anioł dobroci	13
Miłosierne dziecko	22
Kardynał Bellarmin	24
Przemyślna miłość	26
Nagrodzona jałmużna	29
Mleczarka i siostra miłosierdzia	33
Heroiczna miłość bliźniego	39
„Miłość cierpliwa jest“	41
Miłość buduje	46

Przykazania kościelne.

Ks. Kardynał Hozyusz	49

Pierwsze przykazanie kościelne.

Nieszczęśliwe polowanie	50
Szkoda go nauczyła	51
Złamana noga	52

Str.

Drugie przykazanie kościelne.

Pragnienie odprawienia Mszy świętej . . . 54
Za późno 57
Opat Helen 57
Piątek w Tuileryach 59
Nieraz młody starszych nauczy 61

Trzecie przykazanie kościelne.

Różnica między postem ścisłym a zwyczajnym 65
Ludwik XVI i oficer 66
Ludwik XVI w więzieniu 67
August Ferron de la Sigonnière 68
Rodzice nawróceni 69
Także filozof 71
Jak Pan Bóg szydercę nawraca. 72
„Popielec“ 77

Czwarte przykazanie kościelne.

Porównanie 78
„Nie potrzebuję Spowiedzi“ 79
„Na przyszły rok pójdę“ 82
„Później się wyspowiadam“ 84
„Już po Wielkanocy“ 86

Piąte przykazanie kościelne.

Błazeńskie wesele 93
Koncert w Wielki Piątek 95

O Sakramentach świętych.

I. Chrzest.

Murzynka wskrzeszona 97
Godność ochrzczonego 99
Charakter Chrztu św. 100
Skutki Chrztu św. — ŚŚ. Męczennicy Waleryan i Tyburcyusz 101
Ojciec Sylveira 103

	Str.
Józef de Ahumada	104
Ojciec Aleksander de Rhodes	106
Chrzest starca	107
Woda i Chleb Boży	109
Renegat z Dulcigno	111
Suknia na Chrzcie otrzymana	114
Chrzest krwi. — Święty Genezyusz	115
Dziki Indyanin	117
Bardzo trudny Chrzest	119
Chrzest Wiktoryna	124
Emmanuel	126

II. Bierzmowanie.

Paź cesarza Juliana	129
Św. Andrzej Apostoł	130
Święta Eulalia	132
Mężny wyznawca wiary	134
Marya Stuart	138
Ojciec Gerard	140
Podłe tchórzostwo	144
Dwaj młodzi bohaterowie wiary	145
Cuda przez Sakrament Bierzmowania	148
Wysoki szacunek dla Bierzmowania	149

III. Ciało i Krew Pańska.

A. Rzeczywista obecność P. Jezusa w Najśw. Sakramencie	151
Najśw. Sakrament cudowny	152
Kościół Bożego Ciała w Krakowie	154
Historya trzech Najśw. Hostyj i kościoła Bożego Ciała w Poznaniu	156
Kościół Bożego Ciała w Turynie	161
Cud w Douai (Due)	163
Żyd i Hostya	165
Podobny cud	168
Pouczający obraz	169
Nieuczony apostoł	171

Str.
Święty Ludwik i cudowna Hostya 172
Cud w oberży 173
Zawstydzony kalwin 175
Św. Antoni i heretyk 176
Żyd nawrócony 178
Muzułmanin zawstydzony 179
Dziecko żydowskie w ogniu nietknięte . . . 180

B. Cześć Najśw. Sakramentu.

Uroczystość Bożego Ciała 182
Czterdziestogodzinne nabożeństwo 184
Pan Jezus w N. Sakramencie zwycięża . . . 185
Wieczna adoracya 193
Nocna adoracya 195
Jedno pytanie 197
Jenerał Robert staje w obronie N. Sakramentu w zgromadzeniu narodowem 199
Męczennik czci Najśw. Sakramentu 203
Ferdynand II 204
Wzór wspaniały 206
Jenerał Geramb 207
Z kraju Wallijskiego 209
Mała Marysia 211
Cześć N. Sakramentu nagrodzona 212
Święty Wacław 215
„Wielki Boże! wszak to Jezus!“ 216
Rys z życia biskupa Mermilloda 222
Protestant nawrócony 225
Cezar z Bus 228

C. Pierwsza Komunia.

Rodzice nawróceni 230
Napoleon I. 234
Pamiątka pierwszej Komunii 237
Pouczająca pierwsza Komunia 238
Pierwsza Komunia „dziecka Maryi“ 242
Dwie irlandzkie sieroty 247
Piękne upomnienie 249

	Str.
Św. Jan Berchmans T. J.	251
Wiara dzieci pierwszy raz komunikujących.	254
Imelda	257
Jałmużna w dzień pierwszej Komunii	259
Szczęście dziecka pierwszy raz komunikującego	263
Aż do grobu niewinny	265
Mały Paulin	267
Mały Indyanin	271
Anielska dobroć dzieci	274
Helima	276
Pierwsza Komunia umierającego dziecka podczas Mszy pastuszkowej	282
Pierwsza Komunia Savio Domenika	286
Mały Jaś	289
Pierwsza Komunia w więzieniu	294
Mały Indyanin	301
„Pozwólcie dziateczkom przychodzić do mnie“	306
Piewsza Komunia małżonki przy łożu konającego męża	313
Ludwika	316
Pierwsza Komunia w Paryżu pod dozorem Komuny	321
Pierwsza Komunia dzieci szwajcarskich na francuzkiej ziemi	325
Pierwsza Komunia dwu jeńców wojennych	327
Pierwsza Komunia hrabiego Paryża	332
Pierwsza Komunia księcia Burgundyi	334
Z życia ks. Segura	337
Niegodna pierwsza Komunia	339
Koniec straszny zepsutego chłopca	341
Niegodna Komunia i jej skutki	342
Z życia W. O. Olivaint	345
Przestroga dla komunikujących	353
Wieczorna Komunia żołnierza	355
Wróg Komunii	355
Pragnienie Komunii św.	357
Pomoc w potrzebie	359

Str

D. Msza święta.

Obecność Boska 363
Heroiczna wiara Irlandczyków 365
Z życia św. Wincentego a Paulo 368
O. Bonawentura 372
Msza za umarłych 376